Władysław
Zambrzycki

W OFICYNIE ELERTA

Luźne zapiſki kſięgarſkie z roku 1650

ANTYKWARIAT
KSIĄŻEK
www.cytat.pl

Warszawa 2007

ISBN 978-83-60724-00-2

Na okładce wykorzystano rycinę z dzieła
Johanna Philippa Abelina *Historische Chronica*
(Frankfurt am Main 1674) ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

Druk i oprawa:
EFEKT
ul. Lubelska 30/32
03-802 Warszawa
tel. (0-22) 618-60-91

Od autora

Bodziec do napisania tej książki dało studium Ludwika Kubali *Poselstwo Puszkina w Polsce*, zamieszczone w jednym z tomów jego *Szkiców historycznych*. Gdyby kto chciał dowiedzieć się więcej o przedstawionych poniżej wydarzeniach, znajdzie tam w odnośnikach źródła i stosowne cytaty.

Wypadki przedstawiłem wiernie, a tło i drobiazgi obyczajowe w sposób prawdopodobny. W opisach nie ma przejaskrawień, jest raczej ostrożna powściągliwość.

Rzecz dzieje się na wiosnę i latem roku 1650 w Warszawie.

Wykaz osób w kolejności ich występowania

Zaczyna pisać młody patrycjusz krakowski Stanisław Piotrkowczyk, który przyjechał do Warszawy dla zaprowadzenia ładu w oficynie drukarskiej Piotra Elerta.

Dalej pojawiają się:

Piotr Elert, uprzywilejowany drukarz królewski,
nadworny skrzypek i kompozytor
Elżbieta z Piotrkowczyków, jego żona
Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny
Rotmistrz Okoń
Jan Aleksander Gorczyn, wszechstronny pisarz i erudyta, grafik, muzyk, heraldyk
Przeor klasztoru na Piwnej
Jan Kazimierz, król
Podczaszy Tyszkiewicz
Chorąży Wessel
Andrzej Morsztyn, poeta
Adam Jarzębski, wierszopis, muzyk, architekt
Adamandy Kochański, matematyk, z zamiłowania zegarmistrz
Gawryła Leontjew, starszy pisarz i tłumacz poselstwa moskiewskiego
Żemczug, dumny bojarzyn
Stara służebna z Zamku
Panna M. d'A. z fraucymeru królowej
Ormianin Isaakowicz, sprzedawca klejnotów
Wańka Tarapajew, młodszy pisarz i tłumacz poselstwa moskiewskiego
Albrycht Radziwiłł, kanclerz litewski
Bogusław Leszczyński, podkanclerzy koronny
Grigorij Gawryłowicz Puszkin, poseł moskiewski
Stiopka Puszkin, bratanek posła
Bojarzynowie dumni: Saburow, Łom-Połamanow, Tmudichin,
Karawan-Warłaamow i inni
Księgarz wędrowny spod Lublina
Jan Libicki, poeta, sekretarz kancelarii królewskiej
Chłopiec z wiewiórką
Porucznik Zaćwilichowski
Monika, zalotnica z Przyrynku
Mustafa-Aga, poseł krymski

W epizodach i scenach zbiorowych przewijają się: senatorowie, wojscy, urzędnicy dworscy, mieszczanie, szlachta, poeci, muzycy, malarze, księża, mnisi, lekarze, kupcy, Moskale, Ormianie, Tatarzy, ficygierny z zamtuza, pachołkowie, hajducy itp.

I. PRZYJAZD GOŚCI

Zacząłem pisanie w dzień św. Macieja Apostoła, Roku Pańskiego 1650, i niechże te papiery w spokoju sobie leżą. Skłonił mnie do ich czernienia imć pan Piotr Elert, królewski typograf i muzyk.

— Pisz, co chcesz — mówił — powtarzaj wieści, powtarzaj ludzkie domysły, obserwuj rzeczy widziane i słyszane, lada dzień bowiem przyjedzie do Warszawy poselstwo orientalne, a od tego poselstwa może być wojna albo pokój.

— Jak mam pisać — spytałem — dla potomnych, czy dla własnej uciechy?

Pouczył pan Piotr, bym czynił to gładko, bez łaciny, zrozumiale dla wszystkich.

— Kto wie — dodał — może twoje słowa wydamy w książce i podzielimy się zyskiem.

Na tym stanęła umowa. Będę więc sporządzał memoriale[1], ale uprzedzam, panie Piotrze, że w nich się nie doszukasz ani myśli wzniosłych, ani rozumowań subtylnych, ani rad zbawiennych. Do czegoś takiego potrzeba ciszy, nie klekotu maszyny drukarskiej.

---

[1] Notatki pamiętnikarskie — łac. Przypisy oznaczone cyframi arabskimi pochodzą od redakcji, oznaczone gwiazdkami od autora.

Tu wspomnę, żeby ktoś obcy głowy sobie nie łamał, że imć pan Piotr Elert jest mężem ciotki mojej Elżbiety, a ciotka Elżbieta to rodzona siostra ojca mego śp. Jędrzeja Piotrkowczyka, też drukarza, który był ławnikiem krakowskim tudzież posłem na Sejm; zmarł w roku 1645, Panie Boże świeć nad jego szlachetną duszą.

Po śmierci ojca żałobę odprawiwszy, zacząłem się do stanu rycerskiego sposobić, bo drukarnia nasza została wypuszczona w długoletnią dzierżawę, a dochód z onej szedł na utrzymanie moich sióstr. W ten czas ciotka Elżbieta wezwała mnie do Warszawy, bym wziął na swe barki prowadzenie elertowskiej drukarni i książnicy. Oto napomnienie z jej listu:

„Zważ bratanku miły, że mąż moy, którego szanuię za prawość charakteru y wielbię za liczne talenta, obowiązkom drukarskim nie może sprostać. Wzywany o różnych porach dnia na Zamek, spędza tam długie godziny, iako kapeli magister, od czego w drukarni naszey zamęt iest, a w książnicy godzinę czasu stracisz, nim żądaną książkę odnaydziesz".

Zgodnie więc z ciotczyną wolą zjechałem do Warszawy i zaprowadziłem ład w oficynie* wedle najlepszych wzorów krakowskich. Ponieważ książnica mroczna, zawiesiłem pod powałą kuty z żelaza kandelaber troisty na olej, od czego jaśniej się stało i goście chętnie przychodzą.

*
* *

Zapisuję teraz, com dziś robił, widział i słyszał.

Nosiłem na Zamek druki zamówione przez kancelarię królewską. Odwiedziłem tam kanclerza Ossolińskiego, któremu książki dostarczam stare i nowe. Tu wtrącę, że nowe książki pan kanclerz czyta z obowiązku, a starych druków jest wielki miłośnik i znawca. Zdarzyło się raz, że za pierwszą edycję Biblii Budnego osiem czerwonych złotych na stół wyłożył bez targu. A no, rarytas to do znalezienia trudny.

* Oficyna Elerta mieściła się przy ul. Świętojańskiej naprzeciw fary. Drugie wejście wiodło do niej od ul. Piwnej 14.

Dowiedziałem się w komnacie skrybów zamkowych o poselstwie moskiewskim, że lada dzień ma zjechać do Warszawy, dowiedziałem się i o podagrycznej chorobie imci pana Krzysztofa Arciszewskiego (pod Gdańsk do swych krewniaków zamierza się przenieść na starość). Ale najwięcej gadało się o nowomodnym zielu tobacco, co do kopcenia w lulkach służy. Pan rotmistrz Okoń, dymu się nałykawszy, równowagę postradał, ze schodów zleciał i głową w filar uderzył. Inni znów po wypaleniu lulki na mdliwość się skarżyli.

Brazylijskie ziele tobacco znajdziesz w Rynku po sześć groszy za funt, jeżeli cienko krajane, a po groszy pięć w liściach swoistych.

Wracając z Zamku, zastałem przed naszą książnicą wóz kryty, przy nim dwu woźniców. Po chomątach poznałem zaprzęg krakowski.

— Skąd to?

Odpowiedzieli, że z Krakowa, od pana Cezarego. Przywieźli książki i listy. Jedenaście dni spędzili w drodze, coś im pękło pod Kielcami. Przyjechał również z nimi Gorczyn.

Uradowałem się na te słowa.

— Gdzieście go podzieli?

— Kwatery poszedł szukać.

Jeden z woźniców sięgnął za pazuchę i podał mi zawinięte w szmatkę szpargały. Były to obliczenia i listy od zaprzyjaźnionego drukarza krakowskiego, z którym prowadzimy wymianę najnowszych wydawnictw i wzajem się w handlu wspomagamy.

Pisał pan Franciszek Cezary, że między innymi przysyła książkę nad podziw udaną, a tak żartobliwą i ucieszną, iż w ciągu sześciu niedziel, odkąd wyszła spod prasy, rozprzedał już bez mała pół nakładu. Upodobały ją sobie mieszczki krakowskie tudzież edukowane szlachcianki, choć przecie Wielki Post się zbliża i należałoby pomyśleć raczej o książkach mniej swawolnych. Ale taki snadź jest powab słowa drukowanego, że i post nie odstraszy.

Zwie się ta osobliwa książka „Antypasty małżeńskie, trzema uciesznemi historiami: o Banialuce królewnie, o Galisie i Fili-

dzie i o Przemysławie księciu oświęcimskim, iako wdzięcznego smaku cukrem prawdziwey a szczerey miłości zaprawione"[1].

Dalej powiadamiał pan Cezary, że wraz z książkami przysyła i Gorczyna, bo ten z Krakowa wynieść się musi, gdyż mu wierzyciele po piętach depczą i do więzienia chcą wtrącić za długi. Gorczyn wydał niedawno modlitewnik „Kwiatki liliowe", ale niewiele na nim zarobił, wszelakich bowiem książek do nabożeństwa wielka w Krakowie obfitość. Zabiera więc ze sobą sto wolumeników i ma nadzieję, że je sprzeda w Warszawie.

„Iak to zwykle u Gorczyna bywa — ciągnął pan Cezary — w modlitewniku tym srogi panuie nieporządek. Materya pomieszana y nie wiadomo gdzie czego szukać. Zaraz po litanii do Wszystkich Świętych znaydziesz wierszyk o zaletach miodu pitnego, po Antyfonie trafisz na pochwałę łaźni tureckiey, a tuż za pouczeniem iak odmawiać koronkę, uyrzysz przepis na plastr żywiczny do rozpędzania końskiey fistuły[2]."

Usłyszawszy, że ktoś się dobija, pośpieszyłem otworzyć. Wszedł Gorczyn.

* * *

Poniedziałek, dzień św. Teofila. Pan Piotr Elert był wczoraj na Zamku i w przytomności francuskiego biskupa grał bardzo pięknie. Biskup przywiózł dary od kardynała Mazarina dla królowej Marii Ludwiki: aksamity bogate, leki skuteczne na wszelkie choroby i prowansalskie olejki kwiatowe.

Tu pan Piotr dodał, że król jegomość nie znosi ckliwych zapachów. Kiedy odemknięto jakiś słojek i wszyscy zaczęli go wąchać, król wstał i wyszedł, co w zdumienie wprawiło biskupa.

Gorczyn znalazł kwaterę w klasztorze na Piwnej[3].

---

[1] Właśnie od imienia bohaterki pierwszej opowieści wzięło się powiedzenie: „Pleść banialuki".

[2] Rodzaju głębokiego owrzodzenia, dosłownie przetoki — z łac.

[3] Klasztor przy kościele św. Marcina na ul. Piwnej 9 należał ówcześnie do oo. augustianów.

* * *

W środę popielcową. Cały dzień chodzę dziś głodny i chwilami żałuję, żem się nie urodził kalwinem. Ciotka nakarmiła nas w południe mazowieckimi jagłami i zapowiedziała, że do jutra rana nie dostaniemy już nic.

Dowiedziałem się na Zamku, że poselstwo moskiewskie zatrzymało się w Wołkowysku i czeka na zezwolenie wjazdu do Warszawy. Król wie, że targi z Moskwą zabierają więcej czasu niż z jakimkolwiek innym narodem. Chciałby odwlec przyjazd poselstwa, by przedtem pozałatwiać ważniejsze sprawy krajowe.

Gorczyn kwateruje w klasztorze, za stancję i wikt nic nie płaci. Umówił się z przeorem, że go wymaluje na płótnie.

* * *

Sobota, dzień św. Jana od Krzyża. Nadeszły dziś nowe druki z Leszna i Poznania, śród nich książka pana Samuela Twardowskiego „Władysław IV, król polski i szwedzki" bardzo pięknie odbita. Ten sam imć Twardowski napisał już przedtem „Satyra" i „Przeważną legacyję", które mamy na sprzedaż.

Od wczesnego rana niebo było chmurne i przez cały dzień w książnicy palił się kandelaber. Jakoś mi markotno. Na obiad ciotka znów podała jagły.

* * *

Niedziela wieczór. Pan Piotr przywiózł z Zamku wieści, że poselstwo moskiewskie opuściło Wołkowysk i teraz w Siedlcach popasa.

Król jegomość miał rzec, iż nie chce być przytomny przy wjeździe poselstwa do Warszawy, pewnie się więc dwór przeniesie na kilka dni do Nieporętu i wróci po skończonych uroczystościach powitalnych.

* * *

Na św. Wincenty. Nic się nie zdarzyło i tylko tyle zapiszę, że poselstwo gońców śle na Zamek z żądaniem rychlejszego przyjęcia i powitania. Król zwleka, innych kłopotów mając dość.

* * *

W dzień Czterdziestu Męczenników. Odniosłem druki do kancelarii. Poselstwo moskiewskie czeka po tamtej stronie Wisły.

* * *

Na św. Grzegorz. Król wyjechał do Nieporętu.

* * *

W dwa dni po św. Grzegorzu. Na Kałęczynie* pouprzątano stancje we dworze tudzież w przyległych dworkach i w zajeździe Czersk. Do stajen zawieziono obrok i zbudowano nowy żuraw. Opróżniono różne zabudowania gospodarskie i powstawiano żłoby.

Moskiewski poseł, jak powiadają, przywiódł ze sobą pół setki zbrojnych jeźdźców i sto wozów naładowanych futrzanymi skórkami na sprzedaż. Oddano Moskalom Kałęczyn, żeby całe to mrowie końskie i ludzkie ciasnoty nie zaznało.

* * *

Odwiedziłem Gorczyna w celi, którą zajmuje z dwoma braciszkami zakonnymi. Pokazywał ramę drewnianą, płótno malarskie i farby, razem kolorów osiem. Brakuje mu błękitu, bo jest drogi, na wagę srebra sprzedawany. A przeor uparł się i chce mieć niebo nad głową.

— Może się zgodzi na kilka chmurek — z nadzieją w głosie rzekł Gorczyn.

---

* Kałęczyn, część dzisiejszej ul. Nowy Świat. Stały tam domy zajezdne dla podróżujących z licznym orszakiem.

Zabrałem go do książnicy, żeby się ogrzał przy kominku. W celi klasztornej chłód, a przez pęcherzynę w oknie ledwie światło dochodzi.

Rad był z zaprosin, jeszcze bardziej ucieszył się z nowiny, że zbierają się u mnie goście, oglądają przysłane książki, gawędzą o czym kto chce, żarty wesołe stroją i nieraz dworują sobie z dostojnych osób, nawet z króla.

Gorczyn na to:

— Taki jest widać zawsze księgarskich kątów przywilej, bo u pana Cezarego podobnie się dzieje.

Patrząc w ogień i grzejąc chude palce, dodał:

— Przyjdę do was, bom już zatęsknił za niefrasobliwą rozmową. Muszę sobie przedtem żupanik wyłatać i skórą trzewiki podszyć, na co, dziękować Bogu, pieniędzy mi starczy.

Spojrzałem na jego dziurawe łokcie, na stopy źle obute. A no, zawsze już taki był, biedny, głodnawy i szczęśliwy.

Dostrzegł moje rękopisma na pulpicie leżące, spytał o pozwolenie i zaczął czytać.

— Memoriale prowadzisz?

— Tak, na życzenie pana Piotra Elerta.

— Pozwólże się czasem przyłączyć, dopowiedzieć coś. Patrz, ile się tego dobra marnuje.

Zaczął wyciągać z zanadrza strzępy papieru duże, w kilkoro złożone, i małe, i zupełnie maleńkie, a wszystkie zapisane. Gładził je dłonią, układał na pulpicie, z troską oglądał, jak jakiś skarb.

— Ile tego ginie! — powtórzył. — A przecie należałoby to gdzieś przechować, uchronić, żeby choć pamięć pozostała.

Zerknął w moje oczy i dodał:

— Bom tułacz, peregrynant. Kreślę na skrawkach i potem gubię.

Żal mi go się zrobiło. Wiem, że co Gorczyn zanotuje, godne jest uwagi.

— Pozwól — rzekłem — iż wprzódy zapytam pana Piotra, gdyż on to dał pomysł sporządzania memorialiów. Jeśli się nie sprzeciwi, przychodź i pisz.

*
* *

Dotrzymałem obietnicy i zagadnąłem pana Piotra, czy zezwoli na Gorczynowe dodatki. Bez namysłu odparł, że się zgadza, bo od dwoistej ręki większa powstanie w treści rozmaitość.

— Niechże tylko Gorczyn zaznacza — dodał — gdzie początek i koniec jego słów, żeby później powikłania sensu nie wynikały.

Mam więc dobrą nowinę dla imci Jana Aleksandra.

*
* *

W dzień św. Klemensa. Poselstwu dano znać, że droga wolna, że jutro będzie powitanie nad Wisłą, opodal brodu. Zaraz po powitaniu nastąpi uroczysty wjazd do miasta.

Na Zamku kanclerz od samego rana obraduje z senatorami. Postanowiono wystawić husarię, dragonię i piechotę królewską. Cechy rzemieślnicze otrzymały zalecenie wyjścia z chorągwiami naprzeciw gości.

Pan Piotr przyniósł potwierdzenie nowiny, że moskiewskich wozów z futrami jest sto, a są tam skórki sobole bardzo drogie. Przyniósł też z Zamku glejt na dwie osoby i chce mnie poprowadzić nad Wisłę, żebym się przyjazdowi poselstwa z bliska mógł przyjrzeć.

*
* *

Zapisuję wedle kalendarza: Marzec, dzień szesnasty. Ciotka Elżbieta zobowiązała się baczyć na książnicę, my zaś, pan Piotr i ja, poszliśmy posłów witać.

Narodu nad Wisłą zebrało się mrowie, piechota ładu pilnowała, dragoni strzegli przeprawy, a cechy stawiły się z rozwiniętymi chorągwiami. Nas przepuszczono bez trudności i takeśmy zajęli miejsce podle dworskich karoc, na posłów czekających.

Była godzina poobiednia. Na tamtym brzegu Wisły widziałem tłum pstrokaty, widziałem strojnych mężów na małych konikach harcujących, jak gdyby czegoś szukali. Prom stał po stronie praskiej, na nim kolasa dziwnego kształtu, ale tego oczy moje nie mogły już dobrze rozróżnić*.

Naprzód przeprawili się gondułą giermkowie jacyś, trzymając za uzdy szóstkę płynących koni. Po wyjściu na brzeg wytarli konie szmatami i założyli siodła. Potem przybijały do brzegu inne łodzie z ludźmi i stadniną.

Com spostrzegł (i pan Piotr to zauważył), że moskiewskie konie niskie, krępe, kosmate, maści prawie wszystkie cisawej, łby mają ponad potrzebę wielkie, a nogi porośnięte kudłami.

Przeprawiała się Moskwa z godzinę albo i dłużej, aż nagle ruch się po tamtej stronie zrobił i prom odbił od brzegu. Kiedy się dość przybliżył, dostrzegłem kolasę, która mnie w zaciekawienie wprawiła. Okazała się wielkim łożem na czterech kołach. Piętrzyły się na nim bety różne w piramidę zasłane, w rogach tkwiły paliki podtrzymujące baldach purpurowy. Na każdym paliku sterczała kita ze strusich piór, ruszających się na wietrze.

Sześć koni do tej kolasy założono i podciągnięto ją pod górę może ze dwieście kroków, nie więcej, bo tuż zaraz stali nasi wysłannicy. Potem wyprzęgnięto konie i odprowadzono na bok.

Zjawili się bojarowie na małych konikach i zajechali półkolem za kolasę. Siedzieli w siodłach, nie ruszając z miejsca, cicho gwarząc i palcami nas sobie pokazując.

Pan Tyszkiewicz, jako że w imieniu króla jegomości miał posła witać, stał przy swojej karocy i czekał, a nie mając nic do roboty, panu chorążemu Wesslowi o swoich poprzednich spotkaniach z Moskwą opowiadał. Pan Piotr i ja staliśmy obok, słów jego pilnie słuchając.

Tak minęło z pół godziny. Pan Tyszkiewicz śle wreszcie gońca z zapytaniem, kiedy imć pan poseł pojawić się raczy. Odpowiadają mu też gońcem, że wielikij posoł śpi i budzić go nielzia[1].

---

* Przeprawa odbywała się dość daleko od Śródmieścia, bo aż za dzielnicą nowomiejską, w dole Wisły. Uroczysty pochód, który się tam uformował, szedł przez Nowe Miasto, Rynek Staromiejski, ul. Świętojańską i dzisiejszym Krakowskim Przedmieściem.

[1] Nie wolno — ros.

Uśmiechnął się kwaśno pan podczaszy Tyszkiewicz i do chorążego rzecze:

— Zważ, panie Wojciechu, że to zwykła u nich komedia, z góry ułożona. Poseł nie śpi, poseł czuwa. To, co zaraz zobaczymy, jest przeznaczone dla spektatorów, żeby ich w osłupienie wprawić, no i żeby mnie zmęczyć, zadręczyć, a jak się uda, może i sponiewierać. Znam Moskali, nie po raz pierwszy oglądam carskie poselstwo.

Po krótkiej chwili zaczęto się krzątać przy kolasie. Pachołkowie powyjmowali z czterech rogów paliki i ściągnęli purpurową zasłonę.

Przyszło potem bojarów kilku młodych. Pokłony bijąc, stanęli przed łożem i jęli zdejmować z wierzchu przeróżne pokrywadła cienkie i grube, mnogie nie do zliczenia.

Rozpoznałem bez trudu kobierce wschodnie, adziamskie[1]. Jedne wielkie do ścian zawieszania, inne znów małe do odmawiania na klęczkach modłów muzułmańskich. Pod kobiercami dojrzałem tkaniny lżejsze: aksamity, adamaszki, atłasy, lamy, tabiny, telety, brokaty i najdroższe ze wszystkich altembasy, spodem zaś dwie pierzyny kwieciaste i trzecią haftowaną w ptaki.

Każdy kobierczyk, każdą pierzynę bojarowie zdejmowali wolniutko, a po zdjęciu, wziąwszy za rogi, prezentowali zebranemu ludowi, żeby się dziwował.

Pod pierzynami leżała pościel żółta, połyskliwa, poduch cały stos. Śród nich spostrzegłem coś czarnego, co ku górze sterczało. Poselską brodę.

Wkrótce i sam poseł wygrzebał się z tych betów różnobarwnych. Przyniesiono zwierciadło koliste; dwaj hajducy trzymali je przed nim na wysokości oblicza.

Poseł był czarny, brodaty, ale krótko na głowie strzyżony. Twarz miał mokrą od potu i ciężko dyszał. Jeden bojarzynek podał mu coś do picia, drugi wytarł go chustą i namaścił, trzeci znów chłodził, powiewając płócienkiem.

---

[1] Perskie.

Przez ten czas hajducy układali z powrotem na łożu pozdejmowane pierzyny, a rosły bojarzyn z ogromną perłą pod lewym uchem zwracał się do tłumu, wołając:

— U nas wsiego mnogo, u nas bogato!

Kiedy poseł ochłonął już i wypoczął, bojarowie pomogli mu wdziać ciężkie szaty złotem wyszywane, kolorowymi kamykami upstrzone, ziemi sięgające, z kołnierzem w tył odrzuconym. Na głowę włożyli czapę wysoką, także złocistą, ku górze zwężoną, obszytą spodkiem złotymi wisiorkami, przy poruszeniu przyjemnie brzęczącymi.

Poseł stanął przed swoim łożem na kołach i czekał. Pan Tyszkiewicz też czekał przed karocą. Tak się sobie wzajem przyglądali przez dłuższą chwilę, aż wreszcie pan Tyszkiewicz postąpił naprzód i wyrzekł powitalne słowa, których nie dosłyszałem. Poseł coś odpowiedział, po czym obaj skierowali się ku karocy.

Tu, w odległości kilku ode mnie kroków, potoczyła się rozmowa. Mogę ją wiernie powtórzyć, bom się przed rokiem, podczas podróży do Smoleńska, różnych narzeczy dość nasłuchał.

Imć pan podczaszy Tyszkiewicz mówił:

— Bądź łaskaw, panie pośle, wsiąść do karocy.

— A czyjaż to karoca? — spytał poseł.

— Królewska.

— Ej, łżesz, Tyszkiewicz.

— U nas karcą za takie słowa.

— A u nas durnych biją. Nie królewska to karoca, tylko twoja. Toż ja nie ślepy. Po znakach widzę, ot co.

Potem, wskazując palcem chorążego, poseł spytał:

— Ten co tu robi?

Pan Tyszkiewicz odrzekł:

— To chorąży koronny Wojciech Wessel, mnie do towarzystwa przydany.

— Nu choroszo, niech będzie. Ej, chorunżyj, dlaczego ty nic nie mówisz, dlaczego mnie nie witasz?

— Bo nie znam waszej mowy.

— Tak na cóż ciebie, głupiego, król tu przysłał?

— Nie ja głupi, jeno mnie do pilnowania głupich przysłano. A z tą waszą paradą, mój hajduk mógłby ceremonie odprawić.

— Bladin syn[1] twój hajduk razem z tobą, ot co!

Nie rozumiejąc ostatnich słów, chorąży do pana Tyszkiewicza z zapytaniem się zwrócił, ten go jednak ruchem ręki powstrzymał.

---

[1] Sk...syn — ros.

II. ZBYT SILNY ZAPACH RÓŻ

Przecisnąwszy się przez tłumy, szliśmy z panem Piotrem wzdłuż murów miejskich aż do klasztoru klarysek. Dalej, przez ogrody tych świątobliwych niewiast, udało nam się wyjść na plac Bernardyński, skąd już bez trudu dobrnęliśmy do Mensjonarii*.

Tam powitało nas rozochocone grono znajomków, któremu przewodził pan Andrzej Morsztyn, książnicy Elertowskiej częsty gość, druków francuskich znawca (sprzedałem mu niedawno „Cyda" w kurdybanowej okładzinie[1]). Był tam między innymi murator Jarzębski, dość dobry muzyk i kiepski wierszopis (pan Piotr nie bardzo go lubi), był młody matematyk Adamandy Kochański i kilku jeszcze grajków, miłośników łaciny i książek.

Cała kompania cisnęła się ku otwartym oknom, na kawalkatę oczekując i dla zabicia czasu żarciki trefne strojąc. Wiedzieli już o kłopotach pana Tyszkiewicza i połajance pana Wessla z moskiewskim posłem. Kiedym zdał relację szczegółową, za boki się brali od śmiechu.

---

* Czyli do kamienicy na końcu ul. Świętojańskiej, tuż przy Zamku. Elert i jego towarzysz docierają okrężną drogą do Śródmieścia, by przyjrzeć się z kolei uroczystemu przejazdowi poselstwa przez Warszawę.

[1] Wykonanej z tłoczonej we wzory skóry, bogato zdobionej złoceniami.

W tym czasie zerknąłem przez okno i zobaczyłem po drugiej stronie ulicy, śród tłumu mieszczan, Gorczyna. Zwróciłem się więc do obecnych:

— Pozwólcie, waszmość panowie, że zaproszę tu Jana Gorczyna, tego co tam stoi, w żupaniku trawiastym i czapie z kogucim piórem. Bo choć nietutejszy, całkiem się do nas nadaje.

— Wezwij go, waść, a żywo! — zawołano.

W ten sposób miły mój przyjaciel znalazł się w naszej kompanii. I takeśmy chyba z godzinę gawędzili o dziwnych obyczajach moskiewskiej nacji. Gorczyn prawił:

— Słowa są nie dotrzymujący, do pijaństwa skłonni. Potrawy ich: czosnek, cebula, rzepa, grzyby, suchary i kapusta, a od takich delicji Moskal, bo więcej ich nie ma, śmierci nie aprehenduje[1], ani wieczności szczęśliwej, o której ledwo słyszał. Nie szanuje też swojej Festki czy Paraszki, bo to szpetne grubianki. Żona od męża cierpiąc potłuczenie, za znak miłości je poczyta. Najzacniejszy u nich bojar chłopem carskim zwać się ma za honor, a skarcony przez cara sam się oskarża, o co by ten chciał, nawet o winy nie popełnione. Skazany na śmierć, jeszcze się kaja i prosi o rychłe wykonanie wyroku. Taki jest tego plemienia charakter, rzecz dla nas niepojęta.

Tu wtrącił pan Andrzej Morsztyn:

— Wybacz waść, że przerywam. Gdzieś to czytałem, albo coś bardzo podobnego. Sens był ten sam.

— Może u mnie — odpowiedział Gorczyn — bom przed paroma laty wydał w Krakowie książkę o Moskwie i Moskalach, a wiadomości zdobyłem od sztuki drukarskiej towarzysza, co z Moskwy uciekł, bo go tam zabić chciano za czary, czyli za założenie drukarni.

Pan Piotr dodał, że ma tę książkę na składzie i życzącemu sobie może sprzedać. A Gorczyn, na prośbę zebranych, dalej mówił:

— Liczenie moskiewskie idzie przez sorok, to znaczy przez czterdzieści[2], a nie przez sto, jak u nas. Mówi się tam z tej racji:

[1] Nie dba, lekceważy — z łac.

[2] Ślady starosłowiańskiego czterdziestkowego systemu liczenia istniały na Rusi jeszcze w XIX wieku. Stosowano go przede wszystkim

dważdy sorok, tryżdy sorok. Na nasze dziewięćdziesiąt mówią diewianosto i znów: dważdy diewianosto, tryżdy diewianosto, przez co konfuzja w liczeniu jest i pomylenie wielkie. Potem idzie tyszczia, czyli tysiąc i znów: dważdy tyszczia, tryżdy tyszczia.

Prości u nich umarłego w trumnę włożywszy, kładą mu w głowach ziemi woreczek i gąsiorek gorzałki; do grobu prowadząc tak zawodzą: „He, le, le! I procz ty umer? A zaż ty nie miał jesty, pity?". Religia tych Rusów gruba, a duchowieństwo ciemne, czytać nie umiejące...

W tym miejscu Gorczyn zamilkł, gdyż za oknem rozległy się wołania:

— Idą, idą! Jadą!

* * *

Na przedzie szły z chorągwiami cechy Starej Warszawy, za nimi cechy nowomiejskie. Później piechota i węgrzynowie królewscy. Tuż za wojskiem jechali konno dwaj Moskale. Jeden w sobolami podbitej czerwonej ferezji[1], ale starej i podniszczonej, łańcuchem złotym był przepasany; drugi w ferezji aksamitnej polskim krojem szytej, ale letniej, choć od Wisły dął zimny wiatr. Prowadzono za nimi trzydzieści kosmatych koników przybranych w kapy z mitukami.

Dalej podążała dragonia królewska z generałem Ubaldem na czele, za nimi czterej jeźdźcy moskiewscy bogato przybrani, a potem, na ten widok tłum zaczął klaskać, dwie chorągwie husarskie w pełnym rynsztunku. Potem znów ciągnęli bojarowie carscy pomieszani z oficerami polskimi i nagle oczom naszym ukazał

przy liczeniu futer. Odmienne od pozostałych liczebników brzmienie słowa „sorok" wzięło się od „soroczki" — kawałka płótna służącego do wiązania odmierzonej partii skór.

[1] Długi, wschodniego pochodzenia płaszcz narzucany na ramiona i spinany pętlicami. Rosyjskie ferezje, uroczysty strój bojarów, szyto na podobieństwo wzorzystych okryć tatarskich dostojników, polskie bywały raczej jednobarwne.

się śliczny chłopaczek, lat może z dziesięciu, jeden z poselskich bratanków. Jechał na malutkim koniku przy karocy, w której siedzieli, nic do siebie nie mówiąc, poseł Puszkin, podczaszy Tyszkiewicz i chorąży Wessel, wszyscy trzej bardzo gniewni.

Za karocą posuwała się jazda moskiewska, koni z pół setki i kareta sześciokonna zapchana Moskalami, a było śród nich kilku popów. Na samym końcu skrzypiał wóz z klatką z dwoma żywymi sobolami. Gwardia królewska zamykała pochód.

Kończę, bo mnie już oczy bolą od tego pisania.

* * *

Chodząc po kościołach i tkliwie przemawiając do nabożnych niewiast, Gorczyn sprzedał jedenaście „Kwiatków liliowych". Szuka teraz błękitnego kamienia lapis lazuli dla zrobienia nieba nad głową przeora. Powiedziałem mu, że imć Piotr Elert wyraził zgodę na jego pisanie.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. Na tym miejscu dank składam JWielmożnemu Panu Piotrowi Elertowi, JKMości nadwornemu typografowi tudzież kapeli królewskiej magistrowi, za łaskawe zezwolenie zapisywania rzeczy ciekawych, doświadczonych, w skutkach pod zmysły podpadających, w rozmowach zasłyszanych, na widok wystawionych, także myśli filozoficznych, politycznych, nabożnych, z przydatkiem do tejże materii pouczeń rycerskich, jako też sekretów końskich, ludzkich, bydlęcych i ptasich.

Z serca podziękowawszy, zapisuję.

Konie w ziemi miechowskiej, przez którą jechałem, wedle tamecznego narzecza bywają: tarciate, czarniate, gliniate, piaskate, konopiate, myszate, masłowate, srokate, szronowate i wilczate.

Krowy w ziemi miechowskiej mają nad podziw piękne imiona: Brzezula, Burocha, Czarnula, Czerniaczka, Granula, Jaskrawa, Kopciucha, Kropicha, Kwiatula, Kwieciecha, Moręga, Mręgula, Płowicha, Płowula, Popielicha, Samicha, Sarnula, Siwula i Sowula. Tu koniec dzisiejszego pisania, Gorczyn.

* * *

Czwartek, dzień św. Patryka. Ranek dziś mamy piękny, słoneczny. Moskwiciny porozłaziły się po mieście, do najciemniejszych kątów zaglądają, a najchętniej do karczem i gospód. Przez uchylone od ulicy okno słyszę ich głośne śmiechy i nawoływania. Są zuchwali, zgiełkliwi, napastują napotkane niewiasty, przez co, myślę, bójek się można spodziewać, bo nasi młodzikowie tego nie ścierpią.

* * *

Zapisuję, com się dowiedział w kancelarii zamkowej.

Pan podczaszy Tyszkiewicz i pan chorąży Wessel dopiero o zmroku z posłem moskiewskim do Kałęczyna dotarli. Tam, zgodnie z obyczajem, wręczyli mu klucze od poselskiego dworca.

Narzekał poseł głośno i wszystko dokoła ganił: że za daleko od miasta, że dom za mały, komnaty w nim ciasne, stoły, krzesła i ławy nie dość bogato rzeźbione, kominek nie marmurowy, w oknach nie ma barwnych szkiełek jeno same zielone, to znów że skrzynie zbyt słabo okute.

— Zważ, panie pośle — tłumaczył podczaszy — że w domu tym stawali posłowie Francji, Wenecji, Szwecji i żaden z nich nie sarkał.

— Plewać mnie na twoich Francuzów i Wenecjanów! — odpowiedział Grigorij Gawryłowicz Puszkin, bo takie są imiona carskiego posła.

Spodziewają się na Zamku, że Moskale zgodnie ze swym obyczajem palisadę wystawią dokoła dworca poselskiego, gdyż wielce nieufny to naród i w każdym człowieku szpiega widzi.

Od praskiej strony przeprawiają się dziś promem przez Wisłę wozy moskiewskie, a jest ich więcej niż sto, naładowane, jak mówią, kosztownymi futrami.

Król jegomość wrócił z Nieporętu i jutro powita posła na Zamku. Pan Piotr, który w nagłych przypadkach ma wolną dro-

gę do króla* wystarał się i dla mnie o pozwolenie wstępu, dzięki czemu obaj będziemy przytomni tym ceremoniom.

Kanclerz postanowił, że przy wręczaniu listów carskich królowi przemówienia nie mogą się dłużyć. Jeżeli nie zajdzie nic szczególnego, wszystko powinno się skończyć w niecałą godzinę.

* * *

Odwiedziłem Gorczyna. Zastałem go w refektarzu[1] klasztornym, gdzie spał na ławie. Tuż obok, w głębokim krześle skórą krytym, spał ksiądz przeor. Spojrzałem na stalugi. Znać tam było narysowaną z gruba postać klęczącą, do przeora nieco podobną.

Tuż przed klęczącym przeorem stał anioł i trzymał otwartą księgę. Anioł nie miał głowy.

Nie chcąc snu im przerywać, wycofałem się cicho z refektarza.

* * *

Znów pisze Gorczyn. W puszczy za Kielcami spotkałem smolarza, który dziegieć z brzeziny pędził. Dziki to człek, nieokrzesany, z brodą i wąsami długimi, smołą pozlepianymi w kosmyki. Alem się dowiedział od niego prawdy niepojętej, że kukułka podrzuca takie jajo, jakie się w gospodarskim gnieździe powinno znaleźć. Raz więc podrzuci jajo białe, raz pstre, raz nakrapiane, a kształtem i wielkością zawsze do gospodarskich podobne, żeby się przybrana matka podstępu nie domyślała.

Łamże sobie teraz głowę, mości Gorczynie, jaką drogą kukułka do takiej perfekcji doszła, że różnorakie jaja na zawołanie znosi. Ale nie pytaj o to mędrków bolońskich, bo tylko ramionami wzruszą i nic się nie dowiesz.

Krowy dokoła Kielc mają imiona: Barwina, Białucha, Bielawa, Bura, Cisula, Gniadula, Krasula, Kropicha, Kurcocha, Kwiatula, Leleńka, Miedzicha, Mrozula, Mysiorka, Pławicha, Rydzula, Si-

* Piotr Elert towarzyszył jako zaufany Janowi Kazimierzowi podczas jego awanturniczej tułaczki we Francji w latach 1638–1641.

[1] W jadalni — z łac.

wula, Srokula, Wieniocha, Wiśniocha, Wronula. I od dnia, w którym się ich matki ocieliły: Niedziocha, Pońdziula, Wtorula, Środula, Czwartula, Piętocha i Sobótka. Koniec na dziś, Gorczyn.

* * *

Co miało się stać, już się stało. Moskale pannę cnotliwą na Zapiecku napastowali, siłą ciągnęli do gospody, panna zasię pomocy głośno wzywała. Słysząc to, czeladź piekarska w sukurs jej przyszła i Moskwicinów odpędzono. Posiniaczeni do Kałęczyna wrócili.

* * *

Piątek, na św. Cyryla. Rankiem wysłano z Zamku do dworca poselskiego cztery karoce z herbami królewskimi, żeby Puszkin na brak atencji nie narzekał. I po raz drugi pojechał honory czynić pan podczaszy Tyszkiewicz z chorążym Wesslem.

Spóźniłem się nieco na uroczystość wręczania listów carskich królowi. Kiedym do sali kolumnowej wchodził, wionęło mi w twarz silnym zapachem kwiatów. Odetchnąłem głęboko, aż tu czuję róże, świeże róże! Ale jakże silny był ten aromat, prawie gęsty, w gardle dusił, w nos drapał, oczy załzawiał!

Patrzę ku tronowi i widzę, król jegomość koronkę do ust przyciska. Senatorowie pobrali ze stołu portefolia i poruszając onymi, przewiew czynią. Przed królem stoi poseł, za posłem jego krewniak, jakem się później dowiedział też Puszkin, Stiopka. Przy nich Gawryła Leontjew, pierwszy pisarz i tłumacz poselstwa oraz bojarzyn Żemczug i kilku innych jeszcze Moskali: Totin-Korałow, odziany w długie szaty moskiewskie koloru zielonej żabki, drugi Łom-Połamanow, odziany z polska, trzeci Tmudichin, pstrokaty, w butach chińskich z wywiniętymi ku górze nosami, czwarty Paszołwońskij w szatach orientalnych na kształt tureckiego baszy, piąty Karawan-Warłaamow ubrany po szwedzku. Reszty imion nie spamiętałem, a strojów nie umiałbym opisać.

Żemczug, olbrzym prawdziwy, przyjrzałem mu się dość dobrze. On właśnie nosi pod lewym uchem perłę kałakucką[1] wielkości gołębiego jaja; kiedy porusza głową, perła kołysze się z wdziękiem.

Kanclerz spytał posła po polsku z czym przychodzi, co zaraz w moskiewskiej mowie powtórzono i na co poseł odrzekł, że go tu Wsieja Rusi[2] car samodzierżawny przysłał ze słowami przyjaźni i miłości, z życzeniami wszelakiego dobra i dla potwierdzenia paktów wieczystego pokoju.

Spytano, czy ma jeszcze coś do powiedzenia. Odrzekł, iż prosi o wolne trzy dni odpoczynku, gdyż wielce się utrudził daleką drogą.

Nastąpiło ręki królewskiej całowanie. Poseł przed tronem na kolana padłszy, po pawimencie[3] się czołgał, na znak pokory sapiąc i postękując. Jego długa, złotymi nićmi tkana szata czyniła głośny szelest. Dłoń królewską ucałowawszy, znieruchomiał, jak gdyby na coś czekając.

— Uroczystość skończona — oznajmił kanclerz.

Król, skinąwszy głową obecnym, szybko wyszedł, przyciskając koronkę do ust. Spoza drzwi usłyszałem głośny kaszel.

Poseł podniósł się z klęczek i ponuro spojrzał na kanclerza. Ten spytał, czy Puszkin pragnie przedstawić się królowej. Nie, nie pragnie, gdyż nie ma na to carskiego zezwolenia.

Przez cały czas pobytu w sali tronowej poseł pozostawał cichy i pokorny. Znalazłszy się w przedsionku, zmienił nagle postawę, towarzyszącym senatorom okazywał wyraźną niechęć i skarżył się głośno, że go źle przyjęto, że nie pamiętano kim jest.

— I za cóż taka krzywda — powtarzał — za cóż taki despekt? Poprzedni wasz król, błażennej[4] pamięci Władysław, posłów

---

[1] Indyjską, z Kalkuty.

[2] Uroczysty zwrot pochodzący jeszcze ze średniowiecza, dziś używany już tylko przez patriarchę rosyjskiej Cerkwi prawosławnej.

[3] Posadzce — z łac.

[4] Błogosławionej — ros.

carskich w głowę całował. Ja, panowie senatory, ufnie, z dobroci serca mordę sobie różanym masłem[1] pomazał, żeby królowi miłym być, a król jegomość nawet mnie palcem nie tknął.

Senatorowie wprowadzili posła i jego świtę do jadalni, gdzie już czekały stoły winami zastawione. Moskale skosztowali, ale choć były tam małmazje i alikanty[2], węgrzyny stare, w smak im to wszystko nie poszło. Oświadczyli, że z chęcią przyjmą po czerwonym złotym, a wina wolą nie pić. Tak się też stało. Dostali po dukacie i odjechali.

* * *

Po powrocie z Zamku zastałem w książnicy jakąś starą Francuzkę, służebną z fraucymeru[3] królowej. Wręczyła mi liścik pisany osobliwym językiem:

„Cavalerzé mily pszeday iesli laska Antipasti Malioińsquées y nie mow nikomou otim".

Do licha! Któraż to panna nazywa mnie miłym kawalerem? Znam je z widzenia, nie rozmawiałem z nimi nigdy. Służebnej nie chciałem pytać. Powiedziała, kiedym przyjmował od niej zapłatę, że „Antypasty" są teraz na dworze najmodniejsze, sam król jegomość je chwalił. Nic więc dziwnego, że i panny z fraucymeru chciałyby książkę poznać, choć nie wszystkie czytają gładko po polsku.

* * *

Mamy więc trzy dni przerwy w rozmowach z Moskalami. Co też oni tam knują? Gdyby celem poselstwa było podpisanie paktów wieczystej przyjaźni z Polską, gdyby nie zamierzano wysuwać jakichś żądań i targować się o nie, to po co tak liczna świta, po co tylu bojarów, skrybów i ich pomocników? A wozy z futrami!

---

[1] Olejkiem — ros.

[2] Słodkie wina greckie i hiszpańskie.

[3] Żeńskiego dworu — z niem.

Widać więc, że poseł zamierza dłużej w Warszawie pozostać, rokując i kupcząc. Będzie czekał zapewne na przyjazd kupców z Wrocławia i Lipska, boć na miejscu w całości tych soboli chyba nie sprzeda.

*
* *

Tu Gorczyn. Kiedym z Krakowa jechał do Warszawy, zatrzymałem się w Warce nad Pilicą, gdzie z prawej strony rzeki Małopolska, z lewej zaś Mazowsze.

W mieście ludność mieszana, jedni na drugich bajdy wygadują i ubliżają chętnie. O Mazurach słyszałem, że mają czarne podniebienia. Dwie mile przed Warką zapewniała mnie szlachcianka pewna, że za Pilicą gęsi kwiczą, a świnie gęgają.

Przez ziemię radomską jadąc, wypytywałem pastuchów o najpiękniejsze imiona krowie, które są: Biodrula, Boczula, Kosmula, Kobielicha, Rogalicha, Kusa, Łysula, Ogonicha, Kozicha, Pliszka, Płoszka, Wabicha, Wardęcha, Wierzgula, Weselicha, Kropicha, Stępula (nie chce mi się w porządku abecadłowym układać), Chytrula, Draganka, Głąbka, Kłyszka, Klemula, Kępicha, Twardula, Noska, Smolarka, Patrzycha, Pętula, Malicha, Niedzielicha (bo się w niedzielę ulęgła), Bestra, Parnula, Krasula, Kozula, Białocha, Czarnocha, Zakola, Zuzula. Jeślim co dwa razy powtórzył, nie wińcie mnie, bom to musi dwa razy usłyszał.

Psy w ziemi radomskiej mają imiona: Burek, Kruczek, Rabek, Łysek, Kusy, Bosy, Huścha, Dyjanna i Mucha. Koniec, Gorczyn.

*
* *

A przestańże, luby Gorczynie, ciągle o krowach pisać. Imci panu Piotrowi te krówska tak obrzydły, że dziś rano kwaterki mleka nie mógł przełknąć. Pisz o czym chcesz, ale zapomnij o krowach.

III. ZA PALISADĄ

Ten sam piątek, zapisuję późnym wieczorem. Jużem się nie spodziewał, by ktoś do nas przyszedł. Sporządziłem obliczenie dziennego targu i chciałem iść spać, gdy zakołatano od ulicy.

Cicho, jakby się skradając, wszedł Gawryła Leontjew, pisarz i tłumacz moskiewski, któregom na Zamku spotkał. Pozdrowił mnie grzecznie, nisko się pokłonił i spytał w polskiej mowie, czy mu sprzedam jakie książki.

Rzekłszy te słowa, zadzwonił srebrem w mieszku. Zapewniłem, że wszystko, co widzi, jest do kupienia.

— Tak zwyczajnie?

— Zwyczajnie. Czego waćpan sobie życzysz?

Odpowiedział, że chciałby zobaczyć książki polskie wydane w ostatnich latach. Zaprowadziłem go do półek z nowościami, gdzie leżały dzieła z oficyn krakowskich, gdańskich, poznańskich, wrocławskich i innych, leżały też i nasze, między innymi wydrukowana świeżo praca pana Hiacynta Mokrskiego. Dla wygody zawiesiłem tam lampkę na łańcuszku

Odczytując tytuły, Gawryła coś mamrotał, kręcił głową, sykał i postękiwał; wyraźnie był niekontent.

Spytałem po raz drugi, czego sobie życzy, ale nic nie odrzekł, tylko coraz szybciej przerzucał książkę za książką. Wreszcie zatrzymał wzrok na „Władysławie IV" Twardowskiego. Chciwym

ruchem wsunął tom w zanadrze i spytał ile się należy. Żądaną sumę natychmiast zapłacił i znów zaczął grzebać śród druków.

W drzwiach od sieni ukazała się ciotka Elżbieta ze świecą w ręku. Oznajmiła grzecznie, choć stanowczo, że czas już spać. Ale Gawryła nie chciał odejść.

Zapewniłem więc, że jutro od samego rana może znów przyjść i szperać po półkach. Wyraźnie zaskoczony moimi słowami spytał, kiedy go do sieni wyprowadzałem, czy mu aby na pewno zawodu nie uczynię. Stojąca obok ciotka, roześmiawszy się, rzekła:

— Zważ, panie gościu, że my tu ze sprzedaży książek żyjemy. Im więcej ich kupisz, tym żywszą nam sprawisz radość.

I przez uprzejmość, a więcej przez gadatliwość kobiecą, spytała:

— Jak się miewa wasz car?

Na dźwięk tych słów Gawryła schylił się do ziemi, potem przybrał hardą postawę i jednym tchem zaczął mówić:

— Nasz car batiuszka, Wsieja Rusi samodzierżec, młody jest i zdrów, lat dwadzieścia liczący, piękny, rycerski, bardzo mądry, za usługi nagrody sute rozdaje, za winy karze srogo. Bogaty jest nasz car, ma wiele złota, wiele futer sobolich. Miasta i kraje podbite daninę mu składają, wierność ślubują i zmiłowania proszą. Moguczy[1] jest nasz car batiuszka, groźny i niezwyciężony...

— Powiedz waść — rzekła ciotka — czy wasz car ma żonę, czy kawaler?

— Nasz car batiuszka ma żonę młodą, zdrową, która mu dzieci bę... Och!

Gawryła urwał w pół zdania, bo korzystając z nieuwagi ciotki, zdmuchnąłem trzymaną przez nią świecę.

*
* *

Tu Gorczyn. Wybaczcie, więcej już o krowach słowa nie wspomnę. Z żalem wam to przyrzekam, gdyż między Krakowem a Warszawą imion zebrałem wiele i nie wiem, co z nimi robić. Wedle mego mniemania imiona krowie są słodsze od niewieścich.

---

[1] Potężny — ros.

Ormianin z Krzywego Koła, u którego lapis lazuli zamierzam kupić do zrobienia nieba nad głową przeora (bo uparł się i chmurek nie chce), Ormianin ów, spotkawszy mnie wczoraj na Rynku i grzecznie pozdrowiwszy, do swojego domu zaprosił. Tam potraktował petercymentem[1] przednim i ku radości oczu moich rozłożył na stole kamyków różnych chyba sto i opowiedział ich historię. A to jeden z Cejlonu był przywiezion, drugi z Nowej Grenady, ten z chińskiego królestwa, ten z czeskich Gór Kruszcowych, z Afganistanu, z Turcji, z Egiptu, tamten znów ze Syjamu.

Nie zapisałem wszystkich wiadomości, boby mi czasu nie starczyło, odkładam to na później. Notuję tylko najważniejsze sekreta lekarskie z kamieniami związane: ametyst strzeże od opilstwa, chryzolit strachy nocne odpędza, karbunkuł jedna przyjaciół, koral od pioruna chroni, achat wzrok poprawia, topaz gniew uśmierza, żabiniec czarom przeciwny, lapis lazuli przed ukąszeniem węża zabezpiecza, opal smutek sprowadza, smarak daje rumianą cerę, akwamaryna od utonięcia chroni, turmalin gadatliwym babom milczenie nakazuje, beryl zachwianą wolę wzmacnia, rubin bojaźliwym śmiałości dodaje, diament bogactwo przynosi, perła zapowiada łzy i zmartwienie. A najdziwniejszy z kamieni jest turkus, który przed chorobą swego pana smutnieje i blask traci. Skończyłem, Gorczyn.

*
* *

Sobota, dzień św. Józefa Oblubieńca. Dziś rano imć pan Piotr nie gędził na swoich skrzypkach, tylko z kubkiem grzanego mleka i pajdą chleba przyszedł do książnicy. Jedząc i popijając, czytał Gorczynowe zapiski o sekretach kamieni lekarskich. Raz przebiegł pismo wzrokiem, potem drugi raz i zwrócił się do mnie:

— Czytałeś waść?

— Tak, czytałem.

— I co myślisz?

— Myślę, że to przesądy.

---

[1] Słodkim winem hiszpańskim, gatunkiem malagi.

Pan Piotr skinął głową. Wypił resztę mleka, odniósł kubek, ale zamiast iść do drukarni, coś tam bąknął na usprawiedliwienie i chyłkiem, nie zawiadomiwszy żony, wymknął się na miasto. Zabrał ze sobą zwitek liniowanych papierów i trzcinki do pisania nut.

Opowiedział po powrocie, że był w pałacu Kazanowskich, dokąd przyjechali z Rzymu hejnuchy[1] dwa, sopranowymi głosami śpiewające. Mówi się na nich z włoska „bel uomini"[2], bo za inną denominację obrażają się łatwo. Przywieźli nuty pisane przez sławnego Orlando di Lasso, którego księciem muzyków nazywają.

Teraz zrozumiałem i ciotka zrozumiała, że od tych nowin pan Piotr głowę stracił. A no, nie po raz pierwszy poniosło pana Piotra.

* * *

Pierwszym gościem, jaki mnie dziś odwiedził okazał się nie Gawryła, tylko Adamandy Kochański, jezuicki uczeń, a trochę i mój uczeń, bo mu książek nie skąpię. Przyszedł się dowiedzieć, czy nie nadeszło co nowego z matematyki, fizyki, astronomii. Ogromnie rwie się do tych nauk. Ciekawe, że ptolomejskich dowodzeń o obrocie słońca i planet nie chce uznać, za co go łają przełożeni. Pożyczam Adamandemu z chęcią książki do czytania, bo wiem, że ich nie zniszczy, nie poplami i zwróci w umówionym terminie.

Cisza panowała od dłuższej chwili w książnicy. Stałem przy pulpicie, zapisując targ z ubiegłej doby. Adamandy siadł na zydlu tuż pod półką i karta po karcie przeglądał jakiś druk plantenowski z Anturfu[3], gdy nagle ktoś kopnął w drzwi od ulicy i dało się słyszeć wołanie:

— Nu, wiedi, czortowa boroda!

Wszedł skulony Gawryła Leontjew i tuż za nim bojarzyn olbrzym Żemczug. Adamandy, w lekturze zagłębiony, tak się zląkł

---

[1] Eunuchowie.

[2] Piękni ludzie.

[3] Z założonej w 1554 r. w Antwerpii oficyny Christophe'a Plantina (ok. 1520–1589), znanej w Europie z wyjątkowej dbałości o oprawę graficzną książek.

tego hałaśliwego wtargnięcia, że zerwał się ze stołka i chciał czmychnąć. Zatrzymał go Żemczug ruchem ręki:

— Ty czto, ispugałsja? Da sidi, durak, nie mieszajesz[1].

I rozejrzawszy się dokoła, splunął z obrzydzeniem:

— Barachła[2] to u nich skolko, tfu!

Gawryła, jąkając się i przepraszając, jął tłumaczyć po polsku, że ten oto dumny bojar[3] nigdy jeszcze w książnicy nie był i przez ciekawość pragnie ją obejrzeć.

Wyraziłem zgodę. Żemczug tymczasem nikogo o nic nie pytając, zaczął chodzić wzdłuż półek. Gdy trafiał na złocony grzbiet, wyciągał książkę, a nie znajdując tam rycin, precz ją odrzucał.

Zwróciłem mu uwagę, że z książkami trzeba się lepiej obchodzić.

— Ładno, ładno[4] — mruknął — znajem my eto.

I dalej robił nieład na półkach, aż wreszcie zagwizdał z uciechy i zwrócił się do mnie, pokazując krakowską „Grizellę".

— Kto ona? Wot, krasawica! Da gowori że ty, kuda jejo wiedut!

Musiałem opowiedzieć historię Grizelli, z czego był taki rad, że prosił o pokazanie innych tego rodzaju książek. Śmiał się i wzruszał, wszystko chciał naraz wiedzieć, wreszcie spytał, czy to prawda, że w Polsce wolno kupować książki bez królewskiego zezwolenia.

Zapewniłem, że każdy może kupić ile zechce, na co w odpowiedzi zawołał:

— Ot i bezporządek w tej waszej Rzeczypospolitoj!

Potem, rozejrzawszy się wkoło, dodał:

— Na książkach daleko nie zajedziesz, a surowości i bojaźni u was brak, ot co.

* * *

---

[1] Ty co, przestraszyłeś się? Siedź, głupku, nie przeszkadzasz — ros.

[2] Śmieci, rupieci — ros.

[3] Członek Dumy, carskiej rady.

[4] Dobrze, w porządku — ros.

W Głuchą Niedzielę[1]. Od samego rana, choć to gniewa ciotkę, pan Piotr gra z nowych nut, chwilami znów wyśpiewuje jakieś kancony włoskie. Wybornej polewki piwnej z siekanym serem ledwie tknął i zaraz pobiegł na górkę, gdzie stoi wirginalik[2], na ścianie są porozwieszane skrzypce, a po wszystkich kątach leżą nuty.

Polewkę zjadłem z ochotą i po wysłuchaniu mszy świętej u fary, wybrałem się z Gorczynem i Adamandym Kochańskim pieszo do Kałęczyna.

Trzeba przyznać, że Moskale to dobrzy cieśle i pracują szybko. Dwór od strony drogi zdążyli palisadą opasać. Sterczą paliki białe, z kory obłupane, ostro zakończone i w każdym tkwi żelazny kolec. Przeleźć przez takie ogrodzenie byłoby trudno.

Mieszka ich tam społem, jak powiadają, stu osiemdziesięciu. We dworze poseł, jego najbliższej świty osób dwadzieścia i pół setki zbrojnych, a reszta: popy, służba i woźnice, ci z końmi na majdanie się gnieżdżą.

Obeszliśmy samotrzeć całą posesję. Na tyłach rów pod palisadę wykopany, dostęp na dziedziniec pustymi wozami zagrodzony. Moskale z pikami przejść strzegą i kiedy się zbliżać, wołają:

— Stupaj won, prowaliwaj[3]!

Gorczyn patrzy się na to i mówi:

— Nieufny naród. Przecie nikt by im takiego wozu nie ukradł.

Zwrócił nam uwagę na drewniane osie łykiem z piastami połączone i obracające się wespół z kołem. Adamandy dodał, że był świadkiem przeprawy owej karawany. Wóz moskiewski, jadąc, skrzypienie czyni wielkie na podobieństwo kwiku przerażonej maciory z warchlakami.

Gorczyn pouczył, że oś drewniana niebezpieczna jest, bo od tarcia ogniem zająć się może. Ludy dzikie, krzesiwka nie znające,

[1] Trzecią niedzielę Wielkiego Postu.

[2] Mały prostokątny instrument klawiszowy, w którym dźwięk wydobywało szarpnięcie struny piórkiem (podobnie jak w szpinecie i klawesynie).

[3] Idź stąd, wynoś się! — ros.

w ten sposób ogień dobywają, pocierając wytrwale dwa drewienka, póki dym z nich nie pójdzie.

— O czym się dowiedziałem — dodał — z łacińskiej książki luzytańskiego[1] autora Józefa de Moraes Silva.

Na dziedzińcu przed gankiem kuchennym hajdukowie moskiewscy, między dwa drzewa drąg założywszy, kobierce na nim trzepali. Te same, którem nad Wisłą widział przy ich zdejmowaniu z łoża na kołach pod baldachem.

Adamandy zgorszył się, że w niedzielę trzepią. Gorczyn zaś, który zna się na wzorach orientalnych, wskazał chorosański[2] kobierzec wielce połyskliwy, pono najdroższy.

— Zapamiętajcie — mówił — że chcąc z niego połysk wydobyć i od zmatowienia uchronić na przyszłość, trzeba kobierzec zaraz po utkaniu do owczarni zanieść i na klepisku rozesłać. Niech owce co chcą robią, niech na nim śpią, niech się tarzają, wylegują, niech go zaśmiecą nawozem. Im dłużej owcom będzie służył, tym świetniejszych nabierze kolorów i blasku. Świadectwo mych słów u Kluweriusza najdziesz.

Kiedyśmy tak stali na to trzepanie patrząc, ukazał się na ganku bojarzyn Żemczug i zwrócił się do mnie:

— No i czto ty skażesz? Spodobało się, a?

Ze szczerym zachwytem pochwaliłem kobierce, on zaś rzekł:

— U nas wsiego mnogo, u nas bogato.

Najwyraźniej był zadowolony z mojej pochwały. Potem, wskazując palcem Adamandego, dorzucił:

— Ciebie ja widział. Ty kto taki, ksjondz?

Wyjaśniłem, że nie ksiądz, tylko jezuicki uczeń, Żemczug zaś dalej pytał:

— Ty czytać umiejesz? Pisać tożе? I po łacinnicki czytać umiejesz?

[1] Luzytanią zwano w starożytności prowincję rzymska, zajmującą teren dzisiejszej Portugalii i fragment zachodniej Hiszpanii.

[2] Z ziemi Chorasan we wschodniej Persji.

Kiedy Adamandy skinieniem głowy rzecz potwierdził, Żemczug splunął i zwrócił się do Gorczyna:

— A ty kto? Tože uczonyj?

Znów zabrałem głos, tłumacząc, iż jest to mój przyjaciel Gorczyn z Krakowa, nie tylko piśmienny, ale i autor wielu książek, muzyk, piktor[1], heraldyk.

— Ot i umnica, he, he...

Patrzył na nas z wysokości ganku, lewą rękę dumnie o bok oparłszy, najwidoczniej rad, że podziwiamy jego postać. Bo też trzeba przyznać, dorodny to mąż.

Ni z tego, ni z owego Gorczyn rzucił:

— Jak się miewa wasz car, czy zdrów?

Na te słowa Żemczug wyprostował się jak trzcina i zaczął mówić:

— Nasz car batiuszka, Wsieja Rusi samodzierżec, młody jest i zdrów, lat dwadzieścia liczący, piękny, rycerski, bardzo mądry, za usługi nagrody sute rozdaje, za winy karze srogo. Bogaty jest nasz car...

Przypomniałem sobie, że przecie znam te słowa, bom je już słyszał z ust Gawryły Leontjewa. A no, widać ich wszystkich na jedno kopyto nauczono.

* * *

Kiedyśmy samowtór z Gorczynem wracali z Kałęczyna (Adamandy pożegnał się wcześniej), spotkał nas pan Piotr Elert i spytał dokąd idziemy. Odpowiedziałem, że gdzie oczy poniosą, byle zapomnieć o głodzie wielkopostnym.

— Zważcie, panowie — odparł — że dziś niedziela. A toż na ten dzień nawet niektóre klasztory dyspensę mają, choć się tym nie chwalą przed obcymi.

Gorczyn rzekł:

— Tak, tak, panie Piotrze, wiem. W klasztorze, gdzie popasam, przeor i wielebni ojcowie suma mieli wczoraj ogromnego

[1] Malarz — łac.

w muszkatołowej polewce, a skromnym braciszkom dodatkowe modlitwy zalecili.

Ująwszy nas pod ramiona, pan Piotr wyznał pod sekretem, że właśnie zmierzał do piwnicy Ormianina jednego w Rynku, gdzie o każdej porze można dobrze zjeść i winem popić. Prosił, byśmy z nim poszli.

Zastałem w piwnicy kalwinów kilku (może mięso jedli, tego nie wiem) i kilku rzymskich katolików, co podobnie jak pan Piotr od żon poumykali. Ormianin przyniósł z kuchni płoć rozłożystą, szafranem suto posypaną. Do tego wino białe, multańskie[1]. Wspominaliśmy, żartując, ciotczyne jagły i postny żurek z owsa.

Zważywszy, że od szafranu gęby nam i jęzory całkiem pożółkły, myliśmy się w misce popiołem z wodą, żeby się ciotka Elżbieta czego nie domyśliła.

Wyszedłszy z piwnicy na świeże powietrze, kiedym głęboko odetchnął i chuchnął, zdawało mi się, że to pożar, że Warszawa gore, taką spiekotę miałem w ustach od pieprzu i szafranu, którymi Ormianin nas uraczył.

Pan Piotr rzekł do Gorczyna:

— Pokazałem waści ormiańską siedzibę, pokażże ty teraz drugą, tę z klejnotami. Chciałbym dla mojej Elżbietki kamyk godziwy dobrać i w pierścionek go wprawić.

Poszliśmy więc na Krzywe Koło. Powitał nas długobrody patriarcha, Dawid Isaakowicz, ormiańskiej gminy starosta i sędzia. Na wstępie podziękował Gorczynowi za sprowadzenie tak miłych gości i spytał, czym może służyć.

— Szukam — rzekł pan Piotr — kamyka turmalinem zwanego.

Ormianin postawił na stole skrzynkę z czarnego dębu i kazał przynieść wieloramienny świecznik. Potem, wypędziwszy ze stancji swoich wnuków, a kupa ich tam była, wyciągnął z fałd wzorzystego pasa złoty kluczyk.

[1] Mołdawskie.

— Turmalin... — mruknął jakby do siebie. — Tak, mam jeden bardzo piękny, malinowy.

Zaczął grzebać kluczykiem w zamku. Skinąłem na Gorczyna, ten pojął w lot i wyszliśmy cicho, pozostawiwszy pana Piotra sam na sam z przekupniem klejnotów.

*
* *

Tu pisze Piotr Elert. Sprawę z kamykami przedstawiłeś, mości Stanisławie, tak mglisto i zagadkowo, że wyszedł ekwiwok[1]. Ktoś obcy mógłby sobie o mojej żonie fałszywe wyrobić pojęcie, mógłby pomyśleć, że po to tylko biegałem z wami do starego szachraja z Krzywego Koła, by się w turmalin zaopatrzyć. Zważ przeto, co następuje:

1. Nie bardzo wierzę w całe te sekreta z kamieniami związane. Są one, mniemam, ormiańskimi wymysłami, a Gorczyn w prostocie ducha je zapisał.

2. Im dłużej żyję z żoną moją Elżbietą, ciotką waszmości, tym wyżej ją cenię. Owszem, nie będę tail, że kobieca głośna wesołość, niefrasobliwe gadanie, posiłków ścisłe godziny, rygor w domu i zakaz grania nocą szkodzą mojej gorliwości muzycznej, ale przebóg, mogę wszak czmychnąć dokąd chcę i Elżbieta nie robi o to piekła.

3. Przyznaję, że zamierzam kupić dla Elżbiety złoty pierścionek, ale nie z malinowym turmalinem, bo mi nie przypadł do gustu. Dostrzegłem inny kamyk, znacznie droższy, na którego będę czatował.

Widzisz więc, mości Stanisławie, że nie ma tu żadnych myśli ukrytych ani podstępu, lecz tylko chęć zrobienia Elżbiecie niespodzianki. P.E.

*
* *

W następny poniedziałek. Odwiedził mnie znów Gawryła Leontjew. Tym razem przyszedł ze swym pomocnikiem, też tłumaczem poselstwa, ale młodszym, o imieniu Wańka Tarapajew. Siedzieli długo, dwie i pół godziny, przeglądając książki na półkach.

Zaczynam się przyzwyczajać do tych moskiewskich gości, nawet rad ich widzę, bo już kupili sporo książek. Żemczug wziął „Grizellę" i jeszcze jakąś bajkę z rycinami; zapłacił bez targu. Gawryła, jak się zdaje, szuka książek wydrukowanych ku chwale króla Władysława, szuka relacji z polskich czynów orężnych tudzież zapisek hetmanów, wojewodów, biskupów.

Gawryła też się nie targuje, żąda natomiast potwierdzenia kupna na piśmie, na co się zgadzam. Dziś prosił szeptem, bym wstawiał ceny nieco wyższe od rzeczywistych, gdyż, jak powiada, będzie to jego słuszny zarobek. Muszę pogadać z panem Piotrem.

Wańka Tarapajew jest drugim tłumaczem poselstwa, ale nie bywa na Zamku. Czyta, pisze i mówi dość płynnie po polsku, jednak dźwięk jego słów pozostaje obcy i dla ucha przykry. Podobno sam się wszystkiego nauczył z książek polskich pozostawionych w Moskwie przez dworzan cara Dymitra.

*
* *

Pan Piotr wcale się dziś nie pokazał w książnicy. Siedzi w swojej stancyjce i przepisuje nuty wypożyczone od hejnuchów z pałacu Kazanowskich. Od czasu do czasu słychać jak gra na violi.

*
* *

O zmroku wszedł do książnicy rotmistrz Okoń. Coś mnie tknęło i na jego widok zawołałem:

— Cześć, panie rotmistrzu! Pewnie po „Antypasty małżeńskie", co?

Stanął jak wryty.

— A waść skąd wiesz?

Uwierzyć nie chciał, żem od niechcenia zgadł, a był trzecim gościem, co po tę książkę dziś przychodził. Jeżeli tak dalej pójdzie, to „Antypasty" rychło wyprzedamy. Trzeba będzie do pana Cezarego zamówienie wysłać.

[1] Dwuznacznik — z franc.

Pomyślałem sobie: „Mój Ty Boże, czemu książki tego mizeraka Gorczyna na najwyższych półkach leżą i tylko z rzadka ktoś je kupi. Przecie Gorczyn ma w głowie więcej oleju niż niejeden pisarz w chwale żyjący. Tyle, że niezaradny jest, financarz z niego kiepski".

*
* *

Pisze Gorczyn. Miałem w ręku przez krótką chwilę stary druk bazylejski, dzieło światłego męża Philippusa Aureolusa Theophrastusa Bombastusa[1]. Na dłużej nie chciano mi dać. Wybrałem z tej księgi spis wiatrów.

Wieją na lądach i morzach: Altanus, Aphricus, Aquilo, Auster, Boreas, Caurus, Circius, Coecias, Corus, Euroaphricus, Eurus, Favonius, Foen, Harmattan, Mistral (ten na Awinion dmucha), Musonów kilkoro, Nora, Notus, Pasatów dwa, Samum, Septemtrio, Sirocco, Solanus, Subsolanus, Trascias, Vulturnus i Zephyrus. Koniec o wiatrach, Gorczyn.

---

[1] Renesansowego przyrodnika i lekarza (1493–1541), bardziej znanego współcześnie jako Paracelsus.

IV. POCZĄTEK ROKOWAŃ

W dzień św. Feliksa. Wybraliśmy się z panem Piotrem na Zamek, dokąd o oznaczonej godzinie przybył poseł ze świtą. Oczekiwali go obaj kanclerze i podkanclerzy*.

W otoczeniu posła dostrzegłem Gawryłę Leontjewa, który papier i inne przybory do pisania przyniósłszy, obok pulpitu stanął. Był tam i poselski krewniak Stiopka Puszkin, był i Żemczug; jak zwykle hardy, na senatorów z wysoka spoglądał. Razem naliczyłem bojarzynów ze dwunastu.

Kanclerz spytał na wstępie, z czym pan poseł przychodzi. Ten ku ogólnemu zdziwieniu poprosił o odroczenie rozpraw, gdyż nie jest przygotowany. Na to kanclerz:

— Życzenia waszego nie mogę spełnić, panie pośle i nie rozstanę się z wami, póki się nie dowiem po coście do nas przyjechali.

Słowa te Gawryła Leontjew przetłumaczył na moskiewską mowę, a poseł, żałośnie westchnąwszy, rzekł do Gawryły:

— Nu, tak dawaj swiszcz[1].

---

* Kanclerz koronny Jerzy Ossoliński (1595–1650) i kanclerz litewski Albrycht Radziwiłł (1593–1656) oraz podkanclerzy koronny Bogusław Leszczyński (1612–1659).

[1] Słowo niezidentyfikowane. Autor powtarza je za Ludwikiem Kubalą, a ten prawdopodobnie za kronikarzem epoki, Jakubem Michałowskim, który w *Księdze pamiętniczej* (Kraków 1864, s. 356) napisał:

Otworzyli skórzaną sakwę, grzebali w niej dość długo i wreszcie wyciągnęli jakiś papier. Stękając, spoglądając z ukosa na kanclerza*, poseł zaczął czytać:

— W paktach wieczystych zapisano, że obaj monarchowie i obie Rzeczypospolite...

Z ławy senatorów padły pytania:

— Co to znaczy? Jakie obie Rzeczypospolite?

Ale Puszkin nic im nie odrzekł i czytał dalej:

— Obie Rzeczypospolite mają pozostawać w wieczystej przyjaźni, a po śmierci jednego monarchy następca i pozostały monarcha potwierdzą wieczne pakta przez wymianę obopólnych gramot. Król Kazimierz, wstąpiwszy na tron, wysłał posłów z potwierdzającą gramotą, ale aktu tego w Moskwie nie chciano przyjąć, ponieważ były w nim omyłki i carskich tytułów pomieszanie.

Zwinął papier i zwrócił się do senatorów:

— Takie omyłki, panowie rada, dzieją się wciąż i dzieją się bezkarnie, a król wasz ani jednego z winnych dotychczas nie ukarał.

Głos zabrał kanclerz:

— Zważcie, panie pośle, że wszyscy jesteśmy omylni. Za błąd mimowolny, nie ze złej woli popełniony, karać nie mamy zwyczaju. Możemy tylko zalecić, by się na przyszłość baczniej tych błędów wystrzegano.

— Ot i nieprawda! — zawołał poseł. — Pisząc do cara batiuszki, nie wolno się mylić w tytułach. Za to u nas śmiercią każą, panowie rada. I ja, carski poseł pełnomocny, w imieniu monarchy mojego kary śmierci żądam na winnych!

Potrząsnął carskim swiszczem i zaczął mówić głośno, z coraz większą popędliwością:

— Tu, panowie rada, w tej bumadze jest spis winowajców, zbrodniarzy i niegodziwców, którzy pisząc do carskiej pałaty w Moskwie ośmielili się tytuły carskie zmieniać, przestawiać

„A drugich panów [nazwiska] na szwisczach (id est na regestrach) ... podali".

* Tu i w dalszym ciągu stale będzie mowa o kanclerzu Ossolińskim.

z miejsca na miejsce, skracać, przekręcać i dodawać takie, jakich nie ma. Z tej bumagi ja wam przedstawię, panowie rada, imiona tych, co w mojej przytomności gardłem być mają pokarani i to zaraz, bez długich rozgoworów...

Ruchem ręki kanclerz przerwał posłowi:

— Wybaczcie, panie pośle, ale nie jestem pewny, czy słów waszych godzi mi się słuchać. Pozwólcie, że zarządzę krótką przerwę dla własnego namysłu.

Wstał i wyszedł, senatorowie też podnieśli się z ławy. Puszkin siedział, pot ocierając z czoła i coś Żemczugowi szeptem tłumaczył. Gawryła wygładzał dłonią pomięty przez posła swiszcz. W sali nastrój był ciężki, nikt głośno nie mówił. Oczekiwano na kanclerza, jak się później dowiedziałem, naradzającego się z królem.

Po kilku minutach kanclerz wrócił na salę:

— Słucham z uwagą, panie pośle.

— Nu i ładno! — zawołał Żemczug.

— Ja, panowie rada — zaczął poseł — wyliczę wam teraz największych niegodziwców, którzy śmiercią muszą być ukarani. I zważcie, panowie rada, że ja, monarchy moskiewskiego pełnomocny poseł, od żądań moich nie odstąpię.

Odetchnąwszy głęboko, zaczął wymieniać wojewodów, hetmanów, kasztelanów, nie szczędził przy tym obelg i przezwisk.

— Ot na przykład — wołał — taki Marcin Kalinowski, ten to niegodiaj[1]! Za króla Władysława wojował z nami, a później, stawszy się wojewodą bracławskim, w pisanych listach tytuły carskie przeinaczał, niektóre opuszczał, inne wymieniał w złej kolejności. Tak, panowie rada, my jego śmierci żądamy.

Zamilkł na chwilę, a ponieważ kanclerz i senatorowie nie odezwali się słowem, mówił dalej:

— Albo drugi niegodiaj, wojewoda Kisiel, ten znów w liście pisanym do pałaty moskiewskiej zaledwie połowę tytułów carskich wymienił i na zakończenie wstawił dwa razy po trzy litery: je, tje, cje... je, tje, cje... Co to znaczy, panowie rada?

[1] Łajdak — ros.

— To znaczy: i tak dalej — wtrącił senator Załuski.

— Tak my jemu za te jego je, tje, cje...

— Gołowu otrubim! — wrzasnął Żemczug.

— Gołowu otrubim — potwierdził poseł.

Zajrzał do swiszcza i ciągnął dalej:

— Innych niegodziwców, co na śmierć zasłużyli, ja wam później wymienię, panowie rada. Wymienię: Koniecpolskiego, Kiszkę, Kopecia, Abramowicza, Żółkiewskiego i innych. A teraz wspomnę o najgorszym podlecu, przez którego car nasz, batiuszka prawosławny, rzewnymi łzami płakał i pomsty niebios wzywał.

Zziajany, spocony, poseł Puszkin wychylił duszkiem czarkę jakiegoś płynu i mówił do senatorów:

— Ten to moszennik[1], ten podlec, przez którego car nasz płakał, zowie się Jeremi Wiśniowiecki. I ja, panowie rada, na jego łagodnej śmierci nie poprzestanę. Ja, panowie rada, żądam wbicia Wiśniowieckiego na pal! Ot co, wyraźnie mówię, na pal!

Spojrzałem na kanclerza. Siedział bez ruchu jak woskowa figura. Patrzył Puszkinowi wprost w oczy, uporczywie, bez drgnienia powiek.

Nagle któryś z senatorów zachichotał zdławionym głosem. Widocznie nie mógł zapanować nad sobą. Poseł Puszkin zwrócił się gwałtownie w jego stronę.

— Ty czto? Naśmiewasz się ze mnie? A znajesz ty, że ja tu cara wyobrażam? Wsieja Rusi władykę i samodzierżca?

Słyszałem, jak Żemczug mówił do Karawan-Warłaamowa:

— Och, dałby ja jemu w rożu[2]...

Inni Moskale zaczęli głośno gadać i hałasować. Wrzawę uciszył kanclerz, zwracając się do Puszkina:

— Chcielibyśmy wiedzieć, panie pośle, czym sobie wojewoda Wiśniowiecki na tak wielką niechęć zasłużył?

— Aaa! Ot pytanie! To wy nie wiecie, że Wiśniowiecki zbiegłych popów przygarnął, a kiedy car batiuszka zażądał ich wyda-

[1] Szubrawiec — ros.

[2] W mordę — ros.

nia, Wiśniowiecki w bezwstydnym liście żądaniu odmówił i jeszcze tytuły carskie poplątał, poprzestawiał i na zakończenie, podobnie jak wojewoda Kisiel, wpisał obraźliwe litery je, tje, cje, przez co, Hospodi Boże Ty mój, z ócz carskich ślozy popłynęły.

W tym miejscu po raz pierwszy zauważyłem, że kanclerz Ossoliński z lekka się uśmiechnął.

— Panie pośle — rzekł — litery, o których mówicie, są skrótem „et caetera", co po łacinie znaczy: „i inne" lub „i tak dalej". Skrót ten jest używany przy wyliczaniu tytułów i żadnej obrazy w nim nie ma. Co do zbiegłych popów, nic wam nie powiem, bo nic nie wiem.

Senator Załuski dodał w tym miejscu, że we wschodnich województwach Rzeczypospolitej często się widzi zbiegów, przed srogością praw i obyczajów moskiewskich w Polsce szukających ocalenia. Dziwić się więc należy, iż monarcha moskiewski tak wielką przywiązuje wagę do wypadku ze zbiegłymi popami.

— Wy, panowie rada — rzekł Puszkin — lepiej się nie dziwujcie, póki nie zrozumiecie. Pop popu nierówny, popów jest wielka rozmaitość. Popy wiejskie od prostych mużyków[1] niczym się nie różnią i o nich mówić czasu szkoda. Ale w Moskwie znajdziecie popów sławnych, takich co ikony święte malują i Jewangelię starocerkownym językiem piszą, takich co przechowują sekret kadzidła, i takich co po chramach bożych ku chwale Wiekuistego śpiewają i znają na pamięć cały Romokanon[2].

Puszkin przełknął kubek napoju.

— Są jeszcze — mówił — są jeszcze popy carskie, co na Kremlu po kancelariach siedzą. I tu ja was, panowie rada, o chwi-

[1] Chłopów — ros.

[2] Zbiór pieśni religijnych Romana Pieśniarza, zwanego też Słodkopiewcem lub Melodosem, największego bizantyńskiego twórcy hymnów liturgicznych. Pełniąc w VI wieku posługę w konstantynopolskiej świątyni Hagia Sofia, napisał on kilkaset pieśni (do naszych czasów przetrwało ich około osiemdziesięciu). Uważany jest za patrona śpiewu cerkiewnego.

lę uwagi poproszę, bo carski pop to nie zwyczajny pop. Taki pop z carskiej pałaty bacznie jest pilnowany, żeby się po mieście nie wałęsał, żeby się w jakiej karczmie nie upił i, Hospodi pomiłuj, żeby carskich tajemnic gdzie bądź nie zdradził. No i stało się nieszczęście, panowie rada, stało się nieszczęście.

Poseł zaczerpnął powietrza raz i drugi raz, otarł pot z czoła.

— Ot co, panowie rada, dwa popy z carskiej służby zbiegły, ot co! Dokąd? Do Polski, do pana wojewody Wiśniowieckiego. I cóż pan wojewoda zrobił? Czy ich w kajdany zakuł i carowi odesłał? Nie, pan wojewoda przygarnął przeklętych popów, w polskie żupany przyodział i we własnej zatrudnił kancelarii. Boże mój, co za despekt dla moskiewskiego monarchy, co za konfuzja! Och, och...

Poseł zachłysnął się.

— Później, panowie rada, w odpowiedzi na carskie żądanie odesłania popów, Wiśniowiecki list do cara batiuszki napisał, och, list haniebny... Mam go w tej oto sakwie.. Och, och...

Znów się zachłysnął. Podkanclerzy Leszczyński, porozumiawszy się wzrokiem z kanclerzem, wstał, podszedł do Puszkina i rzekł:

— Prosimy was, panie pośle, o pokazanie tego listu.

— Toż ja wam rzekł, co w nim stojało.

— Pragniemy jednak zobaczyć.

Poseł, nie ukrywając niezadowolenia, zaczął gmerać w skórzanym worku, w czym pomagał mu Gawryła. Wyciągnęli po długim szukaniu jakiś pomięty papier, brudny, zatłuszczony i pokapany woskiem. Ale nie chcieli wypuścić go z rąk. Podkanclerzy nic nie mógł sprawdzić, gdyż podsunięto mu pismo odwrócone spodem ku górze. Na uwagę, że w ten sposób nie zdoła przeczytać, Żemczug zawołał:

— Nu i nie nado[1]!

Gawryła zaś szybko schował list do sakwy tłumacząc się, że gdyby zginął, gardłem by za to odpowiadał.

---

[1] Nie trzeba — ros.

Kanclerz Ossoliński, zamieniwszy kilka słów z podkanclerzym, przemówił do posła:

— Z tego, co przed chwilą zaszło, wnioskuję, panie pośle, że listu wojewody Wiśniowieckiego do przeczytania nam nie dacie. Wspomnieliście o wielu innych mężach, którzy czci należytej waszemu monarsze nie okazali i dla wszystkich żądacie kary śmierci. Oświadczam, panie pośle, że żądaniom waszym nawet król jegomość bez zgody Sejmu zadośćuczynić by nie mógł...

— Ot i z Sejmem wyskoczył! — zawołał Karawan-Warłaamow.

— Nu, tego ja mógł się spodziewać — rzekł Puszkin, machnąwszy pogardliwie ręką. — Znam ja wasze chytrości, panowie rada, Sejmem się zwykle zasłaniacie, kiedy do ściany was przycisnąć.

Śmiechy rozległy się śród Moskali.

— U nas w Moskwie car batiuszka kogo zechce, tego na śmierć posyła — mówił Puszkin. — Skinie na opryczników[1] i gotowe, już go powiedli. Nikt, panowie rada, spytać by nawet nie śmiał, za co jego brata kołem łamano, za co wyrwano język albo łeb ucięto. Bo w narodzie strach musi być, carska władza jest twarda, ot co!

— Panie pośle — podjął kanclerz — nie jestem pewny, czy tego rodzaju żądania będę mógł z wami omawiać, gdyż są to rzeczy nowe, niespotykane. Muszę się nad tym zastanowić.

Puszkin skinął głową.

— Ja czasu mam dość.

Kanclerz naradzał się przez chwilę z podkanclerzym i senatorem Załuskim. Puszkin tymczasem nalał sobie czegoś do czarki i ująwszy ją końcami palców obu rąk, popijał z zadowoleniem. Odstawił czarkę, wytarł czoło rękawem i spojrzał na Żemczuga, który przymrużył jedno oko.

---

[1] Opricznina — służba utworzona w 1565 r. przez Iwana IV Groźnego (1530–1584) do walki o scentralizowanie carskiej władzy. Bezwzględność i okrucieństwo jej działania stały się przysłowiowe.

Kanclerz skończył się naradzać.

— Panie pośle — rzekł — może byśmy się spotkali w najbliższą niedzielę, na uczcie, którą dla was i dla waszej świty zamierzamy wyprawić.

— Ładno, niech tak będzie.

Wesoły szmer powstał śród Moskali i do rozmowy wmieszał się Żemczug:

— Znaczyt, kto ma przyjść, panie kancler? Bo nas w poselskim dworcu mnogo. Samych bojarskich synów dważdy sorok, po waszemu osimdziesiąt, a są jeszcze kupcy, popy, pisarczyki różne. Tak znaczyt, kto ma przyjść?

Kanclerz wyjaśnił, że kogo pan poseł wprowadzi, ten będzie miłym gościem.

* * *

W dzień św. Marka. Pan Piotr przepisał pożyczone nuty i odniósł je do pałacu Kazanowskich, ale sopranistów tam nie zastał.

Pani Kazanowska rzekła:

— Znajdziesz ich waść u imci pana Hieronima Radziejowskiego. Na moją prośbę obu stąd zabrał, a z nimi wszystkie nuty i instrumenta muzyczne. Boć przecie wdową będąc, nie mogę muzyki we własnym domu słuchać. Żałoba mi nie pozwala.

— A na Zamku mówią — dodał pan Piotr po zdaniu tej relacji — że pani Kazanowska jest potajemnie zaręczona z panem Radziejowskim, który takiej fortunie wymknąć się nie da[1]. Może z tą myślą wziął hejnuchów pod opiekę, żeby na weselu śpiewali.

— Któż tych cudaków z Rzymu sprowadził? — spytała ciotka.

Pan Piotr wyjaśnił, że wezwał ich listem na krótko przed swoją śmiercią nieboszczyk pan Kazanowski, sopranowych trylów wielki znawca.

---

[1] Adam Kazanowski (1599–1649), podkomorzy koronny, później marszałek nadworny koronny, zmarł bezpotomnie, jako jeden z najbogatszych ludzi w ówczesnej Polsce.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. Przeor klasztoru zgodził się na wpisanie pozostałych imion krów do księgi, co leży w refektarzu. Będzie ich sto kilkadziesiąt. Wybaczcie, że wbrew obietnicy o bydlętach wspominam; ostatni to już raz, żeby ślad po moim zbieractwie nie zaginął.

Gruba ta księga, między dwiema deskami klamrą zamykana, spoczywała niegdyś na łańcuchu. Bo też było czego strzec. Sporządzono ją z cudnie gładzonych skórek pergaminowych, na jakie chyba tylko król mógłby sobie pozwolić. Dziś poniewiera się starucha we wnęce ściany, zakurzona, pajęczynami zasnuta, bo nikt jej już nie tyka jako rzeczy nikomu niepotrzebnej. Klasztor zaopatrzył się w nową księgę z najbielszego papieru, w okładzinie z brązami i malachitami na rogach. W starej, przy samym końcu są puste karty i na nich wolno mi pisać.

Niedobre mam światło do malowania, no i z tym malowaniem zbytnio się nie śpieszę, bo i po co? Przeor kontent jest, nie popędza, woli pospać niż klęczeć przed aniołem, którego musi sobie imaginować. Obaj czekamy więc na kwietniową pogodę, na lepsze słońce.

Głowę anioła, księgę trzymającego otwartą, z lekka tylko zaznaczyłem na płótnie. Do wymalowania twarzy będę potrzebował niewiasty z prawdziwie anielską urodą. Skąd ją wziąć?

Przerywam pisanie, bo do książnicy wszedł gość spod Lublina i opowiada ciekawe rzeczy. To wędrowny księgarz. Może kupi co z moich książek. Koniec, Gorczyn.

V. KREMOŃSKIE SKRZYPKI

Ten sam dzień, czwartek. Od rana do południa liczyłem i dobierałem książki, gdyż odwiedził mnie księgarz wędrowny, który wozem dwukonnym po ziemi lubelskiej jeździ, sprzedając kalendarze oraz druki świeckie i nabożne, katolickie i antypapieskie, jakich kto sobie życzy. Nawybierał dużo przeróżnych zgręzów dla pospólstwa, jak: „Marchołt", „Sowizdrzał", „Kostyra z pijanicą", „Warwas", „Palinur" etc. Opowiadał, że w okolicy Lublina wielkie się stało kultów pomieszanie, wskutek czego wjeżdżając do jakiejś wsi kościelnej, nigdy nie wiesz czyja to parafia.

Gorczyn spytał:

— Jakże więc waćpan sobie radzisz? Boć nieporozumienie łatwo przytrafić się może.

Księgarz odrzekł, iż zwykle przed wjazdem do niepewnej parafii wypytuje napotkanych po drodze kmiotków. Jeżeli parafia jest rzymskokatolicka, obaj z woźnicą, stanąwszy przed kościołem, śpiewają radosną pieśń do Matki Boskiej; jeżeli kalwińska, śpiewają ponury psalm genewczyków; jeżeli ariańska, pieśń dziękczynną, jakiej się w Janowcu u pana Firleja nauczyli.

Gorczyn ciekaw był pieśni, bo jej nie znał, wobec czego księgarz przywołał z ulicy woźnicę i zaśpiewali społem:

Kto żywi powietrzne ptaki?
Kto źwierzęta, kto robaki?

Kto pod wodą błędne ryby?
Ty sam, Panie, bez pochyby.

Ty sam, Panie, z swej możności
Dawasz wszytko ku żywności
I napełniasz miejsca wszytki
Nieprzebranymi użytki...

Śpiewali tak dość długo. Gorczyn słuchał z uwagą, o powtórzenie prosił i zapisywał słowa. Rzekł wreszcie, że to bardzo stara pieśń, a można by ją wydrukować bez niczyjej obrazy w rzymskokatolickim śpiewniku, co przy sposobności gotów uczynić i nie lęka się grzechu.

Księgarz dodał, że z obowiązku umie też śpiewać inne pieśni ariańskie, choć sam arianinem nie jest. Zna: „Pieśń poranną", „Pieśń wieczorną", „Pieśń za szczęście dziatek", „Boga naśladuj", „Ubogi żywot Pana naszego Jezu Krysta" i „Klucze niebieskie".

Gorczyn odparł, że każdą już słyszał, ale żadna nie może iść w paragon z „Dziękowaniem po jedzeniu", pieśnią przed chwilą odśpiewaną, jako żywo przypominającą najlepsze wiersze Jana Kochanowskiego. I dodał, że warto by się dowiedzieć kto jest jej autorem.

Wędrowny księgarz obiecał, że jeśli trafi do Janowca, nie zapomni spytać o to tamtejszego ministra ariańskiego, który sam wiersze pisze, powinien więc wiedzieć[1].

Skorzystałem ze sposobności i między innymi książkami do nabożeństwa sprzedałem księgarzowi mendel „Kwiatków liliowych".

* * *

[1] Niestety, jak wynika z pracy J. Dürr-Durskiego *Arianie w świetle własnej poezji* (Warszawa 1948), autor pozostał nieznany.

Na podwieczerz, jak to często bywa, w książnicy naszej zebrało się liczne towarzystwo. Opowiadano o kłopotach kanclerza i szalonych, pozbawionych sensu żądaniach moskiewskich.

Pan Andrzej Morsztyn rzekł:

— Wielu posłów nasz kanclerz witał w Warszawie i sam nieraz posłował, nigdy jednak nie słyszał o czymś podobnym.

Jan Libicki, sekretarz kancelarii zamkowej, dodał:

— Zważcie panowie, iż są to pierwsze żądania moskiewskie, żądania całkiem niedorzeczne. Puszkin wie, że je odrzucimy. A kiedy tak się stanie, zacznie się domagać czego innego, boć przecie coś wytargować musi, po to go przysłano. Może w niedzielę, jeżeli się upije, dowiemy się coś niecoś.

Przypomniałem, że Moskale wina nie łakną, więc trudno ich będzie upić. Libicki odpowiedział, że wszystko zostało przewidziane. Kiedy wieści nadeszły, że poselstwo wyruszyło z Moskwy, posłano do Żytomierza po hajdamacką gorzałkę. Baryłki z tym specjałem stoją w piwnicy.

Pan Andrzej spytał jaki on ma smak, sekretarz wyjaśnił:

— Smakuje przeraźliwie, od czego język drętwieje, a zapach kociemu łajnu bliski.

Mówił nadto sekretarz, że w przewidywaniu psot i wybryków pijanych Moskali król jegomość postanowił, by królowa, fraucymer, takoż i służebne opuściły na ten czas Zamek. Wyjadą poza miasto albo też pójdą do zaprzyjaźnionych domów w Warszawie.

Kiedyśmy tak gawędzili o spodziewanym pijaństwie, zjawił się rotmistrz Okoń.

— Bywajcie zdrowi — rzekł — za godzinę wyjeżdżam.

I opowiedział, że go kanclerz wysyła do Lwowa, do wojewody Wiśniowieckiego po odpis listu w sprawie zbiegłych popów. Gdyby jednak wojewody we Lwowie nie zastał, musi jechać dalej i szukać, choćby do samego Kijowa. Bierze ze sobą giermka i dwa zapasowe konie-luzaki. Pożegnał się z nami, a po jego wyjściu pan Andrzej rzekł:

— Widzę, że kanclerz chce upiec przy ogniu dwie pieczenie: sprawdzić listy i pozbyć się rotmistrza, który krewki jest i widoku Moskali ścierpieć nie może. Ma słuszność kanclerz. Będąc na jego miejscu, trzymałbym imć pana Okonia z dala od Warszawy.

* * *

Tu pisze Elżbieta Elertowa. Zechcijcie mi wybaczyć, że się wtrącam do waszych memuarów[1]. Nie byłabym niewiastą, gdybym ich w skrytości nie czytywała.

Piotrusiu luby, kiedy mi ofiarujesz pierścionek? Bo czekam, spoglądam ci w oczy, a ty się nie odzywasz, jak gdybyś już rzeczy zaniechał.

Dziękuję za pochlebne opisanie charakteru mojego, ale zapamiętaj sobie, że choć możesz czmychać dokąd chcesz i piekła nie robię o to, pilnuję cię jednak, mój Piotrusiu. I gdybyś czmychnął, gdzie nie należy, przytroczę ci takie rogi, że się do zamkowej bramy nie zmieścisz. E.E.

* * *

W dzień Zwiastowania NMP. Moskale skończyli już budowę palisady dokoła dworca poselskiego. Są tam teraz trzy wejścia: jedno prowadzi do kwatery posła i jego świty, drugie z wrotami jest dla wozów i służby, trzecie wiedzie do izby, gdzie pod powałą wiszą setki skórek sobolich i innych. Od wczoraj rozpoczęto ich sprzedaż. Kto pragnie, a funduszów mu nie brak, może iść i kupić.

Wszystkich wejść wojacy strzegą. Dostojnych gości, którzy po skórki przyszli, respektują, na pospólstwo wołają:

— Stupaj, twoju mać! Prowaliwaj!

Dowiedziałem się z rozmów w książnicy, że wiele osób z miasta i spoza miasta wybiera się po sobolowe skórki do Moskali, bo tańsze niż w Wilnie, a i piękności niezrównanej. Bywali mówią, że kupiec moskiewski nigdy nie wymienia ceny godziwej, wymienia zawsze cenę wyższą, nie do przyjęcia. Potem powolusku zaczyna opuszczać, bije się w piersi, lamentuje, świętych i cudotwórców na świadków wzywa.

[1] Do pamiętników, wspomnień — z fr.

Jeśli się twardo trzymasz i perorom nie ulegniesz, będzie ustępował coraz więcej, przysięgając na świętego Mikołę, że stratny jest, że jego dziatki z głodu pomrą, że spotka go ruina.

Słuchasz, a cena już do połowy spadła. Postój jeszcze cierpliwie, nie kwap się, pozwól kupcowi lament czynić, niech się bije w piersi, niech trząsa brodą, niech sobie kudły ze łba wyrywa, coć to szkodzi?

Słuchasz, a cena toczy się w dół, maleje, już całkiem do pierwiastkowej niepodobna. I jeśli wytrwasz jeszcze odrobinę, dobijesz targu. Nie wszyscy znają się na moskiewskich przysięgach. Niejeden da wiarę, wzruszy się losem dziatek pozostałych z dala od ojca, a potem się dziwi, że ktoś za takie same sobole zapłacił znacznie taniej.

* * *

Dziś do książnicy przyszedł młody Wańka Tarapajew, sam przyszedł, bez Gawryły i szczerze się ze mną rozgadał. Mówił, że w Moskwie książek ubóstwo wielkie, że czytać nie ma co. Bojarowie, przeważnie niepiśmienni, w pogardzie naukę trzymają. Skarżył się też, że każdy, kto by zbytnio do książek się garnął, podejrzewany jest o kremołę, czyli skłonność do buntu.

Kiedyśmy tak gadali, wszedł Adamandy Kochański. Sprezentowałem ich. Wańka zagadnął ile też Adamandy stracił czasu na nauczenie się łaciny. Wspomniał, że udało mu się raz w Moskwie zdobyć gramatykę Donata w krakowskim wydaniu. Strzegł jej, przed okiem ludzkim ukrywał, cóż kiedy bojarzyn Dołgoruki przyłapał go na czytaniu i kazał wychłostać. Książkę zniszczono.

Adamandy wyraził gotowość pożyczenia Wańce gramatyki łacińskiej, na co ten odparł, że nie weźmie. W jego skrzynce podróżnej, mówił, często grzebią, a zamykać nie wolno.

* * *

Sobota. Przed samym południem pan Piotr wrócił z miasta jakiś niespokojny, można by rzec zawstydzony. Ciotce Elżbiecie, kiedyśmy do obiadu zasiedli, nie śmiał w oczy spojrzeć. Wykręcał głowę, to na pułap patrzył, to w okno.

Na stole stał półmich wybornych śledzi z Gdańska, przez ciotkę w cieście unurzanych i na oleju smażonych. Nabiegała się niemało, nim je znalazła. Jedliśmy tak w milczeniu, nie chwaląc jadła ani ganiąc.

— Ej, Piotrusiu — przemówiła ciotka — coś mi się widzi, że masz nieczyste sumienie.

Pan Piotr spuścił oczy i nic nie odrzekł. Potem podała ciotka miszkulancję[1] z jarzyn cynamonem suto posypaną.

— Ej, Piotrusiu, coś mi się widzi...

Spojrzała na męża, na mnie, jakby szukając wyjaśnienia. Ruszyłem ramionami na znak, że nic nie wiem. I minął obiad, a pan Piotr nie dał żonie żadnej odpowiedzi. Podziękował krótko za jej dobre starania i poszedł na górę. Tam zaczął stroić skrzypki.

Ciotka, wyraźnie przygnębiona, rzekła do mnie:

— Widzę z tego wszystkiego, że mi pierścionka już nie da.

I zaczęła uprzątać statki ze stołu, ja zaś stanąłem pod ścianą, rozmyślając, jak by ją tu pocieszyć.

Tymczasem ze stancyjki pana Piotra dolatywało uporczywe strojenie skrzypek. Potem usłyszeliśmy włoskie concerto, które pan Piotr często grywa, ale dźwięk strun był inny niż zwykle.

Ciotka przestała ścierać ze stołu, podniosła głowę i znieruchomiała. Ja też nadstawiłem uszu. A pan Piotr grał, grał coraz piękniej.

— Słyszysz? — spytała ciotka.

— Słyszę.

— Skrzypki śpiewają ludzkim głosem.

— Tak.

— A teraz płaczą.

Po chwili muzyka ustała i znów rozległo się strojenie. Ciotka wychyliła się przez okno od dziedzińczyka.

— Piotrusiu!

---

[1] Mieszaninę — z wł.

— Co tam?

— Graj! To było piękne.

— Zaraz, zaraz, muszę ci coś pokazać.

Pan Piotr zeszedł z górki i stanął przed nami. Oburącz przyciskał do piersi smyczek i skrzypce czterostrunne dziwnego kształtu o bokach bardzo wciętych. Na desce zauważyłem dwie szpary podobne do wydłużonej litery S.

— Na nich grałeś?

— Tak.

— Pięknie grałeś. Czyje to skrzypki?

— Te skrzypki... Niby moje, Elżbieto, tak, twoje.

— Piotrusiu, coś kołujesz.

— Nie, Elżbieto, skrzypki są twoje. Bo widzisz, kupiłem je zamiast pierścienia, od hejnuchów kupiłem. Gdybym zaraz nie kupił, zrobiliby to inni.

Ciotka milczała, patrząc mu w oczy z ciekawością, a pan Piotr tłumaczył się dalej:

— Jest to, Elżbieto, viola mistrza Mikołaja z Kremony[1]. O, zobacz przez szparkę, tam widać jego sygnaturę. Posprzeczałem się przy kupnie z Jarzębskim.

— Ten głupiec chciał kupić?

— Chciał kupić.

— To dobrze, Piotrusiu, żeś mu nie dał, to bardzo dobrze. A pierścień ofiarujesz mi później, gdy na tych skrzypkach zarobisz.

---

[1] Sławę lutników z Cremony zapoczątkowali na przełomie wieków XVI i XVII Antonius i Hieronimus Amati. Udoskonalił ich warsztat Nicolaus Amati (1596–1694), do perfekcji zaś doprowadził Antonio Stradivari (1644–1737).

VI. UCZTA NA ZAMKU

Niedziela. Za kilka godzin rozpocznie się uczta z Moskalami na Zamku. Król jegomość z królową przenosi się do pałacu imci pana Hieronima Radziejowskiego. Fraucymer i reszta niewiast zamkowych spędzą czas w domach znaczniejszych person, dokąd też wezwano grajków i śpiewaków. Pan Piotr i ja idziemy do wójta warszawskiego, imci pana Stanisława Baryczki.

Tu wtrącę, że od zeszłego roku pan Baryczka królewskim stał się pokojowcem, stajniami na Zamku zarządza. Światły to mąż, we Włoszech się kształcił, skąd żonę sobie przywiózł. Pani Baryczkowa dla każdego ma uśmiech i dobre słowo; imię jej Bona (z Marianich).

W domu Baryczków najgodniejsze panny dworskie gościnę znajdą, a pan Piotr i ja muzyką mamy je zabawiać. Toteż dzisiejszy ranek spędziłem przy wirginaliku Elertów, który zniosłem na dół, do książnicy, i w wolnych chwilach śpiewałem tak pięknie, że aż ciotka Elżbieta zaglądała, szeroko oczy otwierając. Głos mam ninie dźwięczny i czysty, bez lęku idę do Baryczków.

* * *

Gorczyn. Odkąd w Warszawie mieszkam i z ludźmi tutejszymi obcuję, nasłuchałem się gwary mazowieckiej aż nadto, w pamięci utkwiły mi słowa niespotykane w Krakowie ani indziej. Myślę, że dla potomnych godzi się je zapisać.

Na strzelbę mówią tu pukawica, to nie jest źle.

Na gąsiora mówią gęgor, też nie jest źle, boć przecie gęga.

A na kobyłę lichą wołają trzęsikosta, że niby kości z jeźdźca powytrząsać może.

Ki, kiś mówią zamiast jaki, jakiś. Exemplum: ki diaboł, kiś włóczęga.

Zamiast wszystkich mówią wcorko, czego w początkach nie mogłem zrozumieć, a i teraz nie zgadnę skąd się to wzięło.

Dusza w nim kwękła, powiadają, kiedy kto będąc chory, żałośnie westchnie.

O złodzieju, co był schwytany i umknął, powiadają, że się wytartasił.

Zabić tu nie mówią, jeno ućpić, że niby jeden drugiego ućpił na śmierć.

Nie mówią chwała Bogu, tylko fała Bogu, i nie Boguchwał, tylko Bogufał. Mówią fila zamiast chwila, takoż: fat, facki, falebny, fiejny, fytliwy.

Słyszę często: żołnierzewi, koniewi, mężewi, kowalewi, co mnie złości, zamiast: żołnierzowi, koniowi, mężowi, kowalowi.

I rzecz zabawna (czego w Krakowie nie usłyszysz), to niezrozumiałe dla mnie rozróżnienie: byśma i byśmy. Dwoiste jest byśma, a o trzech i więcej personach mówią byśmy. Zgaduj teraz, mości Gorczynie, dlaczego. Koniec.

* * *

Poniedziałek. Trochę mi nie w smak pisać, co zaszło u Baryczków, choć nie z mojej stało się to winy. Można by rzec, żem nie miał dotąd kłopotów i nagle kłopot nie byle jaki zwalił mi się na głowę.

Pan Piotr pięknie grał na skrzypcach (na starych, nie kremońskich, bo jeszcze nie nabrał wprawy), ja wtórowałem na przyniesionym przez pachołka wirginaliku. Potem odśpiewałem romancę francuską o rycerzu, co się w kasztelance rozmiłował i dla niej w kwiecie lat umiera.

Ani mi przez myśl nie przeszło, że słowa romancy mogą tak silnie kogoś wzruszyć. Patrzę, a tu panna, najmłodsza z całej kompanii, lat może z piętnaście, oczy sobie palcami zakryła i głośno wzdycha: „Mon Dieu, mon Dieu...".

Kiedym skończył, zaraz poprosiła o powtórzenie, a ponieważ tego sobie i inni życzyli, odśpiewałem pieśń po raz drugi i żywy aplauz zdobyłem.

W czasie zasiadania do wieczerzy panna póty się kręciła i póty stołki zmieniała, pókim się nie znalazł obok niej z lewej strony i tak blisko, że jej krucze kędziory muskały mi ramię. Podziękowała za śpiew, mówiąc, że przez tę romancę poczuła taki żal i smutek, iż ledwo łzy wstrzymać mogła.

— C'etoit plus fort que moy[1] — rzekła.

— Spytałem, czy to ona przysłała do książnicy służebną po „Antypasty małżeńskie". Odpowiedziała, że tak, że ją niezmierna ciekawość ogarnęła. Chwaliła, słów nie znajdując z zachwytu, historię o Banialuce królewnie.

Pani Baryczkowa, chcąc gości uraczyć, przygotowała na włoski sposób hipokras[2] z sycylijskiego wina, krzepki i korzeniami pachnący. Przez co całe towarzystwo poweselało i gwar się zrobił przy stole.

Moja panna (wybaczcie, że ją tak poufale nazywam), spojrzała mi nagle w twarz i zagadnęła, czy serce mam zajęte, czy też drugiego serca szukam. Odrzekłem, iżem się tak głęboko między księgi zagrzebał, że świata miłego nie widzę. Ona na to:

— Bałamutne są twoje słowa, mości kawalerze. Widuję cię wszak czasem na tarasie zamkowym, jak przypatrujesz się kwiatom. I gdybyś oczy podniósł, ujrzałbyś mnie w moim okienku.

Tłumaczyłem pannie, że nigdy nie bywam na Zamku jako gość, odnoszę jeno druki do kancelarii, a przez taras przechodzę, bo tamtędy droga. Dodałem, że pan Piotr Elert, królewski typo-

---

[1] To było silniejsze ode mnie — starofr.

[2] Grzane wino — od imienia Hipokratesa, jego domniemanego wynalazcy.

graf i muzyk, u którego mieszkam, ma wolny wstęp do komnat zamkowych, gdzie kapeli przewodzi.

Rzekła wtedy, że pana Elerta często tam widuje, gdyby więc miała do mnie pilną sprawę, przez niego da znać.

Myślę sobie, a cóż to za pilne sprawy mogą mieć panny z fraucymeru królowej do mnie, skromnego księgarza? Zerknąłem na nią uważniej. No tak, ładne to jest, zalotne, rozpieszczone, bardzo jeszcze młode, ni dzieciuch, ni niewiasta. Od niedolotków rozumu nie wymagaj.

Wróciliśmy z panem Elertem dość późno do domu. Przed pójściem spać rozmyślałem o mojej przygodzie i doszedłem do wniosku, że trzeba się strzec i z każdym słowem liczyć, bo może z tego wyniknąć tarapata.

*
* *

Zapisuje Gorczyn. Z podupadłego miasta Wizny, niegdysiejszej stolicy księstewka nad Narwią, przyjechał sędzia powiatowy i w naszym stanął klasztorze. Opowiada dziwy, że w jego kraju nikt drzewem w piecu nie pali, bo mu się rąbać nie chce.

Kopią tam próchno ziemne, w cegiełki kroją, suszą i tym palą. Próchno na ogień chwytliwe, tli się z wolna, dobrze grzeje, ale dużo zostawia popiołu.

Za drzewo trzeba by płacić (choć ludzie chętniej je kradną), a próchno żadnej ceny nie ma. Bierz, ile chcesz, bo wszędzie jest, na każdym nieużytku. Wystarczy posłać parobka z łopatą i niech ładuje na wóz. Przez to żadnego kłopotu z opałem tam nie znają i zimą ciepło.

Mówił ten sędzia jeszcze, przeze mnie zachęcony, że podczas kopania próchna ludzie znaleźli raz rogi jelenie niespotykanej wielkości, szerokie na łokci sześć i pół. Zawieszono je pod sklepieniem w tamecznym kościele parafialnym.

Stojące nad Narwią kościoły tym się różnią od innych kościołów, że zamiast szeląga kładzie się w nich na tacy grudkę bursztynu. Proboszczowie odprzedają później te kamyki innym parafiom. Zmielony bursztyn, skoro go dodać do kościelnego kadzidła, aromat mocniejszym czyni. Probatum[1]. Koniec o próchnie i kadzidle, Gorczyn.

*
* *

Wtorek. Wypada teraz, bym wspomniał o hucznej uczcie na Zamku. Ponieważ tam nie gościłem, powtórzę tylko cudze opowieści.

Zwaliła się Moskali ogromna kupa, nawet popy i proste giermki. Póki byli trzeźwi, kanclerz z Puszkinem gadał i doszedł z nim do zgody, że się obie strony spotkają nazajutrz i załatwią sprawę omyłek w carskich tytułach. Poseł nadspodziewanie ustępliwy, co chwila rękę kładł na sercu, o przyjaźni prawił, nawet chciał się z kanclerzem całować.

Kiedy w głowach gości, którzy hajdamacką gorzałkę pili, szumieć zaczęło, kanclerz próbował Puszkina zręcznie wybadać, jakie są jego zamiary i po co do Polski przyjechał. Boć chyba car nie wyobraża sobie, że hetmanów i wojewodów katu się odda.

Ale Puszkin, choć prostak, pary z ust nie puścił, zamknął się jak szczeżuja w skorupie. I dalej o przyjaźni prawił, do kanclerza przepijał, zdrowia życzył, całować chciał i Boga na świadka wzywał, że intencje ma szczere. Atoli słowa jego żadnej nie zawierały treści i kanclerz nic się nie dowiedział.

Tymczasem inni goście, ponad miarę wypiwszy*, stali się hałaśliwi. Przy stołach porządek się załamał. Korzystając z tego, kanclerz wymknął się cichaczem, a za jego przykładem podkanclerzy i senatorowie też opuścili salę.

Po ich wyjściu zapanowała swawola, jakiej nigdy dotąd na Zamku nie oglądano. Moskale porozłazili się po przyległych komnatach, do wszystkich kątów zaglądając, sprzęty wywracając i szkodę czyniąc. Pokładli się spać na ławach, na kobiercach, inni

---

[1] Wypróbowane, sprawdzone — łac.

* Zanotował to Albrycht Radziwiłł w *Pamiętniku o dziejach w Polsce 1632–1656*, wydanym w Poznaniu w 1839 r. [Pełne wyd. krytyczne ukazało się w Warszawie w 1980 r. — przyp. red.]

znów siedząc na pawimencie, kawałkami cukru w cetno-licho[1] grali. Znaleźli się i tacy, których od gorzałki i zjedzonych słodyczy nagłe womity ogarnęły. Ci, wsparłszy głowę o ścianę, folgę sobie czynili. Zbierano ich potem jak baranów i na dół znoszono, gdzie już czekały wozy. Niby martwi do Kałęczyna zajechali.

Puszkin też się upił i z przejedzenia zachorował, przez co umówione z kanclerzem na wczoraj spotkanie musiano przesunąć na dziś. Alić słyszę, że odłożono je do jutra, bo Moskale skarżą się na ból głowy.

Jako że po niedzielnej uczcie wielki na Zamku został nieład i komnat zapaskudzenie, król z królową i fraucymerem dopiero dziś tam wrócili. Przez ten czas naprawiano co połamane, myto, czyszczono, woskiem powlekano. Nie udało się naprawić złoconego zwierciadła weneckiego, w które bojarzyn Karawan-Warłaamow gąsiorkiem z wódką cisnął. Był też kłopot niemały z doprowadzeniem do godziwego wyglądu popiersi marmurowych, goście bowiem sadzy z kominka palcem zaczerpnąwszy, podorabiali figurom wąsy i brody.

*
* *

Z Gdańska dostaliśmy przesyłkę książek; morzem z Amsterdamu płynęły i nie zamokły. Wszystkie są łacińskie, pozamawiane przez naszych stałych odbiorców. Nadto z Poznania przyszło dwadzieścia pięć wolumenów „Satyr", które napisał pan wojewoda Opaliński i w Amsterdamie dał do odbicia. Tak się więc dziwnie zbiegło, że tego samego dnia Gdańsk i Poznań dostarczyły nam amsterdamskich druków.

*
* *

Adamandy Kochański pokazywał mi dziś zegareczek własnej roboty, taki mały, że go w garść schować możesz, nie większy od gęsiego jaja i kształtem podobny. Jego sprężynę naciągać musisz

[1] Gra w zgadywankę, czy zamknięto w dłoni przedmioty w liczbie parzystej czy nieparzystej.

dwakroć na dobę kluczykiem do tego przeznaczonym. Kółka się w nim ruszają, ledwo szmer cichy czyniąc, a pokazuje godziny i minuty nie gorzej od zegara z wieży zamkowej.

Zwierzał się Adamandy, że napotkał wielkie trudności przy hamowaniu nazbyt szybkiego obrotu zegarkowych kółek. Różnych się imał sposobów, aż wpadł na pomysł zastosowania szczeciny świńskiej, która dość sztywną i giętką będąc, doskonale do tego służy. Szczeć taka, pocierana przez zębate kółeczko, bieg jego zwalnia i jednostajnym czyni. Ma jednak wadę, że się strzępi i po niecałym kwartale trzeba ją zmieniać.

Mówił dalej Adamandy, że wykończy wkrótce inny zegarek, lepszy choć równie mały. Są tam na jednym z kółek gładkie słupki; szczecina, uderzając o nie, strzępić się już nie będzie.

*
* *

Odwiedził mnie imć pan Jan Libicki i opowiedział, co następuje. W domu pana Radziejowskiego odbyła się wczoraj dwugodzinna narada. Król jegomość, kanclerz i podkanclerzy omawiali sprawę dalszego postępowania z posłem.

Postanowiono, że na najbliższym spotkaniu, czyli jutro, kanclerz oświadczy posłowi, iż król żałuje pomyłek w tytułach carskich popełnionych i zarządzi na przyszłość, aby się nie powtarzały. Co do ukarania winnych (a mogłoby to nastąpić tylko za zgodą Sejmu), król wyraża nadzieję, że car moskiewski zrzeknie się tych żądań i po chrześcijańsku przebaczy. Tym bardziej że większość pomyłek zdarzyła się za panowania króla Władysława i cara Michała Fiodorowicza, którzy już nie żyją.

Zacny Libicki przyniósł mi zezwolenie wstępu na jutrzejsze targi z posłem moskiewskim.

*
* *

Szymon, najstarszy z naszych ludzi w drukarni, narzeka na ogólną słabość. Przeniosłem go do lekkiej roboty, do pociągania

zwilżoną gąbką papieru. Lękam się, czy to nie zła gorączka drukarska[1].

Opowiadał mi kiedyś medyk krakowski, że najlepszym lekiem na drukarską gorączkę jest mleko od czarnej kozy, byle pić rano, w południe i wieczór. Podaję te słowa jako przykład ścieżek fałszywych, po których błądzi medycyna.

*
* *

Tu Gorczyn. A może nie błądzi, może dobrą wskazuje drogę? Kiedyśmy szli wczoraj Wąskim Dunajem, przypomnij to sobie, mości Stachu, na widok czarnego kota pod murem przystanąłeś i nie znajdując innej drogi, chciałeś zawracać. Kot tymczasem do jakiejś szpary się wkręcił.

Wnoszę z tego, że skoro przed czarnym kotem lęk odczuwasz, nadprzyrodzone przypisując mu moce, toś przed czarną kozą plackiem powinien padać.

Radzę ci, nie gardź słowami krakowskiego doktora, kup Szymonowi kozę. I niech koza będzie czarna. Koniec o tym, Gorczyn.

---

[1] Ołowica, choroba spowodowana długotrwałym kontaktem z oparami i opiłkami ołowiu używanego do odlewania czcionek.

VII. WOJNA CZY POKÓJ?

Środa. Wracam z Zamku, gdzie zasiedziałem się dość długo. Od bezustannej wrzawy rozbolała mnie głowa. Ciotka Elżbieta już śpi; zostawiła na stole chleb, ser i dzbanek mleka. Choć jestem senny, będę pisał, bo jutro nie starczyłoby czasu.

Na Zamek spóźniłem się, a kiedym tam wszedł, poseł Puszkin grzmiał:

— Wy, panowie rada, sumienia nie macie! Wy Boga się nie boicie! Winę darować! Tak co się będzie działo po darowaniu winy?

Kanclerz odpowiedział, że wszyscy dygnitarze Korony i Litwy dostaną pełny spis tytułów carskich z pouczeniem, jak się nim posługiwać.

Poseł zażądał, aby mu dano królewską asekurację na piśmie, z przyłożeniem pieczęci, że winni pomylenia tytułów będą karani śmiercią natychmiast i bez sądu.

Na to kanclerz:

— Bez sądu nikogo nie ukarzemy. Co do asekuracji, to król jej nie podpisze.

Po tych słowach zrobiła się wrzawa. Moskale zaczęli głośno coś gadać, powtarzając: „Swiszcz, swiszcz, wielikij swiszcz...".

Poseł sięgnął do sakwy, którą Leontjew na swych kolanach trzymał, wyciągnął z niej jakiś papier i potrząsając nim groźnie, krzyczał:

— Tu, w tym swiszczu, jest święta wola naszego monarchy spisana. Wyprawiając mnie w posły, car batiuszka mówił: „Zapamiętaj sobie, Puszkin, żeby ty z pustymi rękami nie wracał. Albo niech król Kazimierz śmiercią pokarze winnych, Wiśniowieckiego wbije na pal, albo niech nam odda Smoleńsk i inne miasta".

Zaczerpnąwszy tchu, poseł zwrócił się wprost do kanclerza:

— A znajesz ty, pan kancler, że ja, Grigorij Gawryłowicz Puszkin, Wsieja Rusi imperatora poseł pełnomocny, pakty wieczystej przyjaźni z Polszą zawarte mogę tu zaraz zerwać?

— A więc wojna? — spytał kanclerz.

— Jeżeli wojny chcecie, panowie rada.

W tym miejscu bojarzyn Karawan-Warłaamow zerwał się z ławy i piskliwym głosem zwrócił się do senatorów:

— Jak wam nie wstyd, panowie rada, na wszystko nie i nie! My do was z przyjaźnią, my do was z sercem, a wy swoje, nie i nie. Wiecie wy, panowie rada, że gdyby nie dobra wola naszego cara batiuszki, to wasz król byłby stracił całe Zaporoże? Ot co! Osłupieli, panowie rada, a? Wiecie, że Bohdan Chmielnicki w Moskwie był, na kolana przed carem padał i mówił: „Weź nas, car moguczy, pod swoją opiekę, bądź naszym panem". Ale wielikij gosudar nie chciał naruszyć wieczystego pokoju z Polszą i precz odegnał Kozaków. Ot, jaki jest nasz car, a wy wojną grozicie...

— My nie grozimy wojną — przerwał kanclerz.

Na to Puszkin podniesionym głosem:

— Ale wojnę na nasze i wasze głowy sprowadzacie.

Bojarzyn Żemczug, potrząsając perłą pod uchem, jął wykrzykiwać w uniesieniu:

— Mikołaju święty, cudotwórco! Tyś nas w bój prowadził, powiedziesz teraz do zwycięstwa. Ma być wojna? No to zwoła car prawosławny patriarchów swoich, zwoła metropolitów i całe duchowieństwo, zwoła bojarów i ludzi wszelkich stanów. Pójdzie potem do katedralnej cerkwi i każe nieść przed sobą zaprzysiężony traktat króla Władysława, jako świadectwo naruszenia przez was ugody. Każe położyć to pismo przed ikoną Zbawiciela i Przeczystej Dziewicy, każe śpiewać o gwałcicielach pokoju, podniesie oręż

za swoją i ojca swego cześć i do państw chrześcijańskich każe pisać, i do państw bisurmańskich każe pisać, i wszyscy monarchowie chrzczeni i bisurmany dienieg mu przyślą, wojaków przyślą i wyruszy gosudar na bój, Polszę i Litwę ogniem spustoszy...

Puszkin żachnął się w tym miejscu:

— Mołczy, Żemczug! Języka pilnuj. Nie tobie wróżyć, co zrobi car wielikij.

Po tych słowach poseł stał się nagle spokojny, w mowie powściągliwy, prawie słodki.

— Wybaczcie, panowie rada. Moje bojary proste, co w sercu, to i na słowach. Ot, wspomniano o wojnie, poniosło ich, języka zdzierżyć nie mogli.

— A więc wojna? — zimnym tonem zapytał kanclerz.

— Jaka wojna? Kto mówi o wojnie? — Puszkin za głowę się złapał. — Toż ja, panowie rada, słowa takiego nie pisnął, to wy powtarzacie: wojna, wojna.

— O cóż wam więc chodzi, panie pośle? Proszę o jasną odpowiedź, bo raz żądacie śmierci naszych hetmanów i wojewodów, raz znów chcecie zabrać nam Smoleńsk. Słucham z uwagą.

— Boże mój — zaczął Puszkin — Boże Wszechmogący, przybądź z pomocą i spraw, aby słowa moje były jasne i zrozumiałe. A kiedyż to ja Smoleńska żądał? Ja tylko mówił, że skoro nie chcecie ukarać winowajców, to dajcie coś w zamian, dajcie choć Smoleńsk i kilka innych miast zawojowanych przez króla Władysława...

— Nic z tego nie rozumiem — zawołał senator Załuski — zabieracie nam Smoleńsk, czy nie zabieracie?

— I ja nic nie rozumiem — dodał senator Tarło.

Nie zwracając uwagi na ich słowa, Puszkin mówił:

— Słyszałem od was, panowie rada, że Sejm uparty jest, że winnych ukarać nie pozwoli...

— Sejm nie dopatrzy się winy — poprawił kanclerz.

— Jakże tak?

— Po prostu nie znajdzie winy.

— Nu tak, dawajcie Smoleńsk, ot co! Dołóżcie jeszcze pół miliona czerwonych złotych i niech już będzie koniec rozgoworom.

Puszkin usiadł, dając do zrozumienia, że skończył. Słyszałem ściszony głos senatora Załuskiego:

— Chyba oszalał! Toż to kontrybucja jak po przegranej wojnie.

Kanclerz oświadczył, że jest zaskoczony nowymi żądaniami i idzie powiadomić o nich króla.

— Zarządzam półgodzinną przerwę — oznajmił.

Wszedł stary sługa zamkowy, którego znam z widzenia, i zaczął zmieniać świece w zwisających nad stołem pająkach. Duszno było. Wymknąłem się do przedsionka. Tam, odetchnąwszy swobodniej, oparłem czoło o zimny filar kamienny. Po chwili zbliżył się do mnie Libicki.

— Boli waści głowa?

— Boli, ze zmęczenia.

— Mnie takoż. Myślę, że i wielu innych.

Zwierzyłem się, że im uważniej słucham wywodów moskiewskich, tym mniej rozumiem.

— W tej kołowaciźnie — odparł — nawet kanclerz połapać się nie może. Słyszałeś waść, przy każdym spotkaniu wysuwają nowe żądania, a w żadnym z tych żądań nie ma odrobiny zdrowego sensu. Ale Puszkin to szczwany lis. Postępując w ten sposób, zyska na czasie i zdąży się rozejrzeć w tutejszych stosunkach. A nadto, co też ważne, pozna swoich przeciwników, zmęczy ich, do rozterki doprowadzi, odbierze wiarę we własną zręczność polityczną. I zmęczy, zmęczy... Daleko nie szukając, skarżysz się waść na znużenie, choć udziału w targach nie brałeś. Postawże się na miejscu kanclerza.

Przyznałem mu słuszność. W przedsionku ukazała się rozochocona kompania młodych bojarów. Śmiali się, głośno gadali, a jeden z nich, Tmudichin, przedrzeźniał kanclerza, powtarzając:

— Bjez sondu nikogo nie ukarżemy... Hahaha!

— Odejdźmy stąd — rzekł Libicki i wziął mnie pod ramię.

Narada u króla przeciągnęła się ponad godzinę, a kiedy kanclerz wrócił, minęło jeszcze trochę czasu nim zwołano wszystkich uczestników rokowań. Libicki wskazał mi schodki prowadzące na chórek, gdzie grywała kapela podczas balów dworskich. Z tej wysokości mogłem ogarnąć okiem całą salę.

Kanclerz poszeptał coś z senatorami, podszedł do stołu, rozłożył jakieś papiery, schylił się, przerzucił kilka kartek, podniósł dłoń, nakazując ciszę, i zaczął mówić:

— Król i my, po rozpatrzeniu waszych słów, panie pośle, nabraliśmy pewności, że bez carskiego rozkazu, a nawet wbrew carskiej woli wysuwacie tu różne nieprzyzwoite żądania. Wnioskujemy tak, a nie inaczej, bo na posłuchaniu u króla prawiliście o braterskiej przyjaźni, o miłości i wieczystym pokoju, teraz zaś zerwaniem paktów grozicie. Widząc tedy, że gra wasza jest nieszczera, król postanowił wysłać gońca z listem do Moskwy, postanowił poskarżyć się na was i zawiadomić wielkiego gosudara, że cześć jego za pół miliona czerwonych złotych sprzedać nam chcecie.

Puszkin stał wyprostowany, głowę odrzucił w tył, tylko czarna broda z lekka mu drgała. Nagle uderzył pięścią w stół.

— To wy mi zarzucacie — krzyknął — wy mi zarzucacie, że ja bez zezwolenia carskiego coś czynię! Żem cześć carską chciał sprzedać! A wiecie wy, że ja nowych dowodów obrazy czci carskiej mam bez liku, a są to rzeczy straszne, niespotykane! Wy mi grozicie skargą do cara, a ja wam powiem: może wasz goniec sobie jechać, pluję na niego! Zbiorę tymczasem nowe dowody obrazy czci monarszej i przez drugiego gońca pchnę do Moskwy. Niech car batiuszka sam się przekona, że nie tylko wojewodowie go obrażają, ale i król obraża!

Przekrwionymi ze złości oczami spojrzał Puszkin w twarz kanclerzowi i mówił:

— Ja, panie kancler, bólu chciał oszczędzić naszemu batiuszce carowi, a was chciał uchronić przed wojną. Nu ładno, wola boska! Niech się dowie wielikij gosudar, że polski król go obraża.

Kanclerz rzekł:

— Wybaczcie, panie pośle, ale nie wiem, co macie na myśli. Jaką obrazę?

— Taką, że jeśli o niej powiem, ściany tego zamku zadrżą, a jeśli car batiuszka się dowie, będzie wojna. Tak, panowie rada, będzie wojna, a nie zawsze Polaki zwyciężali, zdarzało się, że ich bito. Chwalić Boga, w naszym gosudarstwie jest dziś dostatek,

wsiego mnogo, żołnierza własnego mamy dość, a i Szwedów nie brak, nawet Szwedów na służbie mamy! A wy? Co u was jest? Ej, Żemczug, gadaj do jaśnie wielmożnych panów senatorów, ja już się zmęczył.

Puszkin siadł, przybrał minę zupełnie obojętną, jak gdyby ciąg dalszy nic go nie obchodził. Zaczął coś szeptać z Gawryłą Leontjewem. Tymczasem nad głowami innych wyrosła olbrzymia postać Żemczuga.

— Ja, panowie rada — zaczął — prosty carski bojar, mówić nie uczony i tylko Jewangelię czytał. Ot, z ciekawości jechał do waszej Polszy i dziwy spodziewał się obaczyć. I cóż ja ujrzał? Za Smoleńskiem kraj w niwecz obrócony, ziemia chwastami zarośnięta, miasta przez wojnę tak zniszczone, że tylko kominy sterczą. Ot, chodził ja nieraz po wsi, do izb zaglądał, no cóż, bieda i bieda, chudej gęsi za żaden pieniądz nie dostaniesz. A lud wasz zły, nieprzyjazny. Po drodze kwater nie mogliśmy znaleźć, drzwi na nasz widok zamykano. W Wołkowysku starosta tamtejszy przez rogatkę przepuścić poselstwa nie chciał i gwałtu przyszło użyć. Przyjechał ja do Warszawy, panowie rada, i cóż, gdzie te polskie dziwy? Każdy tu robi co chce, bojaźni nie ma, porządku nie ma, władza słaba, a król bez Sejmu...

— Mołodiec Żemczug, mołodiec! — ryknął Puszkin. — Ot, toczno skazał! Król bez Sejmu nawet głowy odrąbać nie śmie. Ach, Boże mój!

Śmiechy śród Moskali stały się głośne. Żemczug chciał dalej mówić, ale kanclerz uprzedził go, zwracając się do Puszkina:

— Zdaje się, panie pośle, że takie wspominki z podróży są tylko stratą czasu.

— Nu ładno, tak na czym my stanęli?

— Na niczym. Była mowa o nowych przypadkach obrazy majestatu carskiego. Proszę przedstawić dowody.

— Mam je w poselskim dworcu. Wyznaczcie spotkanie za trzy dni, to wam przedstawię.

Kanclerz wyraził zgodę. Kończę pisać, bo oczy mi się kleją.

VIII. GAWĘDY WŚRÓD KSIĄŻEK

Nazajutrz. W mieście poruszenie wielkie. Wiadomość o pogróżkach moskiewskich rozeszła się szeroko i nie brak głosów, że śp. król Władysław nie ścierpiałby takiej hardości. Inni zaś przypominają, że skarbiec pusty, wojsko kwarciane czeka na żołd, Lwów jeszcze się nie otrząsnął po klęskach i tylko zarazy w nim patrzeć, a kresy Rzeczypospolitej zdeptane przez Kozaków. Musi więc kanclerz tak manewrować, żeby się ustrzec wojny.

* * *

Podobnie mówili i moi goście, którzy się dziś zeszli w książnicy. Narzekali na ciężkie czasy, raz ganiąc kanclerza, raz znów chwaląc jego rozsądek i ostrożność.

Potem zaczęła się rozmowa o książkach. Ktoś wspomniał „Antypasty małżeńskie", na co Gorczyn rzekł, iż w ubiegłym roku spotkał w Krakowie ich autora, pana Hieronima Morsztyna z Raciborska.

— Zgrabny pisarz! — dodał. — Na zawołanie wiersze układa, a chcesz-li to i prozę wyborną ci zgotuje, choć ta od rymów bywa trudniejsza.

Wtrąciłem, że stojący obok mnie pan Andrzej Morsztyn też prozą i wierszem pisze, a obecnie „Cyda" tłumaczy. Gorczyn odpowiedział:

— Wiem, nie dziwi mnie, bo inaczej nie może się dziać. Każdy Morsztyn to poeta. Drukarze krakowscy wysoko Morsztynów cenią, gdyż zarobili na nich dobrze.

Śmiejąc się, pan Andrzej rzekł:

— Co prawda, to prawda. Autor „Antypastów" jest moim stryjecznym bratem. I powiem waszmościom w sekrecie, że śród Morsztynów nawet białogłowy wiersze pisują. W szczególności za młodu, póki nie wyjdą za mąż. Takie widać naszego rodu przeznaczenie*.

Spojrzał na mnie pan Andrzej i jakby coś sobie z nagła przypomniawszy, dodał:

— Waść też, o ile się nie mylę, masz w rodzie poetessę. Czytałem kiedyś wiersz łaciński Jadwigi Piotrkowczykowej; gładki był i z gramatyką w zgodzie.

Wyjaśniłem, że moja śp. babka łacińskie wiersze pisywała za młodu. Potem, zachęcona przez życzliwych przyjaciół, zaczęła pisać po polsku. Pozostawiła w rękopiśmie „Fawor miłości bożey", rzecz obszerną, w całości wierszem sporządzoną.

— Czemuście go nie wydrukowali? — spytał pan Andrzej.

W odpowiedzi przypomniałem o szewcu, co bez trzewików chodzi.

Rozprawiano później o muzyce i przywiezionych z Rzymu nutach, które pan Elert skopiował. Na życzenie gości, a za zgodą pana Piotra, zniosłem z góry wirginalik, w czym Gorczyn mi dopomógł. Odegrałem kilka drobiazgów, zdobywszy żywy poklask.

— Nie mnie się należy pochwała — rzekłem — jeno znakomitemu Rzymianinowi, panu Orlando di Lasso, bo on to ułożył.

Tu odezwał się Gorczyn, że wedle tego, co słyszał, Orlando di Lasso nie jest Orlando, nie jest też di Lasso i nie jest Rzymianin, a zwie się Roland Delaltre i pochodzi z miasta Mons, które leży przy drodze wiodącej z Flandrii do Paryża.

* Karol Estreicher (1827–1908), twórca bibliografii polskiej, wymienia kilkudziesięciu Morsztynów jako autorów książek.

Pan Andrzej zrobił uwagę, że Delaltre, właściwie de l'altre, znaczy po francusku „od innego", czyli od innego ojca, co by wskazywało, że znakomity muzyk urodził się bękartem.

— Bardzo prawdopodobne — przyznał Gorczyn. — Słyszałem od godnych zaufania ludzi, że w Rzymie bękarty wielkim się cieszą respektem. Rycerski papież Juliusz II zwykł był powtarzać: „Lubię mieć do czynienia z bękartem, bo przynajmniej mam pewność, że rozmawiam z synem szlachcica".

Gawęda zaczęła się obracać dokoła trudności i niespodzianek, na jakie bywa narażony drukarz.

— Zważcie, waszmoście — powiadał pan Piotr — że kiedy czytam rękopisma, nigdy nie jestem pewny czy to rzecz uczciwa, czy też kradziona. Odwiedziła mnie kiedyś szlachcianka jedna, wdowa po Władysławie Jeżowskim, i dała do druku „Konsultacye przezacnych matron polskich". No cóż, zacząłem składać, odbiłem pierwsze osiem pagin. Zgadnijcie, co się okazało! Zapobiegliwa wdowa czyściutko przepisała „Seym niewieści" Marcina Bielskiego, zmieniła jedynie początek i koniec. Odesłałem jej całość z listem nie bardzo grzecznym. No i proszę panów, w rok później te same „Konsultacye" wyszły drukiem w Krakowie.

Gorczyn wspomniał, że drukarze krakowscy narzekają gorzko na pokątne drukarnie pracujące bez przywileju królewskiego, które w ostatnich czasach wielce się rozpleniły w pomniejszych miastach małopolskich. Zuchwały taki drukarz z tego tylko żyje, że przedrukowuje cudze książki, robi w nich skróty i zmiany różne wprowadza, po jarmarkach te książki później rozsyłając. I nie znajdziesz sposobu na rabusia, bo przed sąd pozwany, ładuje kaszty na wóz, przenosi się do innej okolicy i szukaj wiatru w polu. Często też, dla zmylenia ludzkiej czujności, drukuje na karcie tytułowej nazwę obcego miasta.

Tu wtrącił pan Elert, że zna wypadek, w którym miast pomylenie wypadło nad podziw wielkie. I na prośbę gości zaczął opowieść:

— Zdarzyło się pewnego razu, że sławny pan Sebastian Śleszkowski, filozofii i medycyny doktór, królów Zygmunta i Włady-

sława nadworny lekarz, wezwany został do bawiącego w Łowiczu biskupa poznańskiego, który zaniemógł na podagryczną chorobę. A no, przyjechał pan doktór do Łowicza, chorego zbadał, potem poszedł się przejść po mieście i pooglądać kościoły, bo ich tam wielka obfitość. A no, idzie pan doktór, w prawo i w lewo się rozgląda, patrzy, na kramiku kościelnym książki leżą, śród nich jedna z takim tytułem: „Iasne dowody o doktorach bolońskich, z odkryciem zdrad złośliwych, praktyk szkodliwych tudzież straszliwych zamysłów przeciwko chorym, przez Sebastiana Śleszkowskiego, medycyny y filozofiey doktora, zebrane ku przestrodze słabych y zdrowych. Drukowano w Białey R.P. 1642".

Za głowę się złapał pan Sebastian, bo jako żywo nigdy w Białej nie bywał, drukarni takiej nie znał, a na doktorów bolońskich nie mógł źle pisać, bo jego ulubiony bratanek był bolońskim lekarzem. Po powrocie z Łowicza do Warszawy wszystkiemu zaprzeczył, ale mu wierzyć nie chciano*.

— Cóż zrobił? — spytało kilka głosów.

— To zrobił, że wezwał swego bolońskiego bratanka, zaopatrzył w konia i pieniądze, wsunął mu do ręki kańczug rzemienny i rzekł:

— Jedź w imię boże, odnajdź tego drukarza i bij, póki ci ramię nie zemdleje.

— O, to ciekawe — zawołał pan Andrzej — mówże waść, mów!

— Nie tak łatwo odnaleźć wskazany w książce adres. Bratanek udał się naprzód do Białej nad rzeką Białką opodal Rawy Mazowieckiej i żadnej drukarni tam nie zastał. Pojechał więc do Białej za Wadowicami, gdzie o drukarzu też nie słyszano. Trafił potem do Białej Kujawskiej, Białej Podlaskiej, Białej pod Gąbinem, Białej Radziwiłłowskiej na Litwie i wrócił z niczym. Przez ten czas sprawa stała się głośna. Doktorowie bolońscy, mieszkało ich w Warszawie trzech czy czterech, zaczęli panu Sebastianowi zemstą grozić. A ten, że nie śmiałek, czmychnął do Kalisza,

* Sebastian Śleszkowski (1569–1648) słynął jako autor licznych paszkwilów skierowanych przeciwko innym lekarzom.

gdzie miał krewniaków, i tam przed dwoma laty zmarł, jak powiadają, ze zgryzoty geograficznej.

— Dlaczego geograficznej? — spytał pan Andrzej.

— Bo miasto Biała, którego nie mógł odszukać, ostatnie chwile mu zatruło.

Wszedł do książnicy Gawryła Leontjew i nie pytając o nic, zaczął szperać po półkach. Wobec tego goście się wynieśli i pozostałem z nim sam.

Kupił kilka książek, które mu zręcznie podsunąłem, zapłacił bez wahania, ale domagał się twardo, bym wystawił na piśmie obliczenie znacznie wyższe od rzeczywistego.

Zrobiłem, jak sobie życzył. Wedle pana Piotra taki już jest, ani chybi, moskiewski obyczaj. Między innymi sprzedałem Gawryle jedną z książek Gorczyna, tę o moskiewskiej nacji, a mamy ich na składzie sporo. Żal patrzeć, że tyle się tego marnuje, bo książka dobra.

*
* *

Tu Gorczyn. Dobra czy niedobra, mniejsza z tym, na razie trudno mi śmiech pohamować na myśl, że moja książka o moskiewskiej nacji zawędrowała na Kałęczyn, że ją teraz czytają Moskale, może czyta sam poseł, Grigorij Gawryłowicz Puszkin. Kryje się w tym zabawne zdarzeń poplątanie, jak we florenckich powiastkach Bokacego. Koniec, Gorczyn.

*
* *

W zamtuzie na Krzywym Kole bojarzynowie moskiewscy z ficygiernami[1] tańcowali, potem przenieśli się na Rynek i nieprzystojny harmider czyniąc, zaczęli się dobijać do piwnic pod Ratuszem, które przed nimi zamknięto. Straż wójtowska wypędziła ich z Rynku.

Po godzinie wrócili i wcisnęli się gwałtem do kamienicy imci pana Fukiera, gdzie zażądali gorzałki. Kiedy im odmówiono, bo

[1] Z letkawiczkami, kurdyżankami.

było tylko wino i miód, potłukli szkła różne i cisnęli stołkiem w zwierciadło, co nad szynkwasem wisiało.

Przerażony pan Fukier, ledwo nie płacząc, do pana Baryczki przybiegł i skarżył się na los, na poniesioną szkodę. Ten mu odrzekł:

— Tak już jest, że pijany Moskal, dojrzawszy w zwierciadle własne oblicze, w szaleństwo wpada. Wiem, bo spotkałem raz w Padwie poselstwo moskiewskie do Florencji jadące. Powiem waści, że na jego widok chowano wszelkie szkła, a w szczególności zwierciadła, bo Włosi dobrze znali ów nieszczęsny obyczaj.

* * *

Stary Szymon, nierad lekkiej robocie, chciałby do obracania prasy powrócić. Ciotka Elżbieta kupiła dla Szymona kozę, a ten się zgodził pić mleko każdego ranka, w południe i wieczór.

* * *

Pisze Gorczyn. Zapomniałeś, mości Stanisławie, o dodaniu noty bardzo ważnej. Pozwól, że ja ją wstawię.

Nota: Jej Mość Elżbieta kupiła czarną kozę. Koniec noty, Gorczyn.

* * *

Wiosna w tym roku jest ciepła i dobrotliwa. Jaskółki przyleciały wcześniej niż zazwyczaj i krążą nad Warszawą, a ja nie mogę podziwu się wyrzec, patrząc na te śmigłe ptaszyny.

Jedna para jaskółek, nie wiem dlaczego, upodobała sobie moje okno, które w pogodne dni i noce stoi otworem. Wczoraj, w dniu pierwszym kwietnia, zaczęły w rogu ramy lepić cokolik, a dziś widać już gniazdko. Śpieszno im, latają bez ustanku tam i z powrotem. Panie Boże dopomóż, ptaszki lube!

Ciotka Elżbieta na widok jaskółczego gniazda ręce załamała.

— Jakże ty będziesz spał? Przeziębniesz w nocy.

— Noce są ciepłe.

— A na Trzech Ogrodników?

— Kożuchem się nakryję.

* * *

Dziś wieczór mają się toczyć na Zamku zapowiedziane rozmowy z Moskwą. Ludzie zapytują jedni drugich, co nowego poseł wymyślił, z czym wyskoczy, czego zażąda. Bo wszak zapowiedział, że od jego słów zamkowe mury zadrżą.

Gdyby tak inny poseł rzekł, francuski, turecki, sprawa wyglądałaby groźniej. Ale moskiewski... Istny to chameleon, co skórę każdej chwili gotów zmienić. Najpierw rękę na sercu kładzie, potem pięścią grozi, nagle przeprasza, całować cię gotów i znów z pogróżką się wyrywa, by po chwili zaprzeć się własnych słów i o przyjaźni prawić.

Ta gra moskiewska zaciekawia mnie jak rebus, jak trudna łamigłówka.

* * *

Podczas obiadu ciotka Elżbieta opowiedziała nam o spotkaniu z młodym włóczęgą. Szła przez Rynek, zmierzając ku Nowomiejskiej Bramie, aż tu patrzy, przed kamienicą ariańską stoi chłopak, lat może czternastu, dokoła dzieciarni kupa. Chłopak ma na ramieniu wiewiórkę łaskawą, która w łapkach szyszkę obraca, pestek w niej szukając.

Zadziwiona takim widokiem, spytała ciotka niedorostka, kim jest i skąd wziął wiewiórkę. Odpowiedział, że jest z Mazowsza, a wiewiórkę napotkał w lesie. Nic więcej nie chciał mówić. Wszedł potem między kramiki, dzieciarnia za nim.

Przekupki, ujrzawszy wiewiórkę, z darami pośpieszyły. Ta orzech podaje włoski, ta garstkę leszczyny, ta strączek świętojańskiego chleba. Zabawnie było patrzeć, jak zwierzątko zgarnia wszystkie dary pod siebie i usiłuje nakryć ogonem. A orzechy się sypią, spadają na ziemię. Zbiega więc wiewiórka, zaczyna je zbierać. Nagle pies jakiś warknął, wiewiórka hyc, hyc i znów na ramieniu siedzi.

— Rękę dałabym sobie uciąć — zakończyła ciotka opowiadanie — że młokos czmychnął ze szkoły.

Pan Elert wtrącił, że za jego młodych lat, kiedy się liście zaczynały zielenić na drzewach, wychowankowie szkolni też umykali na wagusy. Zawsze tak było i inaczej nie może być, bo młokosów na wiosnę nieprzeparte ciągoty ogarniają. Chce im się gdzieś biec, byle dalej od szkoły i przeklętej gramatyki łacińskiej, która młodość zatruwa.

— Ja sam — dodał — wyruszyłem w początku kwietnia, zabrawszy jeno gęśliki i ocknąłem się dopiero w połowie maja hen za Wrocławiem, w dalekim Budziszynie. Grałem po wsiach i dobrze mi się szło. Burmistrz budziszyński do powrotu mnie skłonił.

IX. Z PRZYWILEJEM KRÓLEWSKIM

Nie zadrżały mury i nie zawalił się Zamek, choć hałasów, krzyku, w stół pięścią walenia, takoż różnych pogróżek i tym razem nie brakło. Wróciłem do domu jak zamroczony. Spałem twardo.

Ocknąwszy się stwierdziłem, że nie pamiętam ani kolejności wypowiedzianych słów, ani rypost. Nie chcąc prawdy wypaczać, poszedłem bez zwlekania na Zamek do garbatego skryptora, co abrewiaturą pisze* i z jego łaskawej pomocy skorzystawszy, relację ścisłą mogę tu zaprezentować. Klnę się na Świętych Pańskich, iż pominąwszy rzeczy mniej ważne, nicem nie dodał, nie przeinaczył i nie zataił.

— Panowie rada — mówił Puszkin — tymi czasy okazała się wielka i jawna niesprawiedliwość, gdyż z waszą wiedzą i na rozkaz króla jegomości wydrukowano i rozesłano po Polszy i sąsiednich krajach mnóstwo ksiąg, w których się znajdują rzeczy haniebne i niespotykane!

Zamilkł i spojrzał w oczy kanclerzowi. Ten spytał:

— O jakich księgach mówicie, panie pośle? Bogiem a prawdą, nic nie mogę zgadnąć.

Moskale zaczęli szeptać, a bojarzyn Żemczug przysunął do posła skrzyneczkę płaską, ze świeżych desek zbitą i na jego znak wieczka uchylił.

---

* Notuje skrótami, stenografuje — z łac.

— Grzech wobec Boga — podjął poseł — i strach wobec cara batiuszki o tym mówić. Mnie, słudze carskiemu, nawet myśleć o takich rzeczach nie wolno. A jednak muszę owe przeklęte księgi wymienić i powtórzyć, co w nich wydrukowano. I niechże za słowa moje pokaran będę, jeśli Twoja wola, Boże prawosławny!

Podniósł oczy jak gdyby do nieba, przeżegnał się trzykrotnie i wrzasnął:

— Podawaj knigi!

Żemczug szybko podał Puszkinowi kilka nowiutkich książek. Przyjrzałem się baczniej i w oczach mi pociemniało.

Książki z Elertowskiej książnicy przeze mnie sprzedane! Niektóre sam poleciłem Gawryle i wydałem potwierdzenie kupna z moim podpisem.

— Ot ta kniga, panowie rada — zaczął poseł — kniga zwąca się po waszemu „O życiu i sławnych zwycjenstwach króla Władysława", drukowana zaledwie przed rokiem, zawiera różne obelgi, które strach powtarzać. Napisano na jej kartach, że błażennej pamięci car Michał Fiodorowicz był męczycielem własnego narodu, był kłodą bez duszy...

Zasłonił sobie twarz rękami, wołając:

— Och, czyż nie runą kamienie i cegły na moją grzeszną głowę!

Napił się z kubka jakiegoś płynu, przerzucił w skrzynce kilka książek, dwie wybrał i pokazując kanclerzowi, ciągnął:

— W tej znów knidze kakoj to podlec napisał „biedna Moskwa", że niby nam współczuje. Jak on śmiał, niegodiaj, coś podobnego napisać! Albo ta jeszcze książka, panie kancler, wydana niedawno w Gdańsku. No proszę, panie kancler, proszę wziąć do ręki. Pośrodku widzimy wizerunek króla Władysława, a dokoła napis. Cóż tam czytamy? Nu... nu... „Moskwa upokorżona", ot co czytamy. A dalej, co za wstyd! Dalej napisano, że sławny król Władysław wiarołomnych Moskali pod Smoleńskiem obległ i do takiej rozpaczy doprowadził, że dumni bojarowie po trzykroć na kolana padali i o miłosierdzie prosili.

— Tak było — wtrącił senator Załuski.

— Było, ale pisać o tym nie wolno! Nie wolno, panowie rada, bo to z pojęciem wieczystej przyjaźni sprzeczne, obraza carskiego majestatu i ujma dla dumnych bojarów. A cóż ja widzę? Król polski, zamiast ukarać winowajców, zamiast ich wychłostać albo powiesić, król polski sam nakazuje drukować takie książki i nawet się z tym nie kryje. Boże mój, co za konfuzja!

— Wybaczcie, panie pośle — rzekł kanclerz — musiało zajść jakieś nieporozumienie. Król wymienionych przez was książek nie kazał drukować, król się do tego nie miesza.

— A ja wam udowodnię, że się miesza! Ale nim to zrobię, pozwólcie, że pokażę jeszcze kilka książek, w których jest straszna obraza majestatu carskiego. Ot, taki Samuel Twardowski, czort jego znajet co za jeden, ośmielił się nazwać cara samodzierżcę, ośmielił się go nazwać „smutnym Moskwicinem"! Ach, panowie rada, co za użas[1]! Albo ksiądz Cieciszewski, spowiednik królewski...

Nachyliłem się do pana Libickiego, co koło mnie siedział, i szepnąłem:

— Muszę waści wyznać coś ważnego. Wyjdźmy na chwilę.

W chłodnym przedsionku, ująwszy go pod ramię, opowiedziałem szczerze o odwiedzinach Gawryły Leontjewa, o sprzedanych książkach i karteluszach z moim podpisem.

— Jeżeli trzeba — dodałem — pójdę do kanclerza i wyznam całą prawdę.

Stary Libicki zamyślił się na dłuższą chwilę. Poklepał mnie wreszcie przyjaźnie po plecach i orzekł:

— No cóż, książki nie spadły z nieba, musieli je Moskale gdzieś kupić. A że kupili u was, nie indziej, sprawa drugorzędna. Trzeba jednak kanclerza zawiadomić, że zostały kupione tu, w Warszawie, już po przyjeździe poselstwa. Boć z tego ważny wynika wniosek, że car o nich nie wie nic, że to Puszkin wpadł na nowy pomysł i zamęt teraz czyni.

[1] Zgroza — ros.

Przyznałem słuszność jego słowom. Chodziliśmy jeszcze dość długo. Wymieniłem książki, wymieniłem autorów i o treści wspomniałem.

— Dzisiejszy wyskok z książkami — mówił Libicki — wygląda równie bezsensownie, jak i poprzednie. Można by pomyśleć, że Puszkin dworuje sobie, że się bawi naszym oszołomieniem. O, to tęga głowa, wie jak z kanclerzem postępować.

— Domyślam się — rzekłem — że chodzi o Smoleńsk.

— Tak, o Smoleńsk, a może i Kozaczyznę. Puszkin wysuwa mnóstwo dziwacznych zarzutów i żądań, by potem, targując się o każdy drobiazg, zmęczyć nas i do rezygnacji doprowadzić.

— Stracimy więc Smoleńsk?

— Stracimy albo nie. Gra jest trudna, bośmy jeszcze ran po poprzednich wojnach nie zaleczyli, wojsko kwarciane czeka na żołd, zamki kresowe źle uzbrojone, podatki ospale wpływają, na wschodzie pola nieobsiane, zanosi się na głód. Wie o tym Puszkin, no i pozwala sobie na wszelakie wybryki, na jawne kpiny z Rzeczypospolitej. A nasz kanclerz, choć powinien był zerwać rokowania, słucha cierpliwie, bo co może zrobić?

Wolnym krokiem przechadzaliśmy się po przedsionku zupełnie pustym o tej porze. Tylko przy wyjściu siedzieli na ławie dwaj dragoni ze straży zamkowej i grali w karty. Z sali obrad dobiegały echa toczących się tam pojedynków słownych.

— Wracajmy — rzekł Libicki. — O książkach pamiętam i skoro kanclerz zarządzi przerwę, nie omieszkam go zawiadomić.

Kiedyśmy wchodzili na salę, Puszkin grzmiał:

— Powiadacie, że moje żądania są nieludzkie, okrutne, nigdy niespotykane! A cóż ja takiego zażądał? Ot, sprawiedliwej kary na pisujących książki niegodziajów, co carski majestat obrazili i kary chłosty na drukarzy, którzy mieli czelność takie książki drukować. Widzicie więc, żem człowiek skromny, dobroduszny.

Kanclerz: — Wymieniliście, panie pośle, nadwornego drukarza jego królewskiej mości, pana Piotra Elerta. Jakże sobie wyobrażacie wykonanie wyroku?

Poseł: — Zwyczajnie. Za kark wziąć, zataszczyć na Rynek i tam, w przytomności moich bojarów, sorok knutów wlepić.

Kanclerz: — Przyjmuję wasze słowa do wiadomości, panie pośle i nie omieszkam powtórzyć ich królowi. Z dzisiejszych naszych rozmów wynika, że dodatkowo żądacie ukarania śmiercią kilkunastu autorów książek za rzekomą obrazę carskiego majestatu, że nadto żądacie wychłostania drukarzy. Czy to już wszystko na dziś?

Poseł: — Niet, nie wsio. Na sam koniec, żeby nie było pomieszania z innymi złoczyńcami, zapamiętał ja sobie łotra z łotrów największego, który napisał rzecz przerażającą, nie do wiary! Kiedy myślę o tym, włosy dęba mi stają.

Kanclerz: — Kto i co napisał?

Poseł: — Ach, czyż usta moje powtórzą taką obelgę! Ja, panie kancler, żądam wydania go żywcem! Tak, żywcem! Ja go do Moskwy powiozę.

Kanclerz: — Wydać żywcem?

Poseł: — Da, prawilno.

Kanclerz: — Ale o kim mowa?

Poseł: — Boże mój, taki sukinsyn! Ja jego postronkami spętam i kibitką do Moskwy powiozę, tam rzucę pod nogi carowi batiuszce i niechże car batiuszka...

Kanclerz (*przerywając*): — Panie pośle, zapytuję po raz trzeci, o kim mowa?

Poseł: — Jego imię Gorczyn, Jan Aleksander Gorczyn. Wot, tu leży ohydna książka Gorczyna, najgorsza ze wszystkich...

Kanclerz: — Gorczyn, Gorczyn... Nie przypominam sobie.

Podkanclerzy Leszczyński: — Owszem, jest taki w Krakowie. Napisał kilka książek.

Bojarzyn Żemczug (*śmiejąc się*): — Izwinitie, panowie rada, ale on żyje tu, w Warszawie.

Poseł: — Nu da, w Warszawie.

Kanclerz: — Gorczyn, czymże zawinił ten Gorczyn?

Poseł (*wznosząc ramiona*): — Prawosławny Boże! Dodaj mi śmiałości do wyrzeczenia tych słów! Gorczyn, panie kancler,

w tej oto książce pełnej sromotnych zniewag i krzywdzących nasz naród zarzutów, odważył się nazwać cara batiuszkę... Och, co za hańba! Odważył się nazwać trębaczem! Tak, panie kancler, nazwał cara trębaczem!

Krzyki i wrzawa po moskiewskiej stronie.

Podkanclerzy (*do senatora Załuskiego*): — Zniewaga zaiste osobliwa!

Senator Załuski: — I osobliwa wrażliwość na zniewagę.

Kanclerz (*do posła*): — Wasze żądanie, panie pośle, zostanie powtórzone królowi. Wspomnieliście przed chwilą, że książki były drukowane na rozkaz królewski. Oświadczam, że rozkazów takich król nie wydawał.

Poseł: — A ja oświadczam, że wydawał, ot co! I zaraz to udowodnię.

Kanclerz: — Słucham z uwagą.

Poseł (*kopiąc pod stołem Gawryłę*): — Durak! Dlaczego ty knig nie pootwierał? Ot i proszę, panie kancler, pokornie proszę. W każdej z książek, zaraz za titularną stroną stoi wydrukowane: cucucum... cum... cum... Tfu, ty czort! Gawryła, idi siuda!

Gawryła Leontjew: — Po łacinnicki napisano... Cucum... cum priwilegjo S.R.M., bukwy[1] królewskie, znaczy się...

Poseł: — Nu, znaczy się, z królewskiego rozkazu.

Śmiechy na ławie senatorów.

Żemczug: — A wy za bardzo się nie śmiejcie, panowie rada, bo może przyjdzie popłakać.

Kanclerz: — Jest to, panie pośle, formuła przywileju na prowadzenie drukarni.

Poseł: — Ale bukwy S.R.M. są królewskie, a? Znaczy się, że drukowano z pozwoleniem królewskim, ot co.

Kanclerz: — Król jegomość o tych książkach nigdy, być może, nie słyszał.

Poseł: — Kak że tak? Król dał zezwolenie i nie wie na co?

Kanclerz: — Król dał przywilej na założenie drukarni.

---

[1] Litery — ros.

Poseł: — Nu choroszo. Tak po cóż król swoje bukwy tam wstawił?

Kanclerz: — Jest to znak drukarski i żadnej utajonej myśli w nim nie ma. Znak chroni drukarza i jego książki przed nadużyciami innych drukarzy[1].

Poseł: — Dziwimy się, panowie rada, że wy nas, wielikich posłów, za całkiem głupich macie. Toż jeśli król jegomość zezwolenie dał drukarzowi i swoje bukwy do książki kazał wstawić, to jasny chyba dowód... Et, o czym tu gadać! Sława Bogu, rozumu mamy dość, choć my naród prosty, nieuczony.

Podkanclerzy: — Pozwolę sobie przypomnieć, że król Zygmunt chciał w Moskwie szkoły zakładać. Sprzeciwili się temu bojarowie dowodząc, że czytanie książek do grzechu prowadzi.

Poseł: — Wy, wy nam o książkach mówicie! A wiecie wy, że Samozwaniec, anatema[2] na jego imię, ksiąg polskich i łacińskich do Moskwy nazwoził i narozdawał tyle, że poniewierały się w każdym domu. Później, po jego śmierci niesławnej, miotłami te księgi wymiatano, jak jaki śmieć, jak barachło nikomu niepotrzebne. Na Krasnoj Płoszczadi w stos druki zebrawszy, moskwiczanie ogień podłożyli. I tak spłonęła polska mądrość, z dymem poszła, śladu z niej nie zostało.

Senator Załuski: — Szkoda!

Poseł (*do Gawryły*): — Czto on skazał?

Gawryła: — On skazał szkoda, znaczyt: żałko.

Poseł: — Wam żałko, panowie Polaki, a nam nie żałko. Nam napluć na wasze książki uczone! Z łaski Bożej twardo się trzymamy cerkiewnego języka, świętą Jewangelię znamy, wielikich gosudarów wielbimy, rozkazy ich spełniamy, cóż więcej potrzeba?

---

[1] Formuła: „Cum & Gratia Privilegio S.R.M." (Sacræ Regiæ Maiestatis), czyli: „Z Łaską Przywileju Świętego Królewskiego Majestatu", odpowiadała pojęciu współczesnej koncesji. Piotr Elert, na przykład, uzyskał w 1647 r. przywilej wyłączności drukowania i sprzedaży w Warszawie pism państwowo-prawnych.

[2] Klątwa kościelna — gr.

Wy, panowie Polaki, sami siebie zanadto chwalicie, nazywacie się uczonymi ludźmi, a od piętnastu lat nie możecie się nauczyć carskich tytułów. Nam się zdaje, że wy głupsi od nas, ot co!

Wrzawa po obu stronach.

Kanclerz (*głośno*): — Zarządzam przerwę.

Kanclerz litewski (*wstając*): — A świętą Ewangelię drukują na Litwie, bo u nich żadna drukarnia długo nie przetrwa, zawsze ją rozwalą.

Senator Załuski: — Widzą w niej dzieło szatana.

Kanclerz litewski: — Powiedziałbym raczej, że się lękają buntowniczych druków.

* * *

Przerwa trwała długo. Moskale skupili się w rogu sali i szeptem wiedli rozmowę. Puszkin tłumaczył coś bojarom, licząc na palcach, jak gdyby im przypominał o wysuniętych żądaniach. W innym rogu sali zgromadzili się senatorowie. Kanclerz zaraz gdzieś znikł, zapewne udał się do króla. Po krzykach i hałasach zrobiło się cicho.

Wyszedłem na taras od strony Wisły. Tam, rozmyślając o rzeczach przed chwilą usłyszanych, przechadzałem się z wolna, a żwir chrzęścił pod moimi stopami.

Co za szaleństwo! Gorczyn wydany żywcem Moskwie, Elert wybatożony na Rynku. Roześmiałem się na samo wyobrażenie takiej sceny.

Dzień był ciepły, w powietrzu panował spokój. Przystanąłem pod drzewem platanowym i przyglądałem się szpakowi, który śpiewał nie wiadomo po co, z samej uciechy, że żyje. Śpiewał na zachód, potem wykręcił się na wschód, na północ, na południe, jak gdyby pozdrawiając cztery strony świata i wszystkim dobrze życząc.

— Kawalerze miły, kawalerze!

Obejrzałem się. Za moimi plecami stała młodziutka panna z fraucymeru królowej, ta sama, którą spotkałem u Baryczków. Śmiało patrzyła mi w oczy.

— Co tu robisz, kawalerze?

Skłoniwszy się odrzekłem, żem wyszedł z dusznej sali zamkowej tchu zaczerpnąć.

— Do mojego okienka toś nawet nie zerknął.

— Nie wiem, które to jest.

Wskazała jedno z okien wychodzące na taras.

— Stamtąd cię widuję, kawalerze.

Mówiła dotąd po polsku, ale w tym miejscu przeszła na francuski i jęła wywodzić, często wzdychając, jak bardzo się nudzi w towarzystwie panien z fraucymeru (wymawiała: froossimer), że dzień do dnia podobny i żadnej odmiany nie ma. Rano msza święta, potem nauka, potem śniadanie, po śniadaniu krótki wypoczynek, potem znów nauka, potem nieszpory...

Niedaleko od nas rozległo się wołanie:

— Ohé, ohé, Marie!

— Bywaj zdrów, kawalerze — szepnęła. I jak sarenka skoczyła między krzewy wawrzynu.

* * *

— Jego królewska mość i my — mówił kanclerz — postanawiamy żadnej nowej odpowiedzi, panie pośle, nie udzielać, uważając dzisiejsze wasze żądania, jak i poprzednie, za sprzeczne z obyczajami naszego kraju. Goniec powiezie listy do Moskwy. Wyjedzie jutro o świcie. Odpis listów, panie pośle, będzie wam doręczony.

Poseł: — Nu, tak i mój goniec wyjedzie jutro z listami, ale ja odpisu nie dam.

Kanclerz: — Nie domagamy się tego.

Poseł: — Znaczy się, rokowania zerwane.

Kanclerz: — Nie zerwane, tylko przerwane.

Poseł: — Ładno! I ot ja wam powiem, panowie rada, że mój goniec zawiezie też do Moskwy te książki bezwstydne. Zawiezie, padnie na kolana, poda batiuszce carowi i powie: „Czytaj, gosudarze wielikij, czytaj i osądź, co dalej czynić, wojować czy nie wojować, bo w Warszawie sponiewierali twoją cześć i żadnej satysfakcji dać nie chcą". Ot, co powie mój goniec.

Kanclerz: — Wolna wola.

Poseł (*odwracając się*): — Tmudichin! Ty pojedziesz. Tylko pilnuj knig, bieregi[1]!

Tmudichin: — Rad się postarać, Grigorij Gawryłowicz. Bóg da, szczęśliwie dowiozę.

Senatorowie zaczęli wstawać. Łatwo było wyczuć, że strona polska ma dość przekomarzań.

Kanclerz: — Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Poseł: — A ja mam. Nie piszcie w listach, panie kancler, o tym pół milionie czerwonych złotych.

Kanclerz: — Czemu?

Poseł: — Bo to nasza sprawa, bojarska.

Bojarzynowie (*chórem*): — Oczewidno[2] nasza.

Kanclerz: — Napiszemy, żeście chcieli sprzedać cześć carską za czerwone złote.

Poseł: — Jerunda[3]! My tego żądali za obrazę dumnych bojarów.

Senator Załuski: — W żywe oczy się zaparł!

Bojarzynowie (*chórem*): — Za naszą cześć, nie za carską! My krest całować gotowi!

Poseł: — Ot i widzicie, panie kancler. Lepiej nie pisać, bo tylko sromota na was spadnie.

Kanclerz: — Mimo to napiszemy.

---

[1] Strzeż! — ros.

[2] Oczywiście — ros.

[3] Bzdura! — ros.

X. WSZYSCY SZUKAJĄ TRĘBACZA

Wróciwszy wczoraj z Zamku, zastałem ciotkę Elżbietę w kuchni, gdzie warzyła wieczerzę. Kiedym jej zdał relację z rzeczy widzianych i słyszanych, śmiać się zaczęła z całego serca, a potem wybiegła na dziedzińczyk, wołając:

— Hej, Piotruś, bywajże, bywaj!

Dosłyszałem głos imci pana Elerta, który wychylił się z okna:

— A co się stało?

— Zejdź na dół.

— Gram.

— Zejdźże! Coś się dowiesz.

Zeszedł po chwili, trzymając w garści skrzypce. Był niekontent, że mu przerwano.

— O co wam chodzi?

Ciotka wskazując na mnie:

— Jego pytaj.

Zacząłem opowiadać, ale ciotka rychło mi przerwała i odtąd sama już mówiła, zanosząc się od śmiechu. Pan Piotr, jak się zdaje, jednym uchem słuchał i niezbyt uważnie, bo śpieszył się na górę, palcami po strunach wodził.

— Zrozumiałeś?

— Nie, nic nie rozumiem.

— Chcą cię wychłostać na Rynku.

— Kto?

— Oni, ci z Kałęczyna.

— Mnie wychłostać?

— Za to, żeś nieprzyjemne dla Moskwy książki drukował. Tak, Piotrusiu, czterdzieści batów.

— Ooo...

— Nie mów: ooo...Weź pod rozwagę.

Stał pan Piotr, nie wiedząc czy gniewać się, czy w żart to obrócić. Popatrzył, pomrugał oczami, pokręcił głową, brzęknął w struny kremońskich skrzypek i odrzekł:

— Idę grać. Opowiecie mi o tym przy stole.

* * *

Sam będąc w książnicy, sięgnąłem na półkę po Gorczynową „Pamięć o cnotach, szczęściu i dzielności Władysława IV, króla polskiego", wydaną przed dwoma laty w Krakowie, i zacząłem przeglądać.

Gdzie jesteś, trębaczu, coś tyle zamieszania narobił?

Jak gdyby drwiąc sobie ze mnie, trębacz schował się między paginy i ani rusz nie mogłem go odnaleźć. Straciłem chyba z godzinę na poszukiwania; zniechęcony położyłem książkę na miejscu. Przy sposobności zrobiłem obliczenie i okazało się, że mamy jej 42 wolumeny, sprzedaliśmy więc tylko osiem z otrzymanego półsetka. A no, stąd Gorczyn w podartym żupaniku chodzi.

Tę nędzną sprzedaż tłumaczę nie brakiem walorów książki, boć Gorczynisko pisze ciekawie i wiadomości posiada więcej od innych autorów. Tłumaczę tym, że jednocześnie wyszło z druku mnóstwo panegiryków[1] ku chwale króla Władysława, sporządzonych prawie na jeden wzór, przez co praca Gorczyna zginęła w powodzi podobnych. Niepotrzebnie też dał w tytule imię królewskie, jak uczynili inni.

Trzeba jednak odnaleźć trębacza, mogą o niego pytać. Albo prościej: niechże mi Gorczyn wskaże gdzie szukać.

[1] Utworów pochwalno-biograficznych — z gr.

* * *

Libicki wszedł do książnicy z podniesioną głową, rześwy i wyprostowany. Poznałem po jego postawie, że jest czemuś rad.

— Domyślam się — rzekłem — żeście na Zamku nabrali otuchy. I cóż kanclerz?

— Kanclerz prosi o książkę Gorczyna ze sławnym już dziś trębaczem.

Opowiedział krótko, że Gorczynowy trębacz zrobił niespodziewaną karierę. Wszyscy mówią o trębaczu na Zamku i poza jego ścianami. Trębacz wniósł ożywienie do smutnych nastrojów, rozweselił przygnębionego kanclerza i jak swawolny zefirek popieścił senatorskie głowy.

— Coś mi się widzi — dodał Libicki — że przez tego trębacza wszystko odmieni się na lepsze. Kanclerz w rozmowie z podkanclerzym wpadł na nadzwyczajny pomysł...

Położył palec na ustach.

— Cyt, ani słowa więcej! Wierzaj waść, że pomysł jest dobry i co najciekawsze, w nim też występuje trębacz.

— Ten sam?

— Nie, inny. Ale czasu mam mało, proszę o książkę Gorczyna.

Podałem mu „Pamięć o cnotach" i z obowiązku wyjaśniłem, że przed godziną sam szukałem trębacza dla własnej ciekawości, alem nie znalazł. Zasępił się Libicki.

— To co robić? Przecie muszę go kanclerzowi wskazać.

Odpowiedziałem, że dowiem się wprost od Gorczyna, który kwateruje niedaleko, w klasztorze na Piwnej.

— Chodźmy zaraz — zawołał — bo czas drogi!

Poleciwszy książnicę uwadze ciotki Elżbiety, wyszedłem z Libickim, jak mi się zdało, przyjemnie podnieconym.

* * *

Do klasztoru nie chciano nas wpuścić. I na nic się zdały prośby. Kiedy Libicki oświadczył, że przychodzi w imieniu kanclerza, mnisi zaczęli furtę na gwałt tarasować, wołając, że nie mamy

prawa wejść. Zrobił się harmider niebywały, przybieżał ksiądz przeor.

Popatrzył przez zakratowane okienko i tak przemówił:

— Gorczyn jest pod Pana Boga i moją opieką. Nikomu go nie wydam, choćby sam kanclerz kołatał.

— Wielebny ojcze — mówię — nie przychodzimy Gorczyna zabierać. Spójrzcie, dwaj jesteśmy, bez żadnej broni i źle, tuszę, nie patrzy nam z oczu.

Pomantyczył trochę i kazał w końcu furtę otworzyć, ale jeszcze nie ufał i wypytywał o cel przybycia. Uspokoiwszy się, wybrał jednego braciszka zakonnego, a ten nas powiódł do celi, gdzie siedział Gorczyn.

Siedział skulony na zydlu, wyglądał jak kupka nieszczęścia. Ujrzawszy Libickiego, skulił się jeszcze bardziej, prawie w kłębek się zwinął.

— Gorczynie — wołam — nie lękaj się! Ja tu jestem!

— A, to ty? Bogu dziękować! Któryś z braciszków biegał przed chwilą z nowiną, że kanclerz...

— Kanclerz pozdrawia waści — przerwał Libicki. — Pozdrawia i prosi o wskazanie trębacza.

Z tymi słowy podał mu książkę. A Gorczyn za głowę się złapał.

— Zmiłujcie się, panie, w tej książce nie ma trębacza. Sam ją przecie pisałem, przy odbijaniu pod prasą byłem przytomny, własną ręką błędy poprawiałem i nigdziem słowa trębacz nie wstawił.

Zaskoczony odpowiedzią, Libicki milczał przez chwilę, potem spytał:

— A może w innej książce wspomniałeś waść o trębaczu?

— Wspomniałem, nie ukrywam. Zajrzyjcie do mojej „Tabulatury muzyki". Jest tam mowa o muzykantach grających na różnych trąbach: na puzonie, na ofiklejdzie, szałamai, kornecie, fujarze pizańskiej, bas-basie i stentoryju, ale o carach moskiewskich nie ma tam ani słowa. Nigdy cara nie nazwałem trębaczem, bo i po co?

Wobec tak jasnej odpowiedzi Libicki oznajmił, że dopatruje się w całej rzeczy zabawnej pomyłki. Moskale albo coś poplątali,

albo nie zrozumieli i źle przetłumaczyli. Tym lepiej, niech się mylą. Wychodząc rzekł do Gorczyna:

— Przepraszamy waści za zakłócenie spokoju, za te zgiełkliwe odwiedziny.

* * *

Może w godzinę, albo prędzej, po rozmowie z Gorczynem, Libicki znów się zjawił w książnicy. Przywiódł pachołka do pomocy i prosił, bym zebrał, co do jednej, książki ostatnimi laty wydane, a dotyczące panowania króla Władysława, jego wojen z Moskwą, pobytu naszych wojsk w moskiewskich krajach etc. Kazał też wyłożyć życiorysy hetmanów, co z Moskwą wojowali. Na ostatek polecił odszukać Gorczynową „Tabulaturę".

— Tego — rzekł — zażądał kanclerz.

I jakby na usprawiedliwienie swoje dorzucił:

— Bo pamięć ludzka często zawodzi. Mógł Gorczyn coś przeoczyć, mógł zapomnieć. Tak czy owak, trębacz musi zostać odnaleziony.

Mówił jeszcze, że skrybowie z kancelarii zaraz się wezmą do czytania tych książek. Mrugnął na mnie okiem, odciągnął dalej od pachołka i szepnął:

— Rychło usłyszymy, być może, o innym trębaczu. Ale, na Boga, sekret to polityczny i o dyskrecję proszę.

* * *

Ciotka opowiadała po powrocie z Rynku, że śród straganów ciągle się kręci ów niedorostek z wiewiórką na ramieniu. Znać, że jest głodny, wychudł i zmizerniał, ale hardy jak dawniej i nie chce się przyznać skąd przywędrował do Warszawy.

* * *

W Niedzielę Palmową Roku Pańskiego 1650. Można powiedzieć, że w pojęciach ludzkich powstaje coraz większy zamęt. Jedni ganią kanclerza za łagodność wobec Moskwy i mówią, że lepiej by zrobił, wypędzając poselstwo bez podpisania paktów,

inni dowodzą, że wobec słabości Rzeczypospolitej kanclerz nie powinien zrywać rokowań. Żądania moskiewskie nie nam uwłaczają, lecz im, gdyż są dzikie i z rozsądkiem sprzeczne.

Przerwa w rokowaniach przeciąga się. Moskale, jak gdyby o nic się nie troszcząc, handlują sobolami. Zawsze u nich pełno kupujących, którzy zjeżdżają nawet z odległych stron. W ten sposób pieniądz polski przechodzi do obcych mieszków.

Co się dzieje z Gorczynem, że go dotychczas nie ma? Jeżeli dziś nie przyjdzie, wybiorę się jutro do klasztoru.

Pan Piotr Elert zupełnie się nie przejął zapowiedzią chłosty na Rynku. Nawet nie chce słuchać naszego gadania, uważa to za nieprzyzwoitość. Ale ciotka Elżbieta nażartowała się z męża jak nigdy.

* * *

Poniedziałek. Odwiedził książnicę Adamandy Kochański. Przyszedł wzruszony, aż mu policzki gorzały. Pokazał panu Piotrowi i mnie nowy zegareczek, który właśnie sporządził po północnej pracy.

Małe cacko ma kształt spłaszczonego żołędzia, tyle że większe jest. Dwie strzałki, krótsza i dłuższa, obracają się na spólnej ośce. Krótsza wskazuje godziny, dłuższa minuty i kiedy pierwsza posuwa się od znaku do znaku, druga oblatuje tarczę dokoła. Nadzwyczajna ta mechanika w zachwyt wprawiła pana Piotra, prosił więc Adamandego o wytłumaczenie, dlaczego wszystko tak się kręci.

Kiedyśmy stali, patrząc na misterne kółeczka, zakołatano od ulicy. Poszedłem otworzyć. Do sieni weszli Żemczug i Gawryła Leontjew. „Wpuścić ich, czy nie wpuścić?" — przemknęło mi przez głowę, bom się trochę lękał spotkania Moskali z panem Piotrem. Ale wahałem się krótko.

— Proszę — rzekłem — wejdźcie.

Na widok gości pan Piotr skrzywił się, jak gdyby dostał do powąchania zdechłego miętusa i wyszedł.

Żemczug skinął głową Adamandemu, a Gawryła przemówił:

— Ot my słyszeli, że na polskim języku wydana kniga o szachmatnoj zabawie. My chcieliby ją kupić.

Odpowiedziałem, że wyszły dwie takie książki. Pierwsza, bardzo już stara, Jana Kochanowskiego, zwie się „Szachy", tej nie mamy, drugą, napisaną przez wojewodę poznańskiego, Jana Ostroroga, mogę im sprzedać.

Podszedłem do półki, wybrałem żądaną książkę i podałem Gawryle. Żemczug tymczasem dojrzał zegareczek w dłoni Adamandego.

— Czto eto? — spytał.

Adamandy chciał zegarek schować, nie zdążył jednak. Żemczug złapał go za rękę.

— Da ty nie priacz[1], bałwan, pokaży!

Odebrał mu zegarek i z zaciekawieniem patrzył na tarczkę z cyframi.

— Leontjew, czto eto za czipucha[2]?

Tłumacz uśmiechnął się chytrze i coś półgłosem zaczął tłumaczyć.

— Znaczyt, eto czasy! — zawołał Żemczug. — Ot i wydumka! Da pogodi, pogodi[3]...

Przyłożył zegarek do ucha, chwilę nasłuchiwał i raptem wrzasnął:

— Wot twoju mać! Da ona prosto żywaja, prodiełka-to[4]! Jej Bohu, w niej czto to pobriakiwajet[5]!

Potem zwrócił się do Adamandego:

— Prodaj ty eto. Skolko choczesz?

Adamandy pokraśniał i zaczął mrugać ślipkami, jak gdyby miał się rozpłakać. Ująłem się za nim. Ale Żemczug wciąż mi przerywał, nie chciał słuchać i powtarzał w kółko:

---

[1] Nie chowaj — ros.
[2] Tu: bzdurka, dziwadełko — ros.
[3] A więc to zegarek! Ale wynalazek! Poczekaj, poczekaj... — ros.
[4] Co za figiel! — ros.
[5] Pobrzękuje — ros.

— Prodaj. Nu, Adamandyj, dam tobie mnogo dienieg, dam sobolową skórkę. A może by ty wolał kitajskiego szołku[1]? Też tobie dam. Nu, gowori, czto choczesz?

Na żadną z obiecanych rzeczy Adamandy nie chciał się zgodzić, uparty był, o oddanie zegarka prosił.

Nagle Żemczug objął go za szyję i pocałował w oba policzki.

— Nu choroszo, nie choczesz, tak i nie nado. Dierży[2] twoi czasy.

Znów go pocałował i mówił:

— A może, mileńkij, może ty by mi pożyczył na jeden dzionek? Zawtra odniosę i upominek dam, uwidzisz, rad będziesz ze mnie.

Do książnicy weszli pan Andrzej Morsztyn z porucznikiem Zaćwilichowskim. Pozdrowili Moskali grzecznie, ale z daleka.

— Nie przeszkadzamy? — spytał pan Andrzej.

Zapewniłem, że bardzo rad jestem z ich przybycia, bo właśnie Adamandy znalazł się w niecodziennych opałach. I krótko opowiedziałem o zegarku.

Pan Andrzej tłumaczył Moskalom, że nie przystoi zmuszać Adamandego do wyrzekania się zegarka, gdyż to jego własność i może robić z nią, co zechce. Na to Żemczug:

— Tak puskaj on mnie dast etot zygaryk na jeden dzionek, do zawtra[3]. Jej Bogu, odniosę i coś za to dam.

Adamandy (*płaczliwie*): — Nawetem się nie zdążył nacieszyć.

Żemczug (*całując Adamandego*): — Nu daj, do zawtra. Przytaszczę ci szołku na kubraczek.

Adamandy: — A jak mi nie oddacie?

Żemczug: — Ot, kakoj niedowierczywyj! Ja tobie mogę dać czestnoje słowo bojarina. Słyszysz? Czestnoje słowo bojarina!

Gawryła: — On nie ponimajet.

Żemczug: — Tak pierewiedi, durak.

---

[1] Chińskiego jedwabiu — ros.

[2] Trzymaj — ros.

[3] To niech on mi da ten zegarek [...] do jutra — ros.

Gawryła (*do Adamandego*): — On daje bojarskie słowo honoru, że jutro odda zegarek.

Żemczug (*głaszcząc Adamandego po głowie*): — Nu, ot i widzisz, słowo gonoru, bojarskie słowo gonoru.

Adamandy (*pochlipując*): — A jak mi zepsowacie?

Żemczug: — Czudak ty!

Porucznik Zaćwilichowski (*do Żemczuga*): — Zważ waćpan, że rzecz jest misterna i wielce delikatna.

Żemczug: — Da my znajem, u nas czasow mnogo, u nas bogato. Ja tylko chciał pokazać Grigoriju Gawryłowiczu polski zygaryk, ot co. Nu, Adamandyj, niczego kolebatsja[1].

Adamandy (*płaczliwie*): — Nie wiem, co robić?

Żemczug (*do porucznika*): — Wy, pan oficjer, bądźcie lubiezny[2] i objaśnijcie, że ja dał czestnoje słowo gonoru...

Porucznik: — Myślę, że nie godzi się wątpić o szczerości słów carskiego bojara.

Pan Andrzej: — Cóż, będziemy świadczyć w razie potrzeby.

Adamandy (*do Żemczuga, podnosząc wieczko zegarka*): — No to spójrz waszeć, panie bojar...

Żemczug: — Ot twoju mać!

Adamandy: — Naciągam sprężynę. Za dwanaście godzin trzeba naciągnąć po raz wtóry. Uważaj, panie bojar, kluczyk. Wkładam do lewej tulejki i ostrożnie obracam w prawą stronę...

Żemczug: — Nu ładno, ładno, dawaj.

Adamandy: — Byle nie za silnie. O, już dość, palce poczuły opór. Do prawej tulejki kluczyka nie wkładajcie.

Żemczug (*biorąc zegarek i gładząc Adamandego po twarzy*): — Ładno, ładno, mileńkij. Zawtra my tu bendziem i tobie z serca podzienkujem.

* * *

---

[1] Nie ma co się wahać — ros.

[2] Uprzejmy — ros.

Braciszek zakonny przyniósł wiadomość, że wzywa mnie Gorczyn.

— Co się stało? — pytam.

— Ksiądz przeor zabronił mu wychodzić z klasztoru, póki się trębacz nie odnajdzie.

Zdziwiłem się tą odpowiedzią i rozśmieszyłem trochę, bo czego się bać? Spytałem, co robił Gorczyn przez ostatnie dni. Braciszek odrzekł, że malował konterfekt przeora. Anioł, podający księgę, wciąż jeszcze nie ma głowy, a i niebo nad przeorem nie jest błękitne. Przeor cierpliwie czeka na jedno i drugie, z Gorczynowej roboty rad.

Dodał braciszek, że Gorczyn wydobył gdzieś z kąta tabliczkę łupkową z rysikiem i zaczął coś obliczać. Wypisuje cyfry, mnoży, dzieli i co pewien czas wydaje okrzyk: „Eureka!". Taki przy tym zawzięty, że go od liczenia odciągnąć trudno.

Dwakroć w ciągu wieczoru biegałem do Gorczyna, raz sam, drugi raz z panem Piotrem. Przeor uparł się i nie chce nieboraka wypuścić. Mówi, że miał zły sen, że widział Gorczyna, jak przesiewa zieloną mąkę sitkiem, a sitko klęskę wróży.

Pan Piotr na to:

— Wielebny ojcze, wiecie chyba, że bywam na Zamku i z dostojnymi personami często rozmawiam. Mogę was zapewnić, jako świadek, że król jegomość uśmiał się z pomysłu wydania Gorczyna tudzież z pomysłu chłosty na Rynku. Przestańcie się więc frasować, ojcze wielebny, i zezwólcie Gorczynowi, by przyszedł jutro do nas na południowy posiłek.

Przeor wyraził zgodę.

* * *

Bez porozumienia z mężem i bez mojej wiedzy ciotka Elżbieta przyprowadziła do drukarni chłopaka z wiewiórką, żeby Szymonowi przy dokręcaniu prasy pomagał.

Kiedym zapytał młokosa, kim jest i co potrafi, odrzekł, patrząc mi hardo w oczy, że na imię ma Jaś, a potrafi wszystko.

Rozgniewałem się tą butną odpowiedzią. Poszedłem do ciotki i przemówiliśmy się trochę. Tłumaczyła, że go spotkała na Rynku, gdzie porzucone od przekupek cebule z błota wydłubywał i jadł. Serce jej się ścisnęło na ten widok. Przywiodła więc Jasia, nakarmiła i długo z nim gadała. Wydał jej się bystry, nadzwyczajnie chętny do pracy i wesół, choć zabiedzony. Zgodził się robić w drukarni, czego tylko zażądamy. Powiedział, że jest synem organisty z Rawskiego, sierotą bez ojca i matki. Przyszedł do Warszawy, bo nie miał gdzie iść. Bogu zaufał i Bóg go nie opuści.

Tak powtórzyła ciotka, a mnie się nie bardzo chciało wierzyć w te sieroce lamenty.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. Po niepotrzebnym strachu, którego mi trębacz napędził, nie wątpię już o własnym bezpieczeństwie. Chwała ci, patryjo[1] nasza dobrotliwa, żeś mnie w opiekę wzięła.

Czytajcie teraz z uwagą, com przez ten czas wymyślił. Trudu nie żałując, znalazłem liczbę z czterech znaków złożoną, a tak osobliwą, że kiedy ją dzielę przez dziewięć ostaje osiem, kiedy dzielę przez osiem ostaje siedem, kiedy dzielę przez siedem ostaje sześć. I tak aż do ostatniego dzielenia z ostatkiem jeden.

Zgadujcie liczbę. Kto zgadnie, temu rzeknę: bracie, toć jesteś tęgi mathematyk.

Dalej nie piszę, bo do książnicy weszła piękna jak anioł białogłowa. Koniec, Gorczyn.

* * *

Panna anielskiej urody, na której widok Gorczyn osłupiał, ma na imię Monika, mieszka na Przyrynku i prowadzi żywot swawolny. Wszyscy ją znają w Warszawie.

Weszła z szelestem spódnic jedwabnych, z zapachem ambry wschodniej i pobrzękiwaniem korali. Rozejrzawszy się wkoło, pozdrowiła nas grzecznymi słowy.

---

[1] Ojczyzno — z łac.

— Chciałabym kupić — rzekła — „Antypasty małżeńskie", bo o ich ucieszności wiele słyszałam.

Podałem Monice żądaną książkę, podsunąłem też kilka innych, by sobie dobrać mogła. Zasiadła w głębokim krześle pod oknem i z uwagą zaczęła przeglądać „Antypasty". Spytała o cenę i czy się szczęśliwie kończy historia z królewną Banialuką.

Zapewniłem, że kończy się gładko. Przez ten czas Gorczyn, nabrawszy śmiałości, rozkręcił piórnik, co mu u pasa zwisał, wytrząsnął na pulpit kredki, wybrał sepiową, zastrugał zręcznie i spoglądając na Monikę, zaczął rysować.

Z ciekawością patrzyłem, jak na papierze zjawił się kontur niewieściej głowy widziany z boku, pukle włosów, potem czepeczek ozdobiony paciorkami.

Monika też zauważyła, że Gorczyn rysuje. Podniosła się z krzesła i spojrzała na pulpit.

— Waść robisz moją podobiznę? Wnoszę z tego, żem ci się spodobała.

— Zaiste, waćpanno, na twój widok zachwyciły się oczy moje. Ale to, co robię, nie dla własnej robię uciechy.

I Gorczyn dodał z zapałem:

— Są na świecie substancje trwalsze niźli papier. Chciałbym, waćpanno, anielską twą urodę na płótnie olejem wymalować, dorobić skrzydła i jako anioła na ścianie cię zawiesić.

— Jako anioła? Przebóg, pokusa niezwykła. Gdzież byś waćpan obraz zawiesił?

— W klasztorze na Piwnej.

Monika parsknęła śmiechem.

— Dla braciszków zakonnych — rzekła — byłby to widok gorszący, boć przecie tamtejszy przeor zgromił mnie raz w czasie kazania, żem się zjawiła w ich kościele z barwiczką na licach.

Przyjrzawszy się własnej podobiźnie, dodała:

— Tak, przyznaję, żem niebrzydka. Chcesz waść robić ze mnie anioła, rób. Zaszczyt mi to przyniesie.

Gorczyn wyjaśnił, że anielska postać jest już gotowa, skrzydła też, jedynie głowy brak. Pragnąłby namalować Monikę z rozpuszczonymi włosami, które, jak się domyśla, posiadają cudny złocisty odcień.

— Przyjdź waćpan do mnie, na Przyrynek — odrzekła mu. — Okien w izbie mam dwa i światła tam dość. Rozpuszczę włosy, jak sobie będziesz życzył.

Gorczyn podziękował zapewniając, że w ciągu kilku dni uwinie się z robotą. Do czego będzie musiał przenieść ramę z płótnem i sprzęty malarskie z klasztoru na jej kwaterę.

Po wyjściu Moniki uradowany Gorczyn zrobił uwagę, że letkawiczki życzliwe są dla ludzi muzom hołdującym. Poeta, piktor czy muzyk jest dla kurdyżanki jak gdyby przyrodnim bratem.

* * *

Wtorek, na św. Zenona. Jutro drugi tydzień mija, odkąd przerwano rozmowy z Moskalami, a tajemniczy trębacz, który tyle wrzawy narobił, jeszcze się nie znalazł.

Szukali go pisarczykowie z kancelarii królewskiej. Karta po karcie wszystkie Gorczyna książki przejrzeli i wreszcie podpisali zeznanie, że na trębacza w nich nie natrafili. Zaznaczyli przy tym, że w jednej pojawia się wprawdzie wzmianka o trębaczu, ale mowa tam tylko o patriarsze Filarecie, dziadzie carskim[1], nazwanym „trębaczem przyszłej chwały". Czyżby się o to Moskwa obraziła?

Tak czy owak, Gorczyn z obrazą cara nie miał nic wspólnego. Najwidoczniej tłumacze poselstwa coś pokręcili.

Powiedział imć Libicki, że skoro się Puszkin odezwie, zaraz mu kanclerz wytknie błąd. Niechże się tłumaczy i niech przeprosi Gorczyna za obsypanie stekiem obelżywych słów.

Na razie z obu stron panuje milczenie. Moskale sprzedali dużo skórek sobolich, co przynosi uszczerbek dla gospodarki polskiej. Wiadomości ze wschodnich województw, mówił Libicki, są nadal złe. Rotmistrz Okoń jeszcze nie wrócił od Jaremy.

---

[1] O Fiodorze Nikiticzu (1553–1633), piastującym od 1619 r. godność patriarchy Moskwy pod imieniem Filareta — ojcu Michała, pierwszego cara z dynastii Romanowów.

*
* *

Gorczyn. Mojej liczby z czterech znaków złożonej nigdy tu nie wymienię. Radość, jaką miałem z jej znalezienia, była tak wielka, że czemu by i inni nie mieli tej radości skosztować? Powtarzam: dziel przez co chcesz, zawsze dostaniesz ostatek o jedną jedność mniejszy. Skończyłem, Gorczyn.

XI. PRZERWA W ROKOWANIACH

Żemczug nie zwrócił Adamandemu zegarka. Czekałem do późnych godzin, czekał i Adamandy.

Dziś rano zawiadomiłem o tym listami panów Andrzeja Morsztyna i porucznika Zaćwilichowskiego, przypominając, że przecie wszyscy trzej ponosimy wspólną odpowiedzialność. Mogliśmy zapobiec zdarzeniu, a nie ręczyć za cudze słowo.

*
* *

Tu Gorczyn. Poszedłem na Przyrynek. Zastałem Monikę w łóżku, choć już nie spała. Musiałem czekać w kuchni, póki się nie ogarnie. Kuchenna starucha, podająca się za jej matkę, chciała coś ode mnie wyłudzić, alem wykpił się obietnicą, że innym razem dostanie.

Światło tam jest dobre od rana do południa. Żasadziłem Monikę z boku od wnęki okiennej, z rozplecionymi włosami, jak na obrazach mistrzów włoskich, którzy aniołów malują. Robota szła mi raźno, gadaliśmy przez cały czas. Monika mówiła, że w klasztorze na Piwnej popasają czasem młodzi szlachcice przyjezdni, jej gaszkowie.

— Toż będzie śmiech — rzekła — kiedy mnie tam ujrzą jako anioła ze skrzydłami!

Tak się cieszy, że w kółko o tym gada. Koniec, Gorczyn.

* * *

Morsztyn i Zaćwilichowski zjawili się razem, zaraz po obiedzie. Wzburzeni, zgodnie oznajmili:

— Nasza wina, nie ma co ukrywać. Pójdziemy na Kałęczyn i odbierzemy zegarek.

Pan Piotr zgodził się dopilnować książnicy. Ponieważ pogoda była jak marzenie, wyruszyliśmy pieszo. Przed wyjściem za mury miasta wstąpiliśmy do bursy jezuickiej po Adamandego. Ten, widząc nas, zawstydził się i zaczął przepraszać za kłopot.

— To my cię przepraszamy, mości kawalerze — rzekł pan Andrzej.

I poszliśmy we czwórkę. Zdaje się, że w poselskim dworcu zostaliśmy wzięci za wysłanników kanclerza, bo ruch się zrobił na nasz widok. Wprowadzeni do izby zasłanej kobiercami, nie czekaliśmy na posła nawet pięciu minut. Wszedł poprzedzany przez Gawryłę Leontjewa, który ławki rozstawił, a za posłem weszli: jego bratanek Stiopka, bojarzyn Karawan-Warłaamow i bojarzyn Fustow; na niego to inni bojarzynowie wołają Paszołwońskij.

— Proszum bardzo... Sadities, panowie... Proszum bardzo — powtarzał Puszkin.

Wydawał się wyraźnie uradowany. Gładził brodę i wyczekująco patrzył nam w oczy. Kiedy pan Andrzej zabrał głos i zaczął się skarżyć na postępowanie Żemczuga, twarz posła nagle zesztywniała, zrobiła się zimna i nieprzyjazna.

— Da wy kto? — spytał. — Tak znaczyt, wy nie iz Zamka?

Pan Andrzej odpowiedział, że przychodzimy w drażliwej sprawie z tym oto młodzieńcem, Adamandym Kochańskim, któremu bojarzyn Żemczug przed dwoma dniami zabrał zegarek i nie oddał.

— Jerunda! — wrzasnął Puszkin. — Da kak że tak, zabrał i nie oddał? Znaczyt ograbił, a?

— Gorzej niż ograbił — rzekł porucznik Zaćwilichowski — bo dał słowo honoru, że zwróci i nie dotrzymał słowa.

— Komuż on dał to słowo?

— Mnie — bąknął Adamandy.

— Ach ty, durak! Tak po co ty uwierzył? Ot tobie i nauka, żeby ty nie był głupi. Na drugi raz trzymaj twardo swoje i nikomu nie dawaj, ot co.

Puszkin wstał, pokazując, że posłuchanie skończone.

— Za pozwoleniem, panie pośle — odezwał się porucznik.

— Nu, cóż tam?

— Proszę zważyć, że wniesiemy skargę na Żemczuga, skargę o kradzież zegarka. Jest nas trzech świadków i każdy...

Puszkin zamachał rękami, jakby się opędzając od chmury os kąśliwych. Wybiegł do sąsiedniej izby. Usłyszeliśmy po chwili gniewliwą rozmowę, jakieś hałasy, tupot nóg i nawoływania na dziedzińcu:

— Żemczug! Ehej, Żemczug!

Za ścianą ktoś przewrócił stołek i znów rozległ się tupot nóg, potem gwałtowna sprzeczka. Dawało się odróżnić głosy. Żemczug z czegoś się tłumaczył, a Puszkin powtarzał:

— Bałwan ty! Projdocha[1], ot co!

Drzwi się nagle otworzyły z łoskotem i wpadł Żemczug, jak gdyby pchnięty z tamtej strony. Adamandy skulił się ze strachu i przywarł do mnie.

Staliśmy tak we czterech naprzeciw Żemczuga czekając, co dalej nastąpi. A on tylko patrzył na nas, wargami ruszał i żadnego nie wydawał głosu. Wreszcie, przełknąwszy ślinę, wybąkał:

— Winowat, panowie, wot wam zygaryk...

Podał go Adamandemu na rozwartej garści i zaczął szybko mówić, jąkając się, gubiąc słowa i w kółko to samo powtarzając:

— Tak wot, panowie, wot, co się wydarzyło... Chciał ja pružynku, panowie... Wot, panowie, pružynka łopnuła[2]... Jej Bogu, panowie, prawdu goworiu... Łopnuła, panowie... Krużoczki-to pierestali tik, tik... Wot i wsio...

---

[1] Krętacz, oszust — ros.

[2] Sprężynka pękła — ros.

* * *

W Niedzielę Wielkanocną. Próżnujemy, witamy gości i sami chodzimy w odwiedziny. Ciotka wczoraj przy pieczeniu placków od wielkiego gorąca zawrotu głowy dostała. Pan Piotr przykleił jej na czole plastr aptekarski sporządzony z muszek hiszpańskich, od czego powstał dziś bąbel i ciotka wstydzi się wyjść do ludzi.

Wielkanoc w tym roku wypadła na św. Inocentego.

Rotmistrz Okoń wrócił z odpowiedzią Jaremy. Oddawszy listy kanclerzowi, poszedł spać. Mówią, że ledwo się trzymał na nogach, taki był utrudzony podróżą. Spodziewam się jego odwiedzin jutro albo pojutrze.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. W klasztorze opowiadają o nadzwyczajnym przypadku z chłopaczkiem jednym do chrztu przyniesionym. Działo się to we wsi Czerniakowie nad Wisłą, niedaleko Warszawy.

Kumowie i kumy zjechali do kościoła, rozgrzebują pieluchy, chcą wyjąć noworodka, a tam zamiast dziecka ryba leży i majta ogonem.

— Precz stąd — woła ksiądz proboszcz — wynosić się z kościoła! Ha, łotry! Rybę do chrztu przywieźli!

Zawinęli ją więc czym prędzej, zawstydzeni wracają do domu, odwijają, a tu zamiast ryby chłopaczek leży różowiutki. No cóż, napili się gorzałki i jazda do kościoła.

Wyszedł ksiądz proboszcz, odwijają pieluchy. Boże, zamiast dziecka gromnica woskowa! Ksiądz proboszcz wypędza ich, piorunuje:

— Nicponie, łotry! Świecę do chrztu przywieźli!

Wracają więc do domu, odwijają, patrzą. W pieluchach chłopaczek śpi, małe piąstki do policzków przyciska i o niczym nie wie. Pokrzepili się kumowie i kumy, siedli na wóz, pojechali.

Ksiądz proboszcz nie chce już o niczym słyszeć, wypędza i karą boską grozi. Oni się zaklinają, że w pieluchach jest dziecko.

Odwinęli, rety! Zamiast dziecka bochen świeżego chleba, jeszcze ciepły.

— Łotry — krzyczy proboszcz — okpidusze, hultaje! Bodajem was więcej nie widział, precz z kościoła!

Zakrystian, co trzymał sól i kropidło, jak gdyby w natchnieniu jakimś niepojętym umaczał kropidełko w wodzie święconej, przeżegnał się i chlust po pieluchach.

Bochenek wrzasnął, podskoczył i w tejże chwili na oczach licznych świadków w chłopaczka się przemienił.

— Wola boska! — zawołał proboszcz. I już bez żadnej straty czasu ochrzcił chłopaczka. Dał mu na imię Ignacy.

Powtórzyłem, co słyszałem. Nie moja rzecz tłumaczyć. Dodam jeno, że braciszkowie klasztorni różne temu przypisują znaczenie. Jedni mówią, że niespodziewane w pieluchach przemiany wróżą na ten rok wszelakich ryb obfitość, na rok przyszły miodu bogate zbiory i na rok trzeci wielki urodzaj zbóż. Inni znów dowodzą, że żadnej wróżby nie ma. Zwyczajnie, kumy i kumowie byli pijani i zamiast dziecka rybę, gromnicę, to znów bochenek chleba przez pomylenie zawijali i do księdza jeździli.

Mnie tam nic do tego. Niech się teologowie troszczą. Tu koniec, Gorczyn.

* * *

W drugie święto Wielkanocy. Dziś wczesnym rankiem przyszedł do książnicy Wańka Tarapajew i widząc drzwi zamknięte, długo kołatał. Nic nie wiedział o naszych świętach i dziwił się, że wypadają inaczej niż u nich.

Tarapajew przyniósł trzy deseczki, a na każdej była nawinięta tkanina jedwabna niespotykanej piękności, lśniąca, jaskrawa, w cudnym kolorze. Jedna cygrynowa jak morska toń na obrazach, druga złocista jak słońce, trzecia jak płatek róży centyfolią zwanej.

Oznajmił mi, że to od Żemczuga dla przebłagania Adamandego za zepsowany zegarek. Jedwab pochodzi z krainy Kitaj i jest najdroższy ze wszystkich jedwabi. Każdego rodzaju arszynów siedem i pół, co odpowiada dziewięciu łokciom warszawskim.

Prosił, bym materiał zaraz sprawdził i wystawił certyfikat dla pokazania Żemczugowi.

Wezwałem ciotkę Elżbietę. Przemierzyliśmy jedwab, miara okazała się rzetelna. Wańka żałował, że się nie może zobaczyć z Adamandym, bo czasu mało ma, musi wracać.

Spytałem go, jak się u nich odbywa czytanie polskich książek, kto znalazł trębacza i gdzie. Odpowiedział, że czytaniem zajmowali się we trójkę: Gawryła Leontjew jako najważniejszy, potem on, Tarapajew i na dodatek bojarzyn Łom-Połamanow, bo nauczył się trochę czytać i mówić po polsku od panny, co na Przyrynku mieszka.

Spytałem, który z nich znalazł trębacza. Odpowiedział, że Łom-Połamanow.

No, myślę sobie, to już coś niecoś wiemy! Pytam więc dalej, czy aby Łom-Połamanow czego nie poplątał, bo ja i wielu innych czytało książki Gorczyna i nikt na trębacza nie trafił.

— Bardzo być może — powiada Wańka — że coś poplątał. Dziwiłbym się nawet, gdyby inaczej było, bo Połamanow często pijany chodzi i owe książki po pijanemu czytał.

Spytałem na zakończenie, jakie jest imię panny, u której Łom-Połamanow bywa i uczy się mówić po polsku.

— Monika — odrzekł Tarapajew.

Uważaj tedy, Gorczynie, by ci czego nie połamano.

* * *

Gorczyn. Nic mi nie połamią, bo dumny bojarzyn Łom-Połamanow wie o malowaniu anioła, choć mnie jeszcze nie widział. Podobieństwo już uchwyciłem, za co zostałem przez Monikę dziś rano ucałowany z uciechy. Rad jestem z siebie, bom nawet nie wiedział, że mam takie talenta.

Czy nikt jeszcze nie odgadł mojej liczby? Koniec, Gorczyn.

* * *

A przestańże, Gorczynie, tą liczbą ludzi drażnić! Pokazywałem zadanie temu i owemu, zapisali i teraz głowy sobie trudzą. Jeżeli kto zgadnie, dowiesz się o tym bez zwlekania.

* * *

Nie podoba mi się chłopak z wiewiórką, ma zły charakter. Primo: hardy jest; secundo: kłamie; tertio: z drukarzami zadziera; quarto: nie usłuchał mnie i w Wielki Piątek nie zamknął wiewiórki, tylko ją przyniósł do drukarni.

Znalazłszy się w nowym otoczeniu, wiewiórka zaczęła skakać po sprzętach, do każdej szpary zaglądała i wreszcie, ubabrawszy ogon w farbie typograficznej, poplamiła schnące druki.

Skrzyczałem młokosa i kazałem wynieść wiewiórkę, za co dąsał się i mruczał.

* * *

W oknie moim odbywają się ptasie misteria. Jaskólica siedzi na jajach, a jaskół lata jak oszalały, łowiąc dla niej owadzie jadło.

* * *

Przed zmierzchem odwiedził książnicę rotmistrz Okoń, wypoczęty i syty. Mówił, że po wręczeniu kanclerzowi odpowiedzi Jaremy poszedł na swoją kwaterę i legł jak długi, butów nie zdejmując; spał godzin kilkanaście. Drogę z Łukowa do Warszawy odbył w jeden dzień, bez wytchnienia.

O Jaremie powiada, że go zastał we wsi Szkło, pięć mil od Lwowa, gdzie znajduje się studnia ze zgniłą wodą. Za poradą swojego medyka kąpie się wojewoda w tej wodzie, do czego przywiózł kadź owalnego kształtu przez lwowskich bednarzy sporządzoną, tak wielką, że można się w niej wyciągnąć, leżąc po szyję zanurzonym. Medyk obiecuje, że od tych kąpiółek Jarema zdrowie odzyska, a i rana od kuli arkebuzowej się zgoi.

We wsi Szkło nie ma gdzie mieszkać, bo dwór przez Kozaków zgorzał. Ustawiono więc kilkanaście namiotów, największy dla Jaremy, pozostałe dla świty i gości licznie tam zjeżdżających. Osobny namiot dano doktorowi, uczonemu Żydowinowi, który przed gniewem inkwizycji hiszpańskiej do Polski umknął.

Woda w tamtejszej studni cuchnie zgniłymi jajami i tym się odznacza, że w jej bliskości pieniądz czy inna rzecz ze srebra sporządzona czernieje.

Ogrzewanie wody przed kąpielą Jaremy odbywa się pod gołym niebem, w trzydziestu garnkach glinianych, obłożonych chrustem i szczapami smolnego drzewa. Hajdukowie chwytają potem te gary na widły dwuzębne i leją ukrop do kadzi ustawionej w namiocie. Tak kazał hiszpański medyk, dowodząc że od miedzianych naczyń woda się korumpuje[1] i traci zdolność leczniczą.

Jarema przyjął rotmistrza łaskawie, zadawał różne polityczne pytania i nie ukrywał niechęci do króla jegomości, nazywając go niedołęgą. Kanclerza koronnego chwalił, o litewskim mówił, że się nadaje jedynie do klepania pacierzy*. Nie zaprzeczał, że w tytułach carskich mógł się pomylić, a skrótu „et caetera" użył zaś bez nijakiej myśli dwuznacznej, podobnie jak to czyni w pismach do króla.

— O których popów carowi chodzi — mówił Jarema — nie próbuję nawet zgadnąć, bo nazłaziło się tego co niemiara. Przechodzą granicę różne kudłate popy i monachy, takoż lud wiejski i miejski, nawet bojarskie syny. Robię, co mogę, żeby dać im przytułek. Oczywista żadnego z nich carowi nie wydam, bobym sobie zamknął najlepsze źródło wiadomości.

Rotmistrz Okoń przywiózł od Jaremy ważne nowiny o Tatarach, że się skłaniają na naszą stronę. Pono uroczyste poselstwo krymskie ma przybyć do Warszawy.

* * *

Tu pisze Gorczyn. W relacji pana rotmistrza z pobytu u wojewody zaciekawiły mnie dwie rzeczy: opowiadanie o studni cuchnącej zgniłymi jajami i opowiadanie o gromadach popów moskiewskich zbiegłych do Polski.

---

[1] Psuje się, zmienia na gorsze — z łac.

* Albrycht Radziwiłł, stronnik jezuitów, był autorem kilku książek polemicznych skierowanych przeciwko innowiercom.

Omówię jedno i drugie.

Dowiedzcież się więc, że tuż pod Krakowem znajdziecie taką cuchnącą wodę w Krzeszowicach, ale nie studzienną, jeno zdrojową. Bije tam źródełko małe w gęstym lesie bukowym, a tyle smrodliwe, że wokół żaden borsuk nory nie wykopie ani żaden ptak gniazda nie założy, nawet dudek.

Zaprowadził mnie do tego zdroju pastuch jeden krzeszowicki, za co musiałem mu zapłacić, bo się ociągał i mówił, że tamtejsze wyziewy są jadowite, złą gorączkę sprowadzają.

Kłamał pastuch, bom przesiedział nad zdrojem godzinę albo i dwie, najmniejszej na zdrowiu szkody nie ponosząc.

Cuchnąca woda wypływa spod kamienia i tworzy mały strumyk. Wszystko w niej wygląda jak martwe, trawy zielonej dźbełka nie znajdziesz, nie dojrzysz nawet żaby czy kijanki. Z czego wnoszę, że dla żywego drobiazgu woda jest trująca, ale nie dla człowieka, boć przecie człowiek jej nie pije. Co do waporów, potwierdzam, że szkaradne, i nic ponadto złego o nich nie powiem, a opowiadanie pastucha uważam za pusty wymysł.

Zdaje mi się, że doktorowie krakowscy dobrze by zrobili, zająwszy się leśnym zdroikiem w Krzeszowicach, bo skoro martwa woda studzienna Jaremie pomoc przynosi, tym skuteczniejsza powinna być woda żywa, źródlana, co wytryska z czeluści ziemnych i spływa, a nie gnije w wykopanym przez ludzi dole.

Teraz o zbiegłych popach. Dowiedziałem się ważnych rzeczy od księdza bazyliańskiego[1], który do Warszawy przyjechał i w naszym mieszka klasztorze. Mówił mi ten ksiądz, że w carstwie moskiewskim, w tamecznych cerkwiach i monasterach źle się dzieje, prawosławni biskupi rzucają klątwy jeden na drugiego, oskarżając się wzajem o herezję.

Patriarcha Nikon z Niżniego Nowgorodu srogość nadzwyczajną okazał, tłumiąc bunt w monasterze; mnisi chcieli go zabić. Poparty przez cara, Nikon napisał jakąś gramotę z przykazaniami cerkiewnymi i wszędzie ją rozesłał. Jedni popi zgodzili się

---

[1] Obrządku greckokatolickiego.

na nią, inni znów nie i nastąpił rozkoł, czyli rozpad na różne sekty, wskutek czego w moskiewskim carstwie obrzędów teraz wielkie pomieszanie.

Spotkasz popów, spotkasz monachów, co się dwoma palcami żegnają i wierzą, że przez to będą zbawieni; spotkasz żegnających się trzema i ci też wierzą, a tamtych uznają za potępionych. Jedni imię Jezus wypowiadają Isus, drudzy Iisus, jedni w procesjach idą za słońcem, drudzy przeciw słońcu. I taka u tych czerńców zawziętość, taki upór, że raczej porąbać się dadzą, niźli mieliby się przeżegnać inną liczbą palców albo inaczej wymówić imię Jezus.

Stąd prześladowania, bunty, zamachy, cerkwi zamykanie, popów wypędzanie i peregrynacje monachów z miejsca na miejsce.

W oddalonych monasterach wybuchają nadzwyczajne herezje, spośród których największej wrzawy narobiła nauka archimandryty[1] Spasa z pustelni Białozierskiej. Kapłan ów głosił, że diabli i diablice, podobnie jak ludzie, płodzą dzieci, stąd diabląt z każdym rokiem przybywa i trzeba im wynajdywać zajęcie, ludziom zaś coraz trudniej ustrzec się grzechu. W dniu, kiedy ilość diabłów w piekle i na ziemi stanie się równa ludziom, nastąpi koniec świata. Dzień ten, jak twierdzą mnichy białozierskie, jest już bliski, co archimandryta ściśle obliczył. Zamierzał ogłosić fatalną nowinę, ale nie zdążył, bo go przedtem z rozkazania carskiego schwytano i zamknięto w ciemnicy o chlebie i wodzie.

Koniec dysertacji o popach i diabłach, Gorczyn.

*
* *

Na św. Jerzy. Spać mi się chce, ciotka Elżbieta i pan Piotr też niewyspani, bo oto, co zaszło.

Jasio, niewinny sierota bez ojca i matki, zdobył skądsiś garść kozłkowego ziela[2] i rozsypał je na przymurzu pod oknami naszego domu.

---

[1] Przełożonego kilku klasztorów na danym terenie.

[2] Kozłka lekarskiego, podstawowego składnika waleriany.

Od czego w nocy wrzask był, pozłaziły się kocury obrzydliwe i wyprawiały harce. Na nic się zdało lanie wodą; odpędzone, w chwilę potem z jeszcze głośniejszym miauczeniem i piskiem wracały.

Dopiero pies pewien bardzo dzielny, którego ciotka na pomoc wezwała, szczekaniem koty odpędził.

Wzięty przeze mnie na spytki, a działo się wszystko o północku, przyznał się Jasio do przewiny i oświadczył, że żadnym sierotą nie jest.

— Uciekłeś ze szkoły?

— Uciekłem — odpowiada zuchwale.

— Skąd uciekłeś?

— Z Rawy, od ojców jezuitów.

— No to wracaj do Rawy.

Ciotka, choć rozczarowana do chłopaka, dała mu wiwendy na drogę, dała świeże onuczki i jeszcze go przeżegnała znakiem Krzyża Świętego.

Krótko gościł, niepotrzebnie kłamał i niepotrzebnie broił. Zabrał wiewiórkę i poszedł.

*
* *

Pisze Gorczyn. W celi mojej kwateruje teraz i śpi na sąsiednim łożu szlachcic bezrolny, nadzorca zwierzyny płowej w lasach królewskich za Narwią. Opowiadają o nim, że jest niespełna rozumu, ale ja w to nie wierzę.

Rzekłbyś, że mowy ludzkiej zapomniał, bo nad każdym słowem zastanawia się długo. I nagle, w samym środku gawędy, ni z tego, ni z owego zaczyna świergotać niby ptaszątko jakie.

Kiedy wczoraj, kładąc się spać i odmówiwszy pacierze, zagwizdał jak słowik, natarłem na niego ostro i zażądałem eksplikacji. Bardzo się zawstydził i obiecywał poprawę, a ja swoje, napieram dalej, prawdy się domagam.

Wyznał wreszcie ten dziwny człowiek, że już jedenaście lat siedzi samotnie w boru, gdzie sobie chatę sklecił. Z ludźmi widuje się rzadko. Na drzewach wokół chaty pozawieszał domki dla

ptaków, w pniach nawydrążał dziupli, założył karmniki z ziarnem, umieścił wedle studni koryto, żeby ptacy mogli się kąpać.

I tak żyje szczęśliwie w ptasim raju, a dokoła fruwają sikory różne, dzwońce, gąsiorki, drozdy. Dzięcioły kują, kowaliki pełzają głową na dół, czasem nadleci wilga, czasem strzyżyk, to mysikrólik, to znów zięba. Przez te lata ponauczał się ptasich głosów, ćwierka jak one, nawet myśli jak one i zrozumienie ma dla nich. Dobrze mu tak i nie chce żadnej odmiany.

Na moją prośbę powiedział, jaka jest denominacja ważniejszych ptasich głosów, co zapisałem rysikiem, a teraz w abecadłowy porządek wprawiam: bąk buczy, bocian klekota, cietrzew bulgocze, czajka stęka, drozd lamentuje, dudek huka, dzięcioł kuje, głuszec syka, jarząbek pogwizduje, kszyk pika, kukułka kuka, kuropatwa cięgoci, nietoperz piszczy, orzeł śwista, przepiórka przyzywa, puszczyk straszy, skowronek dzięddzieje, słonka gwiżdże, słowik wycina, sokół kwili, sójka wrzeszczy, sowa huczy, sroka skrzeczy, szczygieł strzyże, trznadel cenka, wrona kracze, żaba kumka, żuraw kruma.

To powiedziawszy, szlachcic przeżegnał się, zawołał dwakroć: „Kuku, kuku!", naciągnął derę na głowę i zasnął. Koniec o ptakach, Gorczyn.

*
* *

W dzień NMP Dobrej Rady. Nie chce mi się pisać i coraz większe luki powstają w memorialiach. Nic się nie dzieje ważnego, a pan Piotr chciał przecie, bym głównie polityczne zapisywał nowiny. Poselstwo moskiewskie jakby drzemało. Zachodzę w głowę, co postanowi kanclerz po przeczytaniu listów Jaremy. Zapowiedziany przez Libickiego trębacz №2 jeszcze się nie pojawił.

*
* *

Adamandy darował jeden z jedwabi, ten jak róża, księżom jezuitom na ornat. Mówi, że inaczej nie mógł postąpić, bo twardo na niego nastawali. Drugi jedwab, cygrynowy, posłał swojej matce do Dobrzynia, a trzeci chciałby sprzedać Ormianom, żeby mieć pieniądze na sporządzanie zegarków. Tu wtrąciła się ciotka:

— Już ty sam, mości Adamandy, sprzedażą się nie zajmuj, bo cię okpią. Pozwól, że ja się z tobą wybiorę.

Postanowili pójść do Ormianów w przyszły piątek.

*
* *

Ręką moją, Gorczyna. Dziś w południe, wychodząc od Moniki, natknąłem się w ciemnej sieni na Łom-Połamanowa, który kolanem do ściany mnie przyparł, wołając:

— Ty kto? Zaczem tam chodił?

Ze strachu wzywać zacząłem pomocy. Na krzyk wybiegła Monika i odciągnęła Moskala tłumacząc, że przecie jestem Gorczyn, malarzyna mizerny, co jej podobiznę maluje.

Połamanow zaraz się udobruchał. Spytał potem, czy to ja napisałem książkę o królu Władysławie. Mówił też, że Puszkin jest na mnie okrutnie zły za trębacza.

Chciałem wyłożyć, że trębacza ktoś inny wymyślił, ale Monika przerwała rozmowę, podprowadziła nas do obrazu, a Połamanow zaczął się cieszyć z jej anielskiej urody. Tu kończę, Gorczyn.

*
* *

W dzień św. Zyty. Potwierdza się wiadomość o pośle tatarskim, że z Krymu w sto koni wyrusza do Warszawy. Na razie o tym cicho, bo Zamek nie chce nowiny rozgłaszać, póki się nie wyjaśni cel owego poselstwa.

*
* *

Gorczyn. Dużo w ostatnich czasach gadałem z braciszkami w klasztorze, wypytując o różnych świętych pańskich, przed czym który z nich chroni i w jakich wspomaga przypadkach. Com się dowiedział, zapisuję, a kto by chciał odpis zrobić, niech wszystko sam sobie w porządek abecadłowy wprawi, wedle imion albo skutków, bo ja się lenię.

Sprawy świętych patronów są takie: Szczepan nad zdrowiem końskim czuwa; Wandalin pilnuje owiec; Pelagiusz troska się o woły; Lenart o krowy (z cielętami); Franciszkowi z Asyżu mili

wszyscy ptacy; Gaweł kokoszym jest patronem; Bartłomiej pszczołom sprzyja; Mikołaj flisakom drogę wskazuje; Kryspin szewcom godziwe zarobki przynosi, krawcom znów Gudman, a tkaczom Seweryn; młynarskim świętym Marcin (w jego dzień nie miel, bo ci koło trzaśnie); Ostafiej sprzyja myśliwym z ogary; Jerzy nad żołnierzami czuwa; Andrzej dziewosłębom rozwagi dodaje; Apolonia ból zębów leczy; Anastazy ból głowy usuwa; Petronela gorączkę chłodzi; Roch od zaraźliwego powietrza broni; Wit wielką chorobę[1] poskramia; Hiob wrzody wszelakie gubi; Teodolus grom na błyskawicę zamienia; Wawrzyniec i Agata od ognia strzegą; Krzysztof w podróży morskiej czuwa; Gertruda odpędza myszy.

Do tego ksiądz przeor dodał, że we Włoszech całkiem inne jest świętych przeznaczenie. Tam na przykład w czasie zarazy świętego Sebastiana wzywają. Wizerunki św. Krzysztofa spotkasz ryte na tarczach i na namiotach malowane, bo to żołnierski święty. Od chorób skórnych, z wyjątkiem świerzby, chroni św. Antoni z Tebaidy. Przy świerzbie starego Hioba wzywają. A strzeż się pomyłek, boć znów św. Antoni z Padwy nie trudni się leczeniem, jeno odnajdywaniem zagubionych pamiątek i pieniędzy. Koniec, Gorczyn.

* * *

W dzień św. Filipa. Dzisiejszy zapisek należałoby zacząć czerwoną lubryką i ozdobnym inicjałem[2], bo rzecz się zdarzyła nadzwyczajna.

Z zamkowej bramy trębacz wyjechał!

Nie jakiś urojony, przez autorów zmyślony i przez Moskali poplątany, ale żywy, na gniadym koniu.

---

[1] Atak padaczki, konwulsje.

[2] Farbą wykonaną z ochry, gatunku rudy żelaznej oraz wyróżnioną wielkością i zdobieniami pierwszą literą tekstu.

Wyjechał z bramy zamkowej, skręcił w ulicę Świętojańską, zatrzymał się na Rynku i tam, na apel zatrąbiwszy, kanclerską proklamację odczytał.

Nikt poczciwy, brzmiało pouczenie kanclerza, nikt poczciwy nie powinien skórek sobolich u Moskali kupować, bowiem dzieje się to z krzywdą ojczyzny naszej, ubóstwo na kraj sprowadza i pieniądz rzadkim czyni. Wzywa więc kanclerz mieszkańców Warszawy tudzież przyjezdnych, aby omijali z dala dwór na Kałęczynie i żadnych targów nie przedsiębrali z Moskwą, co ma obowiązywać aż do odwołania.

Po przeczytaniu proklamacji na Rynku trębacz pojechał na Nowe Miasto, potem do innych dzielnic i wszędzie ogłosił wolę kanclerską. Gromada ludu biegła za nim.

* * *

Tu Gorczyn. I ja go widziałem, słyszałem też jak trąbi. Koniec, Gorczyn.

* * *

Zapisuję przed pójściem spać, że trębacz № 2 jak gdyby tchnął nowe życie w Warszawę. Na Rynku ruch był prawie do północy; ludzie chodzili po kilku, wziąwszy się pod ramiona i zapamiętale dyskurowali o proklamacji kanclerza. Wszyscy są zgodni, że tak należało postąpić.

XII. PO OTRĄBIENIU

W dwa dni później. Odmieniło się jak nożem uciął. Precz pierzchły niepokoje, ospałość i nuda. W ludzi otucha wstąpiła, choć właściwie nic się nie zdarzyło, tyle tylko że odczytano proklamację kanclerską. Miał więc słuszność, jak zwykle, stary Libicki.

W książnicy naszej ruch dziś i goście są chętni do gadania. Przyniosłem dla nich ławę z kuchni, a Gorczyn wlazł na drabinkę od książek i siedzi pod pułapem, skąd prawi niby jaki profesor akademii. Ja stanąłem przy pulpicie i zapisuję abrewiaturą wszystko, co mi się wyda ciekawsze.

Mamy trzech nowych gości. Pierwszy to pan Wespazjan Kochowski, sandomierzanin, który wyborne tworzy wiersze, młody i dorodny kawaler. Rozmiłowała się w nim kasztelanka z Pieskowej Skały, do Rzymu po rozwód chciała jechać, ale jej bracia przeszkodzili.

Drugi to pan Wacław Potocki, też wierszopis; ten trefne fraszki układa (choć mówią o nim, że arianin). Przyjechał z Krakowa razem z panem Kochowskim, jego końmi, bo własnych nie ma i na podróż go nie stać. Obaj chcieliby wstąpić do stanu rycerskiego, śni im się wojenka.

Trzeci gość jest malarz, imć pan Jan Proszowski. Wezwano go z Krakowa, żeby malował konterfekty króla i królowej. Był już na Zamku, rozmawiał z królewską parą i teraz chodzi markotny,

o malowaniu rozmyśla, zobaczył bowiem na własne oczy twarz króla, dziobatą jak gospodarskie rzeszoto.

Kraków więc dziś górą w oficynie, bo i Gorczyn z Krakowa, i ja z Krakowa, a pan Piotr z krakowianką żonaty.

Rotmistrz Okoń zdał przed nami relację ze spotkania z wojewodą, ale materię polityczną przemilczał i ani słowem nie wspomniał o treści listów. Mówił, że Jarema wciąż jeszcze utyka na nogę po kuli spod Zbaraża, w rozmowie okazuje się bystry, cudze myśli w lot zgaduje, nie waha się nigdy i nie cofa wypowiedzianych słów.

Pan Andrzej wtrącił, że pewnej personie na Zamku przydałyby się takie cnoty, na co mu odpowiedziano: „Słusznie, słusznie".

Pan Elert pytał, jak poskutkowało otrąbienie o skórkach sobolich. Libicki odrzekł:

— Sprzedaż skórek ustała, a wiemy o tym od ludzi do pilnowania wysłanych. Zważcież, panowie, że prawnego zakazu nie ma, bo go nie może być. My nie zabraniamy, my tylko wzywamy do zaniechania kupna.

Kochowski spytał, w czyim to się dzieje imieniu.

Libicki: — Proklamację otrąbiono w imieniu kanclerza, o królu nie mówiono.

Kochowski: — Z tego wynika, że gdybym się uparł, to mógłbym pójść i skórkę sobie kupić.

Libicki: — A no, zechciej waść tylko iść. Tam dragoni stoją.

Kochowski: — Toż to gwałt i bezprawie.

Libicki: — Byłby gwałt, gdyby dragoni za palisadę przeszli.

Morsztyn: — Słyszałem od białogłowy zacnej i prawdomównej, że Moskale, choć niepiśmienni, z nadzwyczajną łatwością pieniądze liczą, do czego służy im ramka z pręcikami, po których się ślizgają kulki drewniane.

Elert: — I waść wierzysz!

Morsztyn: — Powtarzam, com słyszał. Robiąc dodawanie, Moskal kulki palcem popycha w prawo albo lewo, a one sumę wskazują.

Elert: — E, bajki!

Gorczyn: — A jednak prawda. Mówił mi o tym franciszkanin jeden, który w dalekiej Tartarii bywał. Ramka, chińskiego będąc pochodzenia, zwie się po chińsku swan-pan.

Elert: — Jakże ona oblicza?

Gorczyn: — Nie wiem. Tamten franciszkanin też nie wiedział.

Ja się odezwałem, że mógłby nam coś powiedzieć Adamandy, bo jest matematyk.

Adamandy (*oblewając się rumieńcem*): — O ramce abakusem zwanej wspomina Herodot. Kamyki w rzędach po dziesięć, łatwe do przesuwania, same wskazują sumę bez żadnego liczenia i kłopotu.

Ktoś napomknął o przysłanych Adamandemu jedwabiach chińskich. Porucznik Zaćwilichowski rzekł:

— Zdumiewa mnie hojność Żemczuga. Myśleliśmy z panem Andrzejem, że przyjdzie do sądów się zwracać.

Dodałem, że Puszkinowi zależy widać na podtrzymaniu mniemania o bogactwie moskiewskiej nacji, stąd taka hojność.

Rozmowa przeszła na wszelaką chińszczyznę. Gorczyn z wysokości drabiny prawił:

— Na kraj ten Portugalczykowie wołają Kina, Angielczykowie Ciajna, Włosi toskańscy Czina, po arabsku mówi się Sin, po niemiecku China, po moskiewsku Kitaj, a sami Chińczycy państwu swemu co raz inne nadają imię. Naprzód zwali ojczyznę Ten, potem Cheu, później Cium, to jest piękny ogród, wreszcie Chiu-Boa, czyli śrzodek świata, i tak do dziś pozostało. Atanazy Kircher, mąż wielce uczony, pisze o Chińczykach, że liter w abecadle mają z górą trzydzieści tysięcy i od dziecka do późnej starości ich się uczą, nigdy do końca nie dobrnąwszy. Przez co nie znajdziesz tam człowieka płynnie czytającego, bo czego za młodu się nauczy, to z latami zapomni.

Wznoszą się w Chinach góry wielkie chmur sięgające, gdzie smoki się gnieżdżą i od czego smok widnieje w chińskim herbie. Na górze Tai-Pu byle w kotły uderzono, zaraz słota powstaje. W prowincji U-Kwang wyrasta góra, co rąbiących drzewo drwali pagórkami zamyka i póty ich trzyma, póki przebaczenia błaganiem i łzami nie wyproszą. W innych prowincjach znajdują się

góry różne: na kształt tygrysa, gwiazdy, dyni, to znów grzyba chwiejącego się od wiatru.

Zwierzęta chińskie są: hippotamus, tygrys, nosoróg i waka. Jest również jeleń bez rogów, zwierz głupi i nieostrożny, sam w sieci wpadający, z którego dobywają moschus, inaczej cybet, alias piżmo, a mowa o guzie jakimś koło pępka w delikatnej skóreczce szerścią obrosłym, dziwnie mocnego odoru. Kury chińskie wełnę na sobie mają...

Porucznik: — Wybacz waść, nie wierzę!

Gorczyn: — Teste[1] Kircher, powtarzam, com czytał. Może to pierze kędzierzawe na kształt wełny, nie wiem. Po zniesieniu jaja kura chińska lamentuje tak samo, jak kura chrześcijańska. Kaczki tameczne w piecach się lęgną, nie w gniazdach.

Elert: — Powiedz mi waść o śpiewie chińskim.

Gorczyn: — Wiem tylko tyle, że miauczenie kota przypomina.

Potocki: — A co jedzą?

Gorczyn: — Wszystko, czego my się brzydzimy. Ślimaki różne, szczypawki, koniki polne, psie mięso, glizdy.

Kochowski: — Tfu! Psie mięso!

Gorczyn: — Jako waść słyszysz. Za największy przysmak trzymają gniazda jaskółcze ze słoną wodą gotowane.

Morsztyn: — Tak, o tym słyszałem. Mówże waść dalej, mów.

Gorczyn: — Stół chiński suto zastawiony bywa. Miasto nożów i łyżek używają instrumencików ze srebra, drzewa drogiego albo kości słoniowej na kształt patyczków do potraw brania. Mięso wprzód w kuchni obłupują i kroją na drobne kawałeczki. Za napój służy im ziele the ukropem polane. Z owoców jest tam figa, jest frukt zwany papaja, co na czubku drzewa dojrzewa, wewnątrz mięsisty, słodki, czerwony i tak wielki, że go ledwie chłop uniesie. W prowincji Hu-Kwang-Pusu wiszą na krzewach jagody włos siwy czarnym czyniące, owoc kwej z prowincji Xenzi jedzącego do śmiechu pobudza. Ale dla mnie dziw największy to drzewko chi-sung z prowincji Kwang-Tung pogodę zwiastujące;

[1] Świadkiem — łac.

dlatego rośnie ono in usum[1] marynarzów, którzy z kolanek jego zgadują wiatrów kierunki i niezwyczajne bałwanów wzburzenie, po chińsku tai-fu.

Potocki: — A słyszałeś waść o murze chińskim?

Gorczyn: — Mur chiński długi na mil trzysta, wież w nim obronnych z kasztelami niemało, wysokość muru łokci trzydzieści, szerokość dwanaście. Materia tej fabryki mocna, bo krzemienna i tak twardo spojona, że jeśliby ćwiok w śluz jaki wlazł, to murator gardłem odpowiada[2].

Elert: — I po cóż oni wystawili ten mur?

Gorczyn: — Jako prezerwatywę[3] od tatarskich napadów.

Adamandy: — Pozwól waść, że spytam, czy Chińczycy w Boga wierzą?

Gorczyn: — W cesarstwie chińskim religie są trzy...

Potocki: — Jak w naszym królestwie!

Gorczyn: — Z których najważniejsza od Konfucjusza filozofa ustanowiona została, druga zwie się omyto albo sie-kwa, vulgo[4] amida, po japońsku xaka, ta od indyjskich mędrców początek wzięła, trzecia zaś lan-zu, prostemu pospólstwu służy...

Elert: — E, co mi tam!

Morsztyn: — Nie, nie, panowie, to ciekawe. Chciałbym usłyszeć, czym się te wiary różnią.

Gorczyn: — Konfucjańską religię bakałarze wyznają, magistrowie, poeci i cesarska rodzina. W kościołach dla weneracji[5] Fo, czyli Króla Niebieskiego, świece i kadzidła palą. Druga religia uczy z Pytagorasem o metempsicosim, czyli dusz przechodzeniu z ciała w ciało. Ci mięsa nie jedzą, zwierząt nie dręczą i nie zarzynają, głowę i brodę golą. Kościoły ich pełne figur marmurowych, miedzianych, cedrowych, a często i glinianych, jeżeli parafia uboga. Trzecia religia od założyciela imię wzięła, który był Lan-zu. W żywocie macierzyńskim przez osiemdziesiąt lat przebywał i urodził się całkiem już stary, jako mędrzec. Kapłani tej nauki największą mają dewocję czartów poskramiać, głośnym wrzaskiem wypędzając demonów z chorego...

Potocki: — To samo u nas, w Małopolsce.

Morsztyn: — Za to na Mazowszu tego nie spotkać.

Elert (*z dumą*): — Lud mazowiecki zawsze pozostawał na opętanie dziwnie odporny.

Gorczyn: — Chińskie diabły...

Okoń: — Wolelibyśmy o chińskich białogłowach.

Głosy: — Tak, słusznie.

Gorczyn: — Białogłowy chińskie te za piękne są miane, które nóżek maleńkich parą pochwalić się mogą, dlatego jeno się córka urodzi, zaraz jej nogi w prasy biorą, żeby nie rosły. Zwyczaj ten, od cesarzowej Cheu pochodzący, zapobiega dam chińskich wszędobylstwu i na plotki bieganiu.

Elert: — Zacny zwyczaj.

Okoń: — A wojsko, jakież oni znają?

Gorczyn: — Żołnierz chiński tym się różni od każdego innego, że pod umbrellą[1] chodzi.

Okoń: — Żartujesz waść!

Gorczyn: — Rzetelną prawdę mówię.

Okoń: — No, a czasu wojny?

Gorczyn: — W prawej ręce pałasz, w lewej umbrellę trzyma.

Okoń (*nieufnie*): — Od słońca, czy od deszczu?

Gorczyn: — W północnych Chinach od deszczu, w południowych od słonecznej spiekoty. Widzę, że waść nie bardzo wierzysz. Czytałem o tym w księdze „Asia" portugalskiego gubernatora Barrosa.

---

[1] Na użytek — łac.

[2] Przy stawianiu ścian z ciosanych głazów miejsca łączeń (śluz oznaczał szparę, przepust, słabsze miejsce) wypełnia się małymi kamykami — ćwiekuje. Mur musiał mieć więc bardzo dokładnie dopasowane krawędzie.

[3] Zabezpieczenie, ochronę — z łac.

[4] Pospolicie, powszechnie — łac.

[5] Wielbienia, oddawania czci — z łac.

[1] Parasolem — z łac.

Okoń: — A, to wybacz, mości Gorczynie. Słucham z uwagą.

Potocki: — Jedna rzecz nie mieści mi się w głowie, te psy. Wspomniałeś waść...

Gorczyn: — I gotów jestem powtórzyć. Na dowód prawdy dodam, że pies taki ma siny jęzor, czego u innych psów nie spotkasz. Teste gubernator Barros.

W tym miejscu rozmowa się urwała, bo do książnicy wszedł obcy gość i spytał o „Antypasty". Odpowiedziałem, że już brak, wszystkie się rozeszły. Prosił o sprowadzenie z Krakowa, co wpisałem do księgi zamówień.

Późno było. Słuchacze odzywali się z uznaniem o Gorczynie i jego wiedzy przedziwnej, którą z wysokości drabiny tak szczodrobliwie rozrzucał. Dziękując, ściskali mu ręce.

* * *

W dzień św. Jana w Oleju. Nie ma żadnych wieści o Moskalach. Przed poselskim dworcem stoją dragoni i kiedy widzą, że ktoś obcy chciałby wejść, grzecznie go zawracają.

W samym dworcu cisza, jakby mak zasiał. Widać z drogi Moskali snujących się po majdanie, widać światło w oknach, ale co się u nich dzieje, co zamierzają robić, trudno zgadnąć.

* * *

Gorczyn pożegnał się ze mną i wyjechał na odpust do Piaseczna. Chciałby tam resztę „Kwiatków liliowych" sprzedać, a zostało mu już niewiele. Za trzy dni będzie z powrotem.

* * *

Niedobra wieść z Zamku. Kanclerz Ossoliński zaniemógł. Stało się to nagle, bez żadnych zwiastunów nadciągającej choroby.

Spożył wczoraj wieczerzę z królem i królową, wezwał potem Libickiego i poszedł z nim do przybasztowej komnaty, gdzie pracowali godzinę, nie dłużej.

Libicki pisał na własnym stole zawalonym księgami, nie widząc, co robi kanclerz. Obcych nie było, w sieni jeno drzemał na ławie pachołek.

W tej ciszy Libicki nagle usłyszał, że kanclerz coś mamrocze. Zdziwił się, ale nie wstawał i pisał dalej. Po chwili mamrotanie stało się głośniejsze i gniewne.

Podniósł się więc Libicki i wyjrzał spoza foliałów. Kanclerz miał głowę wspartą na lewej ręce, prawą rękę wyciągnął, jak gdyby chcąc spędzić ze stołu natrętną muchę, ale się nie ruszał. Jego usta bez przerwy coś bełkotały.

Libicki stanął przed kanclerzem, nie wiedząc, co robić. A kanclerz surowym wzrokiem wskazuje na swoją rękę nieruchomą, rozpostartą na stole; w palcach trzyma zgniecione gęsie pióro.

Paraliż! Libicki wybiegł do przedsionka, głośno wzywając pomocy. Posłano po doktorów. Nadworny medyk, jak na złość, gdzieś poszedł, musiano więc sprowadzić obcych.

Przez ten czas dworzanie przenieśli kanclerza do jednej z komnat zamkowych, gdzie go położono na wygodnym łożu i porozpinano szaty, żeby swobodniej mógł oddychać. Bez przerwy mamrotał, jak gdyby dopominając się o coś, potrząsał też głową, a może głowa sama mu tak drygotała.

Pierwszy z doktorów przybiegł stary de Rabeis, a za nim inni. Stłoczyli się przy chorym.

De Rabeis, jako senior doktorskiej korporacji, objął przewodzenie i kazał jak najśpieszniej przynieść pijawek z apteki zamkowej. Kiedy je podano, wylał wodę ze słoja, wdział rękawice i nie tracąc czasu, przystawił kanclerzowi dwie pijawki za lewym uchem.

Inni doktorowie patrzyli i żaden słowa nie pisnął, choć wiemy przecie, jak bardzo są kłótliwi. Rzekli potem do Libickiego, bo ich pytał, że lepszej pomocy tu nie ma.

Po pijawkach kanclerz zasnął. Niepotrzebni lekarze rozeszli się, otrzymawszy zapłatę. Przy chorym czuwał do rana de Rabeis, a razem z nim chirurg królewski Bouchett, który się potem odnalazł.

Przed świtem kanclerz ocknął się, otworzył oczy i przemówił. Pierwsze jego słowa były: „O, Jezus Maria!". Od tej chwili gadał

coraz płynniej, coraz mniej się jąkając. W ręce odzyskał władzę, rusza palcami, ale nogę ma jeszcze bezwładną. De Rabeis zapewnia, że poprawa nastąpi rychło wraz z powrotem do sił. Kazał więc chorego poić mocnymi rosołami z kapłonów, przepisał miksturę pokrzepiającą, a dla wspomożenia drętwej nogi polecił krew puścić z żyły zwanej biskupią.

Po obfitym wykrwawieniu kanclerz poczuł się silniejszy i chciał na próbę wstać, ale de Rabeis nie zezwolił.

Wszystko, co tu zapisuję, mówił mi Libicki. Nowina spadła jak grom. Chorego kanclerza ma zastępować podkanclerzy Leszczyński.

* * *

Następnej soboty. Niebezpieczeństwo minęło. Od dzisiejszego rana kanclerz jest już w swoim pałacu pod opieką żony i córki Anny (do której pan Andrzej Morsztyn wiersze pisał, a ona zaręczyła się ze starostą Denhofem).

* * *

Pani Elżbieta ze Słuszków, wdowa po śp. Adamie Kazanowskim, i imć pan Hieronim Radziejowski dali na zapowiedzi. Z tej przyczyny różne są w mieście komeraże[1], których tu nie powtarzam.

* * *

Na podwieczerzy stało się wiadome, że w zdrowiu kanclerza nastąpiła poprawa.

* * *

Gorczyn wrócił z odpustu w Piasecznie, gdzie udało mu się sprzedać resztę „Kwiatków liliowych".

* * *

[1] Plotki — z franc.

Dziś po zapadnięciu zmroku odwiedził nas stary niedojda Jarzębski, a nie zastawszy pana Piotra, powsiadł na moją ciotkę. Skarżył się, że został skrzywdzony, że pan Piotr go podszedł i przekupiwszy hejnuchów, wybornych skrzypiec pozbawił.

Pierwszy raz widziałem Jarzębskiego w takiej złości. Gadając, gdakał jak kura.

Wobec zarzutów ciotka naprzód zaniemówiła, potem ostro natarła na Jarzębskiego.

— Nie wierzę w waścine opowiadanie — rzekła. — Mój Piotruś przekupstwem się nie trudni. A czemu żeś skrzypek nie kupił, mości grajku? Wiem, wiem, spierałeś się o każdy złamany szeląg, boć wszyscy cię znają jako sknerę i skąpca.

Jarzębski odszedł złorzecząc i grożąc, że się poskarży królowi jegomości.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. Niewiele zarobiłem na „Kwiatkach liliowych", alem się nagadał z żebrakami, co się na odpust zbiegli, a widząc i słysząc, jak się staram sprzedać lilijki moje, wzięli mnie za kamrata i szczerze gadali. Nowego nic nie usłyszałem, zatom się utwierdził w przekonaniu, że odpustowe dziady mają słów własnych wybór do posługiwania się w przytomności osób nienależących do ich dziadowskiej korporacji.

Mazowieckie dziady tak liczą do dziesięciu: jednora, drugora, trojca, cworca, pię dziom, lińdziom, sokna, okna, dziwora, dzikson.

Trocha inaczej liczą dziadowie z Gór Świętokrzyskich: jednojca, dwojca, trojca, cworca, piańdzia, lińdzia, sekno, okno, dzigora, dziks.

Tu sobie przypominam, że kiedym mieszkał we Lwowie, tameczne didy nauczyły mnie liczyć tak: jen, dwenia, skera, sisara, piondza, szandra, timora, witimora, diwora i dikona.

A czescy Cyganie, których raz spotkałem na krakowskim Rynku, tak znów liczyli: ele, ewele, drele, kierule, pede, lede, cukman, dukman, krahil i kiukszt. Koniec, Gorczyn.

XIII. COŚ SIĘ STAŁO

Nazajutrz po św. Janie w Oleju. Musiało się coś stać u Moskali, bo dzisiejszego ranka słyszano wrzawę w ich dworze.

Mleczarka, która nam z Kałęczyna mleko przywozi, opowiadała ciotce Elżbiecie, że najwidoczniej Moskale całkiem się tej nocy nie kładli spać, albowiem o świtaniu biegali po majdanie, w oknach paliły się światła, a zza ostrokołu słychać było krzyki i głośny lament.

A no, trzeba się wybrać na Zamek, może się czego dowiem.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. Brodaty Ormianin z Krzywego Koła znów mnie na petercyment zaprosił. Tym razem wypytywał o konterfekt księdza przeora, rozprawiał potem uczenie o sporządzaniu farb różnych: włoskich, flamskich, francuskich, i wreszcie spytał:

— Ile też waść potrzebujesz lapis lazuli do zrobienia nieba nad przeorem?

Obliczyłem w myśli wysokość płótna i szerokość. Rzekłem, że cali kwadratowych będzie ze siedemdziesiąt, może i więcej. Odparł:

— Wedle mojego przekonania powinna wystarczyć uncja i dwie dragmie... No, powiedzmy, uncja i dragmy trzy. Dam waści półtorej uncji, zgoda?

— Zgoda — powiadam — ale nie zaraz, bo nie mam czym płacić.

Na to on, sięgając po ważki aptekarskie:

— Nie mówmy o pieniądzach. Daję waści te okruszyny z dobrego serca, za co, jeżeli będziesz pamiętał, zachęcisz imć pana Elerta do kupna u mnie pierścionka z turmalinem albo z innym kamykiem.

Odważył półtorej uncji lapis lazuli, wsypał do szmatki, omotał nicią i podał mi, prosząc uprzejmie o przyjęcie.

Teraz mam już wszystko, co potrzeba. Anioł, dzięki Monice, jest cudny. Jeszcze tylko niebo dorobię i oddam konterfekt przeorowi.

W dniu zawieszenia malowidła na ścianie refektarza, obiecał to przeor, dobędziemy z piwnicy beczułeczkę zacną, na której wypalono koronę z koślawym krzyżykiem[1]. Tu koniec, Gorczyn.

* * *

Piszę po powrocie z Zamku. Dragoni, którzy dzisiejszej nocy sprawowali wartę na Kałęczynie, opowiadają dziwy o rzeczach widzianych i słyszanych.

Co się dzieje u Moskali, nie wiadomo, gdyż w ciągu wczorajszego wieczora nikt nie zachodził do dworca poselskiego ani też nikt stamtąd nie wyszedł. W głównym budynku, gdzie mieszka poseł ze świtą, nie gaszono świateł przez całą noc, zasłony w oknach były opuszczone i tylko przez szpary mogłeś dostrzec krzątające się cienie.

W godzinę po północy ktoś szedł przez majdan i głośnym krzykiem budził śpiących tam koniuchów. Bieganina trwała, coś ciężkiego przeciągano z jednej strony dziedzińca na drugą, ale co, trudno zgadnąć.

Potem nastąpiła przerwa w hałasach aż do piania kogutów i nagle znów rozległy się krzyki. Pachołkowie zwlekli kogoś z ganku, obezwładnili, potem chłostali.

---

[1] Węgierską, króla Stefana I Świętego (975–1038), z dynastii Arpadów.

Powtarzała się ta bastonada[1] jeszcze dwukrotnie i za każdym razem krzyk rozlegał się przeraźliwy, lecz z innych wychodził płuc. Stąd można wnosić, że chłostano trzech winowajców.

* * *

Przed południem nadeszły meldunki, że u Moskali znów się zaczyna wrzawa.

* * *

Zapisuję krótko, bo czasu mi żal. Na Kałęczyn wysłano oddział dragonii z oficerem dla wzmocnienia tamecznych wartowników i dla odpędzenia gawiedzi, która się przed dworcem poselskim tłumnie zbiera.

* * *

Ciotczynej opiece poleciwszy książnicę, wyskoczyłem na miasto dla zdobycia nowin. Nie dowiedziawszy się nic, wróciłem. Ciotka prosi, żeby jej od zajęć nie odrywać.

* * *

Gość pewien, który tu zawitał przed chwilą, opowiadał nadzwyczajne rzeczy i słowem ręczył za ich prawdziwość. Kiedy stał przed bernardyńskim kościołem, oglądał na własne oczy dragonów jak Moskwicina wiedli.

Czterech żołnierzy szło, trzymając konie za uzdy, z człowiekiem pośrodku, osłoniętym ze wszystkich stron i przez to źle widocznym. Biegło za nimi pospólstwo, gwiżdżąc i hałas czyniąc.

Zaprowadzono Moskala wprost do Zamku i zaraz zamknięto bramę, żeby się gawiedź nie cisnęła. Nieszczęśnik oczy miał błędne, strój w nieładzie i włosy potargane. Relata refero[2].

* * *

[1] Chłosta, bicie kijami — z hiszp.

[2] Powtarzam za kimś — łac.

Pan Piotr spóźnił się na obiad, ale przyniósł z Zamku tyle ciekawych wiadomości, że nawet ciotka zapomniała go skarcić.

Okazuje się, że nieszczęśliwy Moskal, którego żołnierze przywiedli, wybiegł z poselskiego dworca na gościniec, a ujrzawszy naszych wojaków padł na kolana i o opiekę ich błagał. Klęczał bez wierzchniej szaty, w parcianych jeno portkach.

Oficer dragonom przewodzący w lot zrozumiał, że się dzieje coś politycznego, a wiedząc ze słyszenia o podobnych ucieczkach, zaopiekował się Moskalem.

Czas był najwyższy, bo z dworca wysypali się inni Moskale i biegnąc drogą, krzyczeli: „Łowi jego, dierży, dierży!".

Potem obskoczyli dragonów i domagali się wydania zbiega, co widząc, oficer kazał dobyć szabel i zagroził, że będzie płazował. To wystarczyło, pryśli. Tym prędzej, że i zebrani wkoło ludzie zaczęli napierać.

Odprowadzony do kordygardy zamkowej[1], grzecznie tam potraktowany, uciekinier odzyskał świadomość zmysłów, ale ze strachu trząsł się jak w febrze. Potem, otrzeźwiawszy nieco, zaklinał oficerów, by go nie wydawali.

— Oni mnie na śmierć zabatożą — powtarzał.

Dowiedziawszy się, co zaszło, podkanclerzy Leszczyński polecił roztoczyć nad zbiegłym przyjazną opiekę i zapewnił, że mu włos z głowy nie spadnie. Zabronił też oficerom i wszelkim osobom wypytywać Moskala o cokolwiek, póki się z nim sam nie rozmówi.

Ciotka tu wtrąciła, że wedle jej mniemania postąpił bardzo mądrze. Taki Moskwicin sekretów ma w głowie co niemiara, a mogą to być sekreta ważne, polityczne.

Pan Piotr wyjaśnił, że podkanclerzy zajmie się osobiście badaniem, jeszcze dziś, przed wieczerzą. Właśnie teraz zamknął się z Libickim i z senatorem Załuskim. Sporządzają spis pytań, które Moskalowi będą przedstawione.

[1] Pomieszczenia straży.

Mówił jeszcze pan Piotr, że nie udało mu się dowiedzieć, co to za jeden. Chcąc się przekonać, szedł do kordygardy, ale się nie dostał, bo wydano rozkaz niewpuszczania nikogo.

* * *

Gorczyn. Mniejsza z tym, co za Moskwicin, ciekawsza rzecz, w jaki sposób przez palisadę przelazł, boć na własne oczy widziałem, że paliki wysokie, stoją gęsto, a w każdym tkwi żelazny kolec. Jak więc przelazł? Gorczyn.

* * *

Po obiedzie pan Piotr, przez ciotkę nakłoniony, znów się wybrał na Zamek dla zasięgnięcia języka. Sam by się nie ruszył, grałby. Dotąd z Zamku jeszcze nie wrócił.

A tymczasem w książnicy zaczynają się zbierać mili goście. Jest pan Andrzej Morsztyn, który nie wiedział nic, bo przez cały ranek „Cyda" z francuskiego tłumaczył i był dla nowin nieprzystępny. Jest też pan Wespazjan Kochowski; właśnie stanął przy oknie i czyta rękopisma przez pana Andrzeja przyniesione.

Czekaliśmy na pana Piotra, przyszedł wreszcie i zaraz na progu ręce bezradnie rozłożył.

— Nic się nie dowiedziałem — rzekł — bo na Zamku zrobili prawdziwą tajemnicę. Ale bądźcie cierpliwi, za chwilę zjawi się porucznik Zaćwilichowski, a ten coś wie, bo mi w przelocie szepnął do ucha: „Wracaj waść, zaraz przyjdę".

Potem pan Piotr przyniósł i pokazywał gościom swoje nowe skrzypki. Jak się wydało z rozmowy, wszyscy w Warszawie już o nich wiedzieli za przyczyną zazdrośnika Jarzębskiego.

— Powinieneś go waść uspokoić — rzekł pan Andrzej — bo opowiada na prawo i lewo o jakowymś przekupstwie i grozi, że na waćpana wiersz kąśliwy napisze.

— A niechże sobie pisze — żachnął się pan Piotr — znasz jego talenta.

I opowiedział, jak siedem lat temu, po wydrukowaniu „Gościńca albo krótkiego opisania Warszawy" Jarzębskiego, przykrości różnych miał co niemiara. Od osób, które książkę kupiły, musiał się nasłuchać łajań i gorzkich wymówek. Byli tacy, co żądali zwrotu pieniędzy, jeden bakałarz chciał Jarzębskiego znieważyć za niezdarne rymy i bezwstydne pochlebstwa. Odgrażał się, że go w gębę piórnikiem trzaśnie.

Morsztyn: — Szkoda, że tego nie zrobił.

Wszedł porucznik Zaćwilichowski i zaraz od progu zawołał:

— Nie sprawię wam zawodu, mości panowie!

Na wstępie wyjaśnił, że nowiny są osobistej natury. Zamek bowiem wciąż jeszcze zachowuje milczenie.

— To, co wam powtórzę, usłyszałem od oficera dragonów. Zaopiekował się on na Kałęczynie zbiegłym Moskalem i zdążył przepytać, nim kanclerz zakazał. Dowiedzcież się, że nie chodzi o żadną politykę. Rzecz obraca się dokoła skórek sobolich. Kiedy bojarowie spostrzegli, że coraz mniej gości po sobole przychodzi, wpadli w głębokie przygnębienie. Posmutniał też sam Puszkin, bo większość skórek z własnej szkatuły był zakupił. Medytował, kręcił się po dziedzińcu, do najdalszych kątów zaglądał.

Wczoraj po wieczerzy naradzał się ze swoimi bratankami, naradzał się też z Żemczugiem i Leontjewem. Poszli potem do izby sprzedażnej i przeliczyli skórki sobole. Nad ranem Puszkin kazał budzić pozostałych bojarów, popów, pisarczyków, kazał też przyprowadzić trzech sprzedawców, prykaszczykami zwanych, i tak do tych trzech przemówił:

— Skórek sobolich brak, doliczyć się nie sposób. Znaczy się, że wy na własną rękę sprzedawali. No cóż, wiadomo, każdy prykaszczyk złodziej, jego prawo, ale powinien rozum mieć i nie okradać ponad miarę. I ot za to, że wy bez wstydu kradli, postanowił ja jednego z was powiesić.

Tak powiedziawszy, Puszkin przywołał oprycznika, czyli kata, i rzekł do struchlałych sprzedawców:

— Nu, wybierajcie spośród was największego złodzieja!

Tedy wszyscy zaczęli wzajem się oskarżać: że ten kradł, a tamten kradł więcej, ten jeszcze więcej, ten pierwszy zaczął, tamten namówił, a ten znów do kradzieży przymuszał. I tak krzyczeli

wniebogłosy, jeden drugiego na śmierć posyłając, byle siebie ocalić. Puszkin słuchał, śmiał się z ich trwogi, potem kazał przyciągnąć pień zrąbanego drzewa. Na tym pniu, przy świetle łuczyw chłostano winowajców.

Morsztyn: — Pozwól spytać, mości poruczniku, czy ów zdesperowany Moskal też był prykaszczyk?

Zaćwilichowski: — Ależ nie, tamci w boleściach leżą.

Morsztyn: — Więc po co czmychnął?

Zaćwilichowski: — Mówi, że z wielkiego strachu.

Morsztyn: — Widziałeś go waść?

Zaćwilichowski: — Nawet mnie do kordygardy nie chciano wpuścić.

Wszedł rotmistrz Okoń.

— Spodziewałem się was tu zastać — rzekł. — Znacie ostatnią nowinę?

Ponieważ nikt nie wiedział, która nowina jest ostatnia, posypały się pytania.

— Przed chwilą na Zamku — mówił rotmistrz — pojawił się bojarzyn Żemczug. Wpadł jak wicher. Zażądał wydania zbiegłego Moskwicina, dowodząc, że nasi żołnierze porwali go na gościńcu i siłą uprowadzili. Podkanclerzy kazał odrzec, że nikt nikogo nie porywał, a zbiega się nie odda, gdyż o azylus prosił. Trwało to może dziesięć minut i skończyło się tym, że zagniewany Żemczug skoczył na konia i odjechał.

— Co za dziwaczna historia — rzekł pan Andrzej.

— Na Boga, a któryż to Moskal czmychnął, że tyle kramu! — zawołał pan Piotr. — Dobrodzieje moi, zaczynam i ja się niecierpliwić.

Brzęknął w strunę i przyłożył skrzypki do ucha.

* * *

W dwa dni po św. Janie w Oleju. Poszedłem wczoraj spać, nie dowiedziawszy się prawdy o zbiegłym Moskalu, o przyczynach, które go pchnęły do ucieczki. Dzień już jest i w dalszym ciągu nic nie wiem.

* * *

Wracam właśnie z Zamku, dokąd nosiłem odbitki szczotkowe[1]. Nie ukrywam, że do pójścia skłoniła mnie więcej ciekawość niż potrzeba. Zawiodłem się jednak. Skrybowie w kancelarii albo udają, albo mniej wiedzą ode mnie. Stary Libicki zajęty.

Dowiedziałem się tylko, że kanclerz zdrowieje. Przebywał wczoraj wieczór przez krótki czas na Zamku, rozmawiał z królem i podkanclerzym. Po rozmowach odjechał do swego pałacu, zabierając ze sobą różne papiery.

* * *

Pan Piotr gra od samego rana na nowych skrzypkach. Przygotowuje jakieś concerto, z którym ma wystąpić na ślubie pana Hieronima Radziejowskiego z wdową po śp. Adamie Kazanowskim.

Dziś przy rannej polewce ciotka Elżbieta zrobiła uwagę, że żałoba w pałacu Kazanowskich trwała zbyt krótko, ślub więc powinien być skromny, bez muzyki. Na to pan Piotr najeżył się jak nigdy i zawołał:

— Niewiasto głupia, zamilcz! I nie powtarzaj tego na mieście. Gdzież szukać lepszej sposobności do sprezentowania moich kremońskich skrzypek!

Szepnąłem ciotce, bo stanęła zdumiona, że od tego concerto zależy kupno pierścienia z drogocennym kamykiem, co usłyszawszy, przemówiła do męża tkliwymi słowy:

— Graj, graj, Piotrusiu, nic już nie powiem. Ja tylko żarty stroiłam.

* * *

Przed samym południem odwiedziła mnie w książnicy stara jejmość z fraucymeru królowej, ta co już dwakroć liściki przynosiła. Tym razem dostałem do ręki długi i wielce słodki list, zaczynający się od słów: „Cavalerzé iediny, sercu moiemu bliski". Dalej ciągnę-

[1] Próbne wydruki.

ła się miszkulancja polsko-francuska, prozą i wierszem pisana: o wiosennych tęsknotach, o słowiku śpiewającym śród drzew, fiołkach nadobnych, księżycu, co zajrzał do okienka etc. Kończyło się obietnicą wiernej przyjaźni i prośbą, żebym zaraz odpisał.

Spytałem posłanki, czy zechce zaczekać, na co skinęła głową. Cóż było robić? Stanąłem przy pulpicie i z największą uwagą, z namysłem głębokim sporządziłem ostrożną odpowiedź.

Zapewniłem pannę, że ją cenię wysoko za zalety charakteru i serca, a w liście, na który z ochotą odpisuję, odkryłem poetyckie talenta bardzo świetne; że ją zachęcam do pracy nad sobą, do czytania wybornych autorów. Żeby nie być dłużnym za wiersze, przytoczyłem sonet prowansalskiego poety o smutnym zachodzie słońca i na zakończenie zapewniłem młódkę, że pamięć o niej zachowam do najpóźniejszej starości.

Odczytując list chyba po raz setny, doszedłem do przekonania, iż nie ma w nim niczego, co by rzucało cień na pannę, nie ma też słowa, jakiego bym w przyszłości mógł pożałować.

Podpisałem chrzestnym imieniem. Pieczętując, położyłem wosk w taki sposób, by każdy mógł pismo rozłożyć i przeczytać bez łamania pieczęci. Zdaje się, że postąpiłem rozsądnie. Zajęło to dużo czasu, bom każde słowo rozważył.

Starusze z fraucymeru z pewnym zawstydzeniem podałem list i wsunąłem półtalarek do ręki. Przyjęła wszystko spokojnie, bez zakłopotania. Pieniądz schowała do mieszka, papier za giezełko, kiwnęła głową na pożegnanie i poszła.

* * *

Pisze Gorczyn. Niechże się dowie Jej Mość Pani Elżbieta, że wypędzony chłopak z wiewiórką nawet nie myślał wracać do Rawy Mazowieckiej. Widziałem go dziś rano na Lesznie, jak obchodził podmiejskie dworki, kołacząc do każdego domu.

Tyle się u niego zmieniło, że oprócz wiewiórki ma jeszcze kawkę łaskawą, vulgo gapę, jak się mówi po warszawsku. I oba te stworzenia, jedno kosmate, drugie skrzydlate, w przykładnej

zgodzie żyją, dzieląc się miejscem na ramionach chłopaka, to prawym, to lewym.

Widziałem i słyszałem jak matki wzywały młodego wagabundę, żeby dziatwie uciechy narobił, sam też byłem przytomny takiej zabawie, bo mnie niewiasta jedna na moją gorącą prośbę do sadu wpuściła.

— Gapa, hyc! — woła chłopak i podrzuca w górę chleba kawałek.

Na ten rozkaz ptak zrywa się z jego ramienia i frrr... Poleciał! Łapie chleb w powietrzu, wraca na dawne miejsce i z powagą zaczyna dziobać. Patrzysz, a tu już wiewiórka skrada się po łupy. Pełznie po plecach chłopaka, posuwa się pod kawczy ogon i cap, umyka z porwanym chlebem, wskakując na daszek od ganku; łapże ją teraz.

Kawka zła, skrzeczy obrzydliwie, aż uszy trzeba zatykać. A dzieci klaszczą w dłonie, wołając:

— Gapciu, gapciu, nie płacz, dostaniesz od nas chleba!

I podają jej różne ptasie łakocie: placka kawałek, obwarzanka kęs, krup gotowanych garstkę. Wiewiórce znów noszą orzechy, pestki, szyszki, co które ma.

W ten sposób oba zwierzaki uczciwie na życie zarabiają, a czubią się dla facecji więcej niż z potrzeby, bo nie są głodne.

Chłopak też, odkąd kawkę tych sztuk nauczył, przestał głodować. Boć przecie żadna matka, widząc dziatwy swej tak wielkie ukontentowanie, chleba mu nie poskąpi, a często i na gorący zaprosi posiłek. Sam mi się przyznał. Tu koniec tej wesołej powiastki, Gorczyn.

* * *

Obliczyliśmy z panem Piotrem targ dzienny (niewiele tego było) i już miałem iść spać, gdy ktoś zakołatał.

— Co za licho — mruknął ze złością pan Piotr, bo chciał jeszcze wrócić do swoich tabulatur muzycznych. Uchylił okna i wyjrzał. Z ulicy dolatywało wołanie:

— Otwórzcie! Nowiny przynosimy!

Weszli pan Andrzej i porucznik Zaćwilichowski. Od razu poznałem po twarzach różowych i rozochoconych, że musieli wina gdzieś się napić. Zaczęli opowiadać, jeden drugiemu żartami przerywając, że przypadkiem, ot dla fantazji, wstąpili przed chwilą do kordygardy zamkowej. Tam się dowiedzieli, że zbiegłego Moskala nie ma już, że go odprowadzono do bursy księży jezuitów.

— A znacie przynajmniej jego imię? — spytałem.

— Znamy — odpowiedział pan Andrzej. — Wańka Tarapajew, młodszy pisarz i tłumacz poselstwa.

— Ten sam, co Adamandemu jedwab przynosił — dodał porucznik.

Wielce przejęci powtarzali, że dla podkanclerzego niespodziewany to sukces, bo Tarapajew jakby z nieba spadł. Pozdradza teraz poselskie tajemnice.

— Już je pewnie zdradził — zrobił uwagę pan Piotr.

Przytaknęli i rzekli na zakończenie, że wracają do ratuszowej piwnicy. Gwałtem chcieli zabrać pana Piotra i mnie, ale się w sprawę wdała ciotka Elżbieta.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. Białogłowy włoskie, wedle różności miast, różne też mają qualitates[1], maniery i defekta.

Sieneńskie są piękne; florenckie delikatne; peruzańskie wyborne i ochędożne; kajetańskie kształtne; benewentańskie prostaczki, czasu szkoda; genueńskie zalotliwe; bononeńskie wielce o sobie mniemające; mantuańskie dla kawalerów łaskawe; łukiewskie[2] poćciwe; z brześciańskiego powiatu[3] zdrowe i krzepkie; kapuańskie pyszne; neapolitańskie o swoich gaszków troskliwe; rawenneńskie zimne; urbiniackie wesołe i rozmowne; wincentyńskie stateczne; wenecjańskie swawolne i rude (vulgo szafrańcowate); parmeńskie na cukier łakome; tarwizańskie zazdrosne w amorach; mediolańskie polityczne; pizańskie zabobonne; kremońskie strojnisie i kosztowne; paduańskie w łacinie uczone; triesteńskie potrafią z Polakiem się dogadać[1]; liworneńskie puste; werońskie mściwe; rzymskie niebezpieczne; aretyńskie chętnie pisują wierszem; riminiańskie do łez i do tęsknoty skore; messyńskie niewierne; syrakuzańskie chytre i złota chciwe; bryndyzańskie dzikuski; katańskie na winie się znają; trapańskie w kartach oszukują.

Tom się dowiedział od prałata jednego, który z Rzymu na Warmię jadąc, w naszym zatrzymał się klasztorze. Koniec, Gorczyn.

* * *

W dzień św. Grzegorza. Chodziłem na Zamek, a kiedym wrócił, powiedziała mi ciotka, że niedawno zaglądał do książnicy Adamandy. Wspomniał o Tarapajewie. Mieszkają teraz razem, we wspólnej stancji i razem będą się uczyć. Wańka Tarapajew nie wychodzi z bursy, żeby nie spotkać jakiego Moskala.

Spytałem dlaczego czmychnął.

— Nie wiem — odrzekła ciotka. — Przyjdzie jutro, to ci sam opowie.

* * *

Pan Piotr nie spóźnił się na obiad i przyniósł ważną nowinę, że Moskwa w pokorę uderzyła; Puszkin o wznowienie rokowań prosi. Tym razem u podkanclerzego stawił się nie Żemczug, lecz Stiopka, poselski bratanek. Nie wspomniał ani słowem o zbiegłym Tarapajewie, ale gorzko narzekał na dragonów, którzy chętnych do kupowania soboli precz przepędzają. Nie chcieli też wpuścić bogatych kupców z Lipska.

Podkanclerzy spytał, czy poseł zamierza podpisać wznowienie paktów przyjaźni, czy postanowił upierać się przy poprzednich żądaniach. Stiopka odrzekł, że celem poselstwa jest pod-

---

[1] Przymioty — łac.

[2] Z Lucii.

[3] Z Brescii.

[1] W okolicach Triestu mieszkali przodkowie współczesnych Słoweńców.

pisanie paktów, wysuwane żądania zaś można omówić i dojść do zgody.

Ustalono spotkanie na pojutrze. Pan Piotr uważa, że Zamek odwoła dragonów w dniu rozpoczęcia rokowań.

* * *

Tu Gorczyn. Muszę zganić twórcę tych memorialiów, Imć Pana Stanisława Piotrkowczyka za zbytnią skromność i za niepilnowanie kalendarzowych reguł w zapiskach. Boć przecie w dwa dni po świętym Janie w Oleju wypadł św. Stanisław, jego patron. Z tej przyczyny było wino wyborne, była hulanka w ratuszowej piwnicy, wesołość ogromna i wierszy odczytywanie, o czym Imć Pan Stanisław ani słowem nie wspomniał, a co ja dla porządku wpisuję.

Teraz o prałacie z Rzymu. Znajdziesz poniżej ciąg dalszy nauki, którą mi podyktował.

Na Rzym mówią: Roma la Santa, co jest sprawiedliwie; o Neapolu, że szlachetny dla mnogości szlachty, Napoli la Gentile; o Wenecji, że bogata, Venezia la Ricca; o Genui, że pyszna dla wspaniałości pałaców, Genova la Superba; o Mediolanie, że wielki dla swojej pozycji obszernej i mnóstwa obywatelów, Milano la Grande; o Florencji, że od kościołów i ulic piękna, Fiorenza la Bella; o Bolonii, że tłusta w gruntach urodzajnych, Bologna la Crasse; o Padwie, że mądra ze sławnej akademii, Padova la Dotta; o Rawennie bardzo starożytnej mówią Ravenna l'Antiqua.

Miast największych z jarmarkami w krajach włoskich siedem: Wenecja, Mediolan, Rzym, Neapol, Messyna, Kalaris w Sardynii i Bastha na insule[1] Korsyce. Portów morskich we Włoszech 48, arcybiskupów 31, biskupów 224, fortec mocniejszych 79, fortec słabszych i niewiele wartych mnogość niezliczona.

---

[1] Na wyspie — z łac. Gorczyn, stosownie do obyczaju swoich czasów, traktuje popularniejsze słowa łacińskie jak polskie i odmienia je według zasad polskiej gramatyki.

Dwie tam góry ogniste: Etna i Wezuwiusz. Rzeki ogromne: Padus, Arnus i Tyber, a wszystkie płyną wedle dużych miast, w czym widać troskę Opatrzności, żeby obywatelom wody nie zabrakło.

Chwalą: wenecki kryształ, wenecką driakiew[1], atłasy i kurdybany weneckie, konie neapolitańskie, wina z Gór Albańskich, z Posilippo, Gragnano i Sycylii; sery parmeńskie, oliwę genueńską, kolczugi mediolańskie.

Więcej prałat, choć go molestowałem i prawie na klęczkach błagałem, nie chciał powiedzieć. Kończę więc, Gorczyn.

---

[1] Lekarstwo na wszystkie choroby, zmieszany z wielu składników lek uniwersalny — z łac.

XIV. LEKTOR W OPAŁACH

Nad ranem, w pierwszy dzień Trzech Ogrodników trzymał lekki przymrozek, ale szkód nie wyrządził. Zwarzyły się tyko sałaty różne w grządkach, głównie portulakowa[1].

Dostaliśmy z Lionu dwie skrzynki książek bardzo pięknych, zamówionych przez różne persony. Pan Andrzej Morsztyn zwiedział się o tym jakimś cudem i nim się zabrałem do skrzynek, już tu był; pomógł książki przeliczyć. Siedzi teraz we wnęce okna szczęśliwy, zaczytany, świata niepomny.

* * *

Do Warszawy zaczynają zjeżdżać goście weselni pana Radziejowskiego. Zatrzymują się w pałacach dostojników, w domach zajezdnych, klasztorach i u mieszczan.

Ponieważ do oblubieńców afektu nie czuję, nie zamierzam panegiryków pisać. Mógłbym iść na ślub, mógłbym się łatwo dostać na chór kościelny z panem Piotrem Elertem, ale nie pójdę, niech idzie ciotka Elżbieta, sprawi jej to radość niezwyczajną. Albowiem dzień ten będzie dla pana Piotra ważny przez wystąpienie z kremońską violą czterostrunną, o której głośno już w Warszawie.

---

[1] Sałaty — ogólnie warzywa. Portulaka zaś to roślina podobna nieco do szpinaku, mało znana w Polsce, dość popularna w niektórych krajach Europy, szczególnie w Holandii.

* * *

Odwiedził księgarnię kasztelanic Jan Sobieski, kawaler gładki i oczytany. Kupił drogie wydanie Flawiusza Wegecjusza Renata w parszeminowej[1] okładzinie ze złotym wyciskiem, do tego tablic sześć na miedzi rytych.

Z panem Andrzejem przywitał się serdecznie, obaj są bowiem z Małopolski i z dawna się znają. Zaczęli rozprawiać o Paryżu, o życiu na francuskim dworze królewskim. Wspominali z tkliwością imiona dam znakomitych, kawalerów sławnych, poetów, malarzy, śpiewaków włoskich i francuskich, aktorów, nawet kuchmistrzów. Potem na dobre rozgadali się o teatrach.

— Wierzaj mi waść — mówił kasztelanic — że we Francji można się setnie zabawić nawet w lichej mieścinie. Kiedym z bratem moim Mareczkiem przejeżdżał przed dwoma laty przez Epinal, natknąłem się na komediantów wędrownych, spektakl tam dających. Pytam brata, czy rad by iść. On głową kręci. Szkoda czasu, powiada.

Tymczasem komedianci dowiedzieli się od oberżysty, że jesteśmy polscy szlachcice. Przychodzą i proszą, żeby im łaskę uczynić, z honorami obiecują przyjąć.

Poszliśmy więc, Marek i ja, i jeszcze służby kilkoro. Spektakl dawano w murowanym spichlerzu miejskim, na ten cel oporządzonym. Dla nas ustawiono wygodne ławy po stronie prawej, kobiercami przybrane.

Na wstępie, nim się komedia rozpoczęła, wyszedł przed zasłonę aktorzyna młody i skłoniwszy się dworsko, wygłosił z nadzwyczajną swadą wiersz powitalny ku naszej chwale napisany. Aż mnie zdumienie ogarnęło, że w tak krótkim czasie zdążyli to ułożyć. Potem odegrali historię wielce ucieszną, w której z doktorów pośmiewisko robili, wszystko zaś było tak poplątane, tak się szybko toczyło, że patrząc i słuchając, nie miałeś nawet czasu zastanawiać się nad prawdziwością przedstawianych rzeczy. Kie-

---

[1] Pergaminowej.

dy wystąpili na scenę dwaj doktorowie medycyny i zaczęli się tłuc seryngami[1] po głowach, mój Mareczek, który jest na teatralne farsy niezbyt czuły, tym razem tak się śmiał, że musiałem go objąć wpół, żeby z ławy nie zleciał.

A no, skończono komedię, ludzie w ręce klaszczą, wywołują z imienia aktorki i aktorów, a najgęściej tego, co dla nas wiersz powitalny wygłosił.

— Bravo, bravo Jean Baptiste!

Patrzę, mój Mareczek wstaje, sięga za pas, wyjmuje mieszek z dukatami i rzuca komediantowi pod nogi. Ten się skłonił, gorąco podziękował, a po godzinie przybiegł za nami do oberży. Mówił, żeśmy całą ich aktorską kompanię od nędzy wybawili.

Pan Andrzej spytał:

— A nie pamiętasz waść, jak się ten aktorzyna zowie? Bo wielu z nich znałem.

— Pamiętam, zostawił mi wiersz z dedykacją. Zowie się Poquelin, Jean Baptiste Poquelin.

— Nie, nie słyszałem o takim.

* * *

Gorczyn. Do klasztoru naszego zjechał na krótki popas ksiądz proboszcz z miasta Srzem w Wielkiej Polszcze i opowiada, że tameczni gospodarze wyorują z ziemi garnki samorodne. Te garnki, prawi, zostały od Natury w ten kształt uformowane z gliny i ekshalacji[2] ziemnych.

Pytam księdza dobrodzieja, a po cóż by Natura garnki miała lepić? Według mojego przekonania są to trumienki gliniane z prochami spalonych obywatelów. Tak pogaństwo zmarłych swoich grzebało, zakopując garnki z popiołem i tuż przy nich stawiając dzbanuszki z likworami, do jakich nieboszczykowie za życia pasję mieli.

Zapisałem, bo mnie korciło, Gorczyn.

---

[1] Szprycami do robienia lewatywy — z franc.

[2] Wyziewów — z łac.

* * *

Adamandy dotrzymał słowa. Odwiedził mnie i opowiedział o Wańce Tarapajewie, który w bursie jezuickiej znalazł przytułek.

— Kiedy go przyprowadzono — mówił — poszedłem do przełożonych i gorąco poprosiłem o oddanie nowego bursanta pod moją opiekę. Rzekłem, że się znamy, żem się z Wańką spotykał w waszej książnicy i chciałbym go łaciny uczyć. Ojcowie jezuici są dla mnie bardzo łaskawi przez jedwab, com im na ornat ofiarował, zgodzili się więc i Wańka Tarapajew jest teraz moim uczniem.

Spytałem czemu Tarapajew z poselstwa umknął i dragonów o pomoc prosił.

— Bo go do tego namówiłem — odparł Adamandy.

I widząc moje zdumienie, dodał:

— Żalił się gorzko, że żyje w ciągłym strachu, że u nich nigdy nie wiadomo, czy człowieka o coś nie oskarżą, nie wychłostają, a mogą i głowę odrąbać. Kiedy więc owej nocy Puszkin w złość okrutną wpadłszy, kazał na majdanie ludzi batożyć, Wańka Tarapajew wyszedł przed dom, zdjął kubraczek, złożył w kilkoro, zarzucił na kolce palisady i hyc na tamtą stronę.

— A nie będzie żałował?

— Mówi, że już nigdy do Moskwy nie zatęskni.

Spytałem Adamandego, jak to się stało, że zbiega skierowano z Zamku do jezuitów, a nie indziej.

— Bo wyznał podkanclerzemu, że mnie zna i że się ze mną umawiał.

* * *

Ręką moją, Gorczyna. Zachodzę tu dziś z gniewem w sercu poskarżyć się na los, na nieobyczajność kupców ormiańskich, a w szczególności na ich patriarchę Isaakowicza z Krzywego Koła.

Kiedym szedł przez Rynek, obstąpiła mnie cała chyba gmina ormiańska: starzy i młodzi, męże i niewiasty, i bachorów kupa. Krzyczeli i wrzawę czynili, żem się zobowiązał pana Piotra do

kupna pierścienia skłonić, żem tego nie dokonał i klejnot leży bez pożytku, a oni tracą.

Opędzałem się, tłumaczyłem, Boga na świadka brałem, nie pomogło, harmider robił się coraz większy.

— Oddaj moje lapis lazuli! — drze się Isaakowicz.

— Zeskrob waść sobie z płótna!

— Zgnij, malarzyno, na wiązce słomy!

— Trąd na waścina głowę! — odpowiadam.

I tak sobie dogadujemy ostro, ostro. On woła:

— Bodaj cię, nędzo, czarne krosty obsiadły!

A ja mu wtedy:

— Bodajeś z kości opadł i na żyłach się czołgał!

Te słowa tak go przeraziły, że stracił mowę. Skorzystałem z przerwy i umknąłem jak podolski zając-filip, co się z konopi wyrwał. Koniec skarg i żalów na ormiańską nację, Gorczyn.

*
* *

Wbrew przewidywaniom poseł Puszkin wcale nie był pokorny. Zaraz na wstępie spytał, dlaczego przewodzi podkanclerzy, a nie kanclerz. Odpowiedziano, że sprawiła to siła wyższa, kanclerz jest bowiem ozdrowieńcem po ciężkiej przypadłości i nie mógł dziś przyjść.

Puszkin, odbiegając od porządku obrad, żalić się zaczął na dragonadę, nazywając ją niespotykanym w polityce gwałtem.

Podkanclerzy odparł, że wobec wznowienia rokowań wydał polecenie odwołania dragonów, co już się stało. Gdyby jednak Moskwa ponownie zerwała rokowania, dragoni wrócą na dawne posterunki.

Po tych przekomarzaniach, które trwały długo i nic nowego nie wniosły, podkanclerzy zadał Puszkinowi pytanie, czy zamierza podpisać pakty przyjaźni.

Ten odparł, że gotów podpisać choćby zaraz, o ile dostanie asekurację z podpisem króla i z jego wielką pieczęcią, że sprawcy pomyłek w tytułach carskich zostaną gardłem ukarani, Jarema wbity na pal, drukarze i autorowie książek po czterdzieści batów dostaną, a najgorszy z nich Gorczyn żywcem wydany będzie.

Szmer powstał po tych słowach. Z ław senatorskich zaczęto wołać: „Dosyć, dosyć! Szkoda czasu!". W tej właśnie chwili wszedłem na salę obrad. Senator Załuski, za zezwoleniem podkanclerzego, przemówił:

— Uszom własnym nie wierzę! Czyżbyście, panie pośle, wyrzekli się Smoleńska i kontrybucji w czerwonych złotych?

Śmiech śród senatorów.

Puszkin: — Dajcie asekurację i sprawa załatwiona.

Senator Załuski: — Zapewniam was, panie pośle, że takiej asekuracji król nie zechce podpisać.

Puszkin: — Nu, tak dawajcie Smoleńsk, ot co!

Senator Załuski: — Smoleńsk jest nasz i pozostanie w naszych rękach.

Podkanclerzy: — Widzę, panie pośle, że trzymacie się swego stanowiska niezłomnie, bo choć raz żądacie tego, raz owego, niczego nie da się przyjąć. Po co, pytam, wznawialiście obrady?

Puszkin: — Panie wicekancler, radi Boga, nie mówcie tak. Toż ja tylko co wyraził gotowość zrzeczenia się Smoleńska, jeżeli król asekurację podpisze. Mało wam, a?

Podkanclerzy: — Król nie podpisze.

Krótka przerwa, szepty po obu stronach.

Senator Załuski: — Za co chcecie karać Gorczyna?

Puszkin: — Toż ja wam mówił nie raz i nie tryżdy, że ten podlec nazwał carskiego dziada trębaczem.

Senator Załuski: — Zastanówcie się, panie pośle, nad swoimi słowami, bo może Gorczyn nie nazwał.

Puszkin: — To jest kak?

Senator Załuski: — Przeczytaliśmy z uwagą książki Gorczyna...

Puszkin: — Nu, nu, my tożе czytali.

Senator Załuski: — Trębacza nie ma w nich.

Puszkin: — Wy czto, pan senator, szutki stroicie[1]?

---

[1] Żarty robicie? — ros.

Podkanclerzy (*wstając*): — Jako żywo, nie ma trębacza. Wasz lektor coś poplątał. (*Do pachołka wnoszącego książki*) Połóż na stole... Tam, dalej... Przed panem posłem. Możesz odejść. (*Do posła*) Oto wszystko, co Gorczyn w życiu wydrukował. Znajdziecie śród tych książek, panie pośle, traktat o muzyce. Proszę, jest w nim rozdział o trąbach i sposobie trąbienia na onych, ale słowa trębacz w znaczeniu obraźliwym w zestawieniu z carem, czy familią carską tam brak. Raczcie to rozważyć.

Puszkin (*odwracając się gwałtownie*): — Połamanow, siuda!

Łom-Połamanow: — Słuszajus!

Puszkin: — Gdzie twój trębacz?

Łom-Połamanow (*chwytając to jedną, to drugą książkę*): — Siejczas, siejczas, poiszczem[1].

Puszkin: — Smotri ty mnie[2]!

Podkanclerzy (*zamieniwszy kilka słów szeptem z senatorami*): — Zdaje się, panie pośle, że można zrobić przerwę w obradach.

Puszkin (*ponuro*): — Pożałuj[3], można.

Podkanclerzy: — Ogłaszam przerwę.

* * *

Przerwa długo trwała. Łom-Połamanow do reszty stracił panowanie nad sobą. Ręce mu dygotały, a rozbiegane palce, które co chwila ślinił, nie mogły trafić na poszukiwaną stronicę. Wpatrywał się w litery, poruszał wargami, trębacza nie znalazł.

Puszkin naradzał się cicho ze swym bratankiem Stiopką. Od czasu do czasu oglądał się nieufnie na Łom-Połamanowa, a widząc, że ten nie może dać sobie rady z książkami, skinął na Gawryłę Leontjewa i coś rzekł do niego szeptem.

Po chwili Gawryła podszedł do stołu i zgarnął książki. Zawstydzony Łom-Połamanow nie protestował.

---

[1] Zaraz, zaraz poszukamy — ros.

[2] Tylko uważaj! — ros.

[3] Owszem — ros.

Wybrawszy jeden z druków, Gawryła wrócił do posła i siadł u jego stóp; coś mu czytał. Była to lektura powolna, bardzo skrupulatna, Puszkin przekręcił w bok głowę, nadstawił ucha i z uwagą pochłaniał każde słowo. Siedzący na pawimencie Gawryła wodził palcem po wierszach i tłumaczył treść.

Wydało mi się, że Puszkin kazał sobie odczytywać niektóre ustępy po dwa i więcej razy, że powtarzał za Gawryłą, jakby się ich uczył na pamięć.

Kiedy skończyła się przerwa i podkanclerzy zajął swoje miejsce, pierwszy przemówił Puszkin:

— Winowat, panowie rada, ot, co się zdarzyło. Ten oto bojarski syn, którego widzicie, całej tej sumatochy[1] i bezporządku narobił.

Wskazawszy na Łom-Połamanowa, ciągnął dalej:

— Nie za mądry on jest, choć czyta i pisze, nawet po polsku nauczył się czytać. Ot, my jemu niektóre książki do czytania dawali i on trębacza w nich wypatrzył. Połamanow wstań! Widział ty trębacza?

— Tak toczno, widział.

— Nu wot, panowie rada, widział, a teraz nie może odnaleźć. Durak ten Połamanow, pijanica, ot co! No, my jego doma tak przydławim, że trębacz się znajdzie.

Podkanclerzy: — A jeśli się nie znajdzie? Nasi lektorowie też szukali z uwagą, a nadto sam Gorczyn zeznał, że nigdy nie pisał o trębaczu.

Puszkin: — Choroszo, posmotrim.

Podkanclerzy: — Czy nie byłoby wskazane, panie pośle, zaniechać całej sprawy i pozostawić Gorczyna w spokoju?

Puszkin: — Nu niet, panowie rada. Gorczyna tak czy inaczej trzeba ukarać. Za bardzo naubliżał nam wszystkim, bojarom, popom i prostym chłopom, całej nacji ubliżył. Swołocz, ot co! Ośmielił się napisać, że nasz pokarm to rzepa, czosnek, cebula i kapusta, że od takich delicji Moskal życia nie ceni, że o wiecznej szczęśliwości ledwie słyszał, bo duchowieństwo nasze ciemne

---

[1] Zamętu — ros.

i czytać nie umiejące. Gorczyn, panowie rada, ośmielił się napisać, że Moskiewki to szpetne grubianki... Znaczy się, panowie rada, że i moja żona jest szpetna grubianka, i moje córki są szpetne grubianki... Ach, Boże, co za wstyd! Czyż nie powinien być kołem łamany ten wasz Gorczyn?

Podkanclerzy (z *uśmiechem*): — Ocena urody niewieściej, panie pośle, bywa trafna lub nie, bywa mniej lub więcej pochlebna. Można się zgadzać z oceną lub nie zgadzać, wolna wola. Ale karać! Doprawdy, za co karać?

Wrzawa po moskiewskiej stronie, narzekania i krzyki.

Żemczug: — Ot i polska sprawiedliwość!

Podkanclerzy: — Panie pośle, odbiegamy od sedna sprawy, wróćmy do paktów.

Puszkin: — Nu ładno, przygotujcie asekurację z królewskim podpisem i pieczęcią.

Moskale wstają, Gawryła zbiera ze stołu papiery.

Podkanclerzy: — W asekuracji może znaleźć się tylko obietnica unikania błędów w tytułach carskich.

Puszkin: — Pozdno uż, pora domoj.

* * *

Co się potem stało, tegom nie widział, bo się z Libickim zagadałem. O dalszych więc wypadkach opowiem wedle relacji świadków.

Kiedy Moskale wyszli z Zamku, noc już zapadła ciemna bez księżyca i niebo zasnuło się chmurami. Przy świetle łuczyw zajechała karoca poselska. Wsiadł do niej Puszkin z bratankiem Stiopką i Żemczugiem, a dla reszty bojarów hajdukowie przyprowadzili konie.

W tej właśnie chwili Moskal jakiś (twarzy jego w mroku nie zdołano rozróżnić) skoczył na siodło, śmignął konia nahajem, zaklął na cały głos i ruszył z kopyta. Tylko skry się sypnęły. Cwałem dopadł Podwala, tam skręcił i tyle go widziano.

W karocy dały się słyszeć ryki. Wylazł z niej Puszkin i na bojarów wrzeszczał:

— Łowi jego! Łowi, łowi!

Zadudniły podkowy końskie, zaświstały nahaje. W mgnieniu oka jeźdźcy poznikali, przy karocy pozostał jedynie Puszkin z bratankiem i służby kilkoro.

Stali tak w osłupieniu, nie wiedząc, co robić. Przez ten czas wzdłuż murów starej Warszawy odbywała się pogoń. Od hałasów i krzyków mieszkańcy Podwala pozrywali się ze snu, a w barbakanie obwołano czuj-duch.

I tak minęło z pół godziny, jeźdźcy wrócili z niczym. Puszkin wypytał ich, wspomniał kilkakroć czyjąś tam matuszkę i kazał jechać do Kałęczyna.

Nie muszę chyba tłumaczyć, który z bojarów czmychnął i dlaczego. Domyśleć się łatwo, że Łom-Połamanow. Wolno mi też, tuszę, wyrazić przypuszczenie, że skoro tak liczna pogoń wróciła z niczym, to zdołał się gdzieś ukryć. A gdzie, też łatwo zgadnąć.

Czekam teraz z niecierpliwością na dalszy ciąg tej zabawnej historii. W głowę zachodzę, jak Puszkin wybrnie z tarapatów chwały mu nie przynoszących, boć to już drugi Moskal spod jego skrzydeł się wymknął.

* * *

Pisze Gorczyn. Ludzie, czytajcie, rzecz podziwu godna. Oto, com się od olejkarza dowiedział. O wychowaniu psa z baranią duszą, z węchem baranim i obyczajami baranimi.

Olejkarz ten, Janos na niego wołają, z madziarskiej ziemi rodem, pod przysięgą zeznał, co następuje.

Pastuchy nasze, prawił, wybierają z psiego pomiotu szczeniątko jeszcze ślepe, przenoszą je do obory i tam śród jagniąt wychowują. Karmicielką szczeniątka owca zostaje, nie suka. Śpi szczeniątko na owczym runie, owczym tchem przesiąka, ssie owcze mleko i słyszy owcze pobekiwanie. Kiedy ślipki otworzy, widzi jeno owce, z owcami się styka, do owiec się garnie, a podrósłszy zaczyna igrać z jagniątkami, jakby samo jagnięciem było.

Ze szczeniątka wyrasta pies pasterski o duszy baraniej. Imaginuje sobie, że będzie owczym magistrem, że każda owca winna mu posłuszeństwo, że nikt obcy, człowiek czy pies, nie ma prawa

zbliżać się do pastwiska. Strzeże więc owiec, troszczy się o ich spokój, a taki rośnie zawzięty, że i niedźwiedzia odpędzi.

Madziarskie pastuchy wysoko sobie cenią psa-barana i karmią go nie wedle psiej zachcianki, jeno dają żętycę, mleko owcze, chleb, krupy, sera owczego talarek, mięsa nigdy. I oto żyje głupie psisko śród owiec, nawet się nie domyślając, że samo jest psem.

Zapisałem, z czegom rad i wesół, Gorczyn.

* * *

W drugi dzień Trzech Ogrodników. Adamandy odnalazł sekretną liczbę Gorczynową, która jest 2519[1]. Idę na Zamek.

* * *

Po hałaśliwym pościgu nocnym wzdłuż murów Warszawy, Puszkin spał kilka godzin, a rankiem przyjechał do Zamku i zażądał rozmowy z kanclerzem Ossolińskim. Przyjął go jednak podkanclerzy Leszczyński w obecności protokolanta i kilku innych osób. Zacny Libicki pozwolił mi wejrzeć do zapisków, mogę więc powtórzyć rozmowę.

Puszkin: — Cześć, panie wicekancler, kłaniam się nisko, pozdrawiam.

Podkanclerzy: — Witamy waszą dostojność.

Puszkin: — Ja przybył, panie wicekancler, pomocy waszej prosić, bo krzywda nas spotkała niezasłużona. Jeden z moich bojarów kazionne diengi[2] porwał i z onymi uszedł. Szkody zrobił na dwieście dukatów.

Podkanclerzy: — Współczuję żywo.

---

[1] Rozwiązanie polegało na cierpliwym sprawdzaniu kolejnych czterocyfrowych zestawień. Mimo że nad podzielnością liczb pracował już Pierre Fermat (1601–1655), to chiński traktat *Dziewięć działów sztuki liczbowej* z twierdzeniem o resztach i algorytmem umożliwiającym szybkie znalezienie wyniku, dotarł do Europy dopiero w XIX w.

[2] Służbowe, państwowe pieniądze — ros.

Puszkin: — I ot, ja proszę, panie wicekancler, żeby wy nam pomogli schwytać jego, złodzieja.

Podkanclerzy: — Bądźcie pewni, panie pośle, że dopomożemy, o ile ów bojar jest złodziejem.

Puszkin: — Świadków skolko ugodno mogę sprezentować.

Podkanclerzy: — Jakże się zowie złodziej?

Puszkin: — Nikita Awwakumowicz Łom-Połamanow.

Podkanclerzy: — Czy to nie ten, panie pośle, co miał wczoraj kłopoty z trębaczem?

Puszkin: — Tak, on.

Podkanclerzy: — Wolno spytać, kiedy się kradzież wydała?

Puszkin: — To jest kak?

Podkanclerzy: — Kiedy i w jakich warunkach zauważono brak dwustu dukatów?

Puszkin: — Zdarzyło się to jak raz po moim powrocie do poselskiego dworca. Wot czto, wchodzę ja wczoraj do spalni, otwieram jaszczyk[1], dienieg nietu. Zwołuję bojarów i pytam, kto śmiał tu bez mojej wiedzy przebywać. Odpowiadają, że widzieli jak Łom-Połamanow skradał się i coś wynosił.

[Tu wstawię, choć przerywam tok opowiadania, że w tej chwili coś niedobrego dzieje się ze mną, w głowie szmery, wzdłuż pleców dreszcze przebiegają, ręka się trzęsie bez widocznej przyczyny, a pióro pryska. Wybaczcie więc, że pismo niewyraźne. Wracam do przerwanej relacji].

Podkanclerzy: — Skoro to był złodziej, czemu go nie schwytano?

Puszkin: — Do głowy im nie przyszło, że złodziej.

Podkanclerzy: — Zaiste, osobliwy przypadek. Tym dziwniejszy, że Łom-Połamanow miał wczoraj dość powodów, aby szukać noclegu poza poselstwem.

Puszkin: — Tak znaczyt...

---

[1] Skrzynkę, kufer — ros.

Podkanclerzy: — Przyjmuję waszą skargę do wiadomości, panie pośle, i wnet zarządzę poszukiwania. Gdyby zbieg okazał się winny kradzieży, wydam go w wasze ręce.

Po tej rozmowie Puszkin zaraz odjechał. Wyobrażam sobie jaką figlarną minę miał podkanclerzy Leszczyński.

[Coraz silniej mną rzuca, ledwo pióro utrzymać mogę, w oczach ogniki błyskają].

Monika powinna, nie zwlekając, udać się do kordygardy zamkowej i opowiedzieć... Boże miłosierny, co to?

*
* *

To jest febra, Gorczyn.

XV. NIEDOBRA DWOJACZKA

Zapisuje Gorczyn. Kiedy Jej Mość Pani Elżbieta przestała lamentować, tłumaczyłem, jak mogłem najlepiej, że na początku febra kapryśna bywa, a potem sobie wyznacza różne terminy, których się już trzyma twardo i nigdy ich nie zmienia.

Najlepsza, mówiłem, jest kwartanna, bo chorego nie bardzo wyczerpuje i leczyć się pozwala. Z trzeciaczką dzieje się gorzej, a dwojaczka całkiem zła, bo uparta, nielitościwa, doktorom nieposłuszna i przez to trudna do zwalczenia.

Mówiłem, że trzeba godziny zapisać, kiedy chorego trząść zaczęło, kiedy go poty naszły i kiedy do świadomości wrócił. Baczenie też mieć należy na drugi i trzeci przypadek trzęsionki i potów, a jeśli godziny się zejdą, będziemy wiedzieli, co sobie febra upodobała, jakim terminem zamierza się kierować i jakie będą wolnego czasu odstępy. Wtedy dopiero, mówiłem, trzeba wezwać doktora i nie żałować pieniędzy na aptekę.

Pani Elżbieta rzekła:

— Zważ, mości Gorczynie, że dla ratowania bratanka mojego ostatni szeląg oddam. Alić nim doktór próg tego domu przekroczy, pierwej ja sama wojnę z choróbskiem rozpocznę. Tak mi dopomóż Bóg.

Trochę mnie te słowa zatrwożyły. Spytałem, jaka to będzie wojna.

— Wojna według reguł nabożnych niewiast krakowskich — zapewniła pani Elżbieta — i waść, jako krakowianin, powinieneś wiedzieć.

Zrozumiałem z dalszej rozmowy, że skoro na chorego poty uderzą, trzeba zeń zdjąć przemoczoną koszulę, zwinąć, przeżegnać trzykroć święconą wodą, zanieść potajemnie do kaplicy i na figurę św. Wincentego narzucić. Koniec pisania, Gorczyn.

*
* *

Pisze Elżbieta Elertowa. Trzęsło go przez cztery godziny, później miał poty obfite, a kiedy się wypocił, wróciła świadomość. Skarżył się na ból głowy, więc mu na skroniach i na czole kładłam liście nenufarowe, po które Gorczyn biegał gdzieś na miasto.

Po przeminięciu bólów w głowie chciał wstawać, alem się sprzeciwiła. Przyniosłam dzban z ciepłą wodą, ocet i gąbkę morską, żeby się z potu obmył, co mu ulgę sprawiło. Pogawędził ze mną i zasnął. Jeżeli jutro nic nowego nie zajdzie, pozwolę choremu wstać.

*
* *

Tu Gorczyn. Tak, to dwojaczka, najgorsza ze wszystkich, bo choremu jeno króciutki czas na wytchnienie zostawia. Biegnę na miasto doktora wzywać, Gorczyn.

*
* *

Pisze znów Gorczyn. Sprowadziłem najdroższego i najmądrzejszego, jak mówią, doktora. Pochodzi z Kadyksu, nazywa się de Rabeis i ma chyba ze sto lat, taki stary. Za dawnych czasów był profesorem salamańskiej akademii medycznej, ale go wypędziła Święta Hermandad[1].

---

[1] Średniowieczny związek miast hiszpańskich. Pod koniec XV w. przemianowany na Święty, ściśle związał się na dłuższy czas z inkwizycją, by w późniejszych latach przerodzić się w czysto administracyjną służbę żandarmeryjną.

Zaraz na wstępie doktór okrutnie się rozgniewał na panią Elżbietę, że o dwa kroki od chorego okno otwarte.

— Zamknąć je — wołał — zamknąć! Ptaki precz!

I własnym kijkiem chciał jaskółkom gniazdo rozwalić, czemu się wszyscy sprzeciwili, a najwięcej sam chory.

Wtedy zaczął coś bajać o ostrości warszawskiego powietrza, o temperaturach i wiatrach nieprzychylnych. Pani Elżbieta na to, że przecie jest połowa maja i tylko patrzeć, jak się zaczną upały.

Ja wtrąciłem, że wedle tego, co słyszałem, w takim na przykład Królestwie Neapolitańskim szkieł i pęcherzyn w oknach nie ujrzysz nawet w zimie, a przecie ludzie żyją tam nie gorzej niźli u nas, wmurowują tylko w okna mocne kraty, żeby się ladrony[1] nie przeciskały.

Doktór parsknął na mnie jak kot i jął wypytywać o chorobę. Potem orzekł (co ja wcześniej zgadłem), że to dwojaczka. Wyznaczył leki, których nie mogę odczytać, bo pisał trzęsącą się ręką; pójdę do aptekarza, tam się dowiem. Aptekarz każde pismo odczyta, Gorczyn.

*
* *

Pisze Elżbieta. Żwawszy jest dziś, postanowił wstać, słyszę, jak się krząta na górce. Czy aby czego nie szuka?

*
* *

Tu Gorczyn. De Rabeis zapisał Staśkowi beduiński scynk na proszek tarty, z winem pić przykazał.

Od siebie dodam, że scynk to zwierz bez rozumu, płochliwy i smutny, na kształt salamandry stworzony, tyle że większy; w pustyni żyje. Beduinowie psami go szczują, on zaś się w piasku zagrzebuje. Schwytanego wędzą, na słońcu suszą i do aptek sprzedają.

W naszym klasztorze ma być wrychle konterfektu przeora wystawianie. Radosny dla mnie zapowiada się dzień i obiecuję sobie wiele uciechy.

---

[1] Złodzieje — z wł.

*
* *

W dzień św. Zofii. Do licha! Kto ukradł koszulę? Nie miałem nawet czasu jej zdjąć i na kołku zawiesić. Wnoszę z tego, że została ściągnięta ze mnie gwałtem. Najlepsza z moich koszul, odświętna, mecheńską[1] koronką obszyta!

Przez te kilka dni, com chorował, nie dowiedziałem się wiele o wypadkach w Warszawie. Wiem tylko od Gorczyna, że bojarowie chcieli się dostać do kwatery Moniki na Przyrynku. Drabanci miejscy drogę im zagrodzili. Łom-Połamanowa dwakroć sprowadzano na Zamek, gdzie przed podkanclerzym zeznania składał. Kanclerz już zdrów, pracuje, ale przyjeżdża na krótko i po załatwieniu spraw najpilniejszych zaraz wraca do swego pałacu.

De Rabeis, kiedy pytam, czy prędko odzyskam zdrowie, głową tylko kręci i coś tam mruczy, że na febrę swoisty lek trzeba znaleźć. Trwa to nieraz długo i od szczęśliwego przypadku zależy. Jeżeli scynk nie pomoże, powiada, sięgniemy po driakiew złożoną z różnych citrulusów, z soku makówkowego, ckliwicy, wierzbowej skórki zielonej i z innych ziół. Słucham, nic nie mówię, bom przecie czytał książki lekarskie i wiem, że z febrami wielkie jest utrapienie.

*
* *

Pisze Elżbieta. Mija dzień za dniem, lekarstwa nie skutkują. Wczoraj rzucało nim okrutnie, gorączka była uporczywa. Leży teraz, rozmyśla i już do wstawania nie ma chęci.

Gorczyn w klasztorze, gdzie przeorowy konterfekt dziś zawieszają. Nie wiem, kiedy wróci. Powiedziałam, żeby mocno kołatał.

*
* *

Ręką mooo Gooo. Na drugie krzesne imię Alexander, tamten Alexander na niepooodkutym kooo dooo Indii zajechał. Greczyn a ja Gooo, nic mi nie zrooobisz Greczynie. Kooo Gooo...

---

[1] Z belgijskiego miasta Mechelen (fr. Malines), ówczesnego centrum przemysłu tkackiego we Flandrii.

*
* *

Pisze Elżbieta. Nie dziwcie się Gorczynowym słowom bez ładu i składu, bo całkiem pijany wrócił, głową w kandelaber uderzył i tak go rozhuśtał, że aż olej popłynął.

Mości Gorczynie, wołam, coć się stało? A on mi prawi o dobroci serca przeora, o krawcu i żupaniku nowym, jąka się przy tym na literę O i co chwila dryga od czkawki.

Potem podszedł do papierów i czkając bez przestanku, nabazgrał w nich, coście wyżej czytali, zległ na ławie i zasnął.

Dodam dla jasności, że miał na sobie strój całkiem nowy w kolorze wiśni źrzałej. Śpi teraz zacne Gorczynisko, a no, niech mu będzie na zdrowie.

*
* *

Pisze Gorczyn wstydu syty. Jej Mość Pani Elżbietę o przebaczenie błagam, żem po pijanemu próg domu przekroczył, żem plótł trzy po trzy tudzież w fascykule[1] kulfonów różnych nastawiał. O pobłażliwość prosząc, do wiadomości podaję: Święto ku mojej chwale było. W refektarzu zawiesiliśmy przeorowy konterfekt przeze mnie malowany, za co ksiądz przeor tkliwością tknięty żupanik mi ofiarował.

Żupanik wyborny jest, z bogatym kitlikiem[2], w pasie wcięty i kusy, do kolan sięgający wedle dzisiejszego zwyczaju, z flamskiego sukna szyty.

Po zawieszeniu obrazu zaczęła się uczta. Przeor pobłogosławił beczułeczkę z tokajskiej krainy rodem. Ojcowie i goście w me ręce przepijali, a ja na grzeczne słówka musiałem grzecznie odpowiadać. Nie dziw więc, że mnie te ceremonie zmroczyły i na słomianych nogach stanąłem przed panią Elżbietą Elertową, za co ją tu, jak na wstępie, o darowanie winy proszę, Gorczyn.

---

[1] Pliku papierów, tomie dokumentów — z łac.

[2] Z dodatkowym okryciem ochronnym, narzucanym przykładowo podczas podróży, szytym z cienkiego lnianego płótna.

*
* *

Pisze Elżbieta. Mija dziesiąty dzień, żadnej poprawy nie widać. Doktór zagląda do nas co rano, wyznacza różne dekokty[1], ale na dobry lek jeszcze nie wpadł.

*
* *

Pisze Elżbieta. Już dwanaście dni minęło. Dałam u fary na mszę za rychłe Staśka wyzdrowienie. Gorczyn, który go nie odstępuje, też zmizerniał, zamilkł i posmutniał. Nie chce, choć o to prosiłam, robić zapisków w memuarach. Siedzi przy chorym, biega do apteki, a co drugi dzień przynosi naręcza nenufarów.

*
* *

Pisze Elżbieta. Dni lecą jeden po drugim, odmiany na lepsze brak i o otuchę coraz trudniej. Kupuję co rano na Rynku tłustą kokoszę, a jak się uda kapłona i robię dla Staśka mocny rosół. Jutro minie trzecia niedziela od nastania choroby. Bratanek mój nie chce już leków przyjmować, nie chce też pić rosołu. Skórę na twarzy i na rękach ma teraz suchą, rzekłbyś posklejaną z papieru. Oczy zrobiły się wielkie, zapadłe, migotliwe.

Gorczyn sypia przy nim na skrzyni, omywa z potu, zwilża skronie wódką pachnącą, spełnia wszystkie posługi.

Napierałam wczoraj na męża, żeby się zwrócił z prośbą do króla jegomości o zezwolenie wstępu do apteki zamkowej. Kto wie, może tam mają jaki lek na febrę, bo de Rabeis nic nie wskórał, straciłam wiarę w jego umiejętności. Chciał wczoraj bratankowi zapisać miksturę z mumii zasuszonego Egipcjanina, co mnie w roztyrk wprawiło, a Gorczyn powsiadł na doktora i mieli słowną potyczkę.

— Przyznałbyś się waść lepiej — powiedział — że nie umiesz dwojaczki leczyć.

[1] Wywary, wyciągi z ziół — z łac.

De Rabeis, poczytując to za obrazę, drzwiami trzasnął i wyszedł. Po upływie godziny przysłał przez pachołka list, że więcej już nie przyjdzie, a za leczenie należy się dziewięć czerwonych złotych. Słyszane rzeczy! Piotruś powiada, żeby się tym nie trapić, bo wedle zwyczaju płaci się doktorom połowę tego, co żądają, często mniej, czasem też nic, jeżeli źle kurowali.

*
* *

Pisze Elżbieta. Do Warszawy nadeszły cytryny genueńskie, w Rynku je znajdziesz. Wyciskam z nich sok, mieszam z wodą, słodzę cukrem i daję Stachowi do picia. Tym tylko nieborak żyje i grzankami, rosołu nie chce tknąć.

Gorczyn biegał po mieście i szukał nowego doktora. Wykręcają się sianem, do ciężko chorych wolą nie przyjść, bo to na szwank ich reputację naraża.

Piotruś do króla się zwrócił z prośbą o pomoc w chorobie. Król obiecał przysłać doktora Bouchet, no i zapomniał. Zawsze tak z królem.

Dałam na mszę w kościele św. Ducha.

Przyszedł jakiś znachor, chciał Stacha leczyć. Kazał uwiercić szafranu z sadzą, utłuc czosnku, wymieszać, zrobić z tego plastr i przed paroksyzmem na lewą dłoń przykładać. Gorczyn wypchnął go za drzwi.

*
* *

Pisze Elżbieta. Piotruś skorzystał z dobrej chwili i opowiedział królowej o naszej wielkiej trosce. Wezwawszy szafarkę, królowa kazała sprawdzić, czy jest w aptece jaki skuteczny lek przeciw febrze.

Rozmowie była przytomna młoda panna z fraucymeru; ta się ofiarowała, że pójdzie wraz z szafarką i sprawdzi dokładnie leki przysłane dla królowej przez kardynała Mazarina.

Tyle mi Piotruś powiedział i zaraz otucha wstąpiła w moje serce.

*
* *

Pisze Elżbieta. Ostatnia noc wlokła się ciężko i niewieleśmy spali. Bratanka mojego trapiły jakieś widziadła dokuczliwe, kilkakroć zrywał się z łoża i chciał wybiegać przed dom.

— Brońcie — wołał — pomoc dajcie, oni go uprowadzą!

I tak bredził biedak, wyobrażając sobie, że Gorczyna bojarowie napadli, uprowadzili i chcą kołem łamać.

Piotruś, całkiem osłupiały, przemawiał jak mógł najczulej:

— Przecie Gorczyn jest tu, trzyma waści za rękę.

A Gorczynisko powtarzał:

— Jestem, jestem, nie turbuj się, nikt mnie nie porwał.

Łzy napłynęły mi do oczu i odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć na chorego. Jakże się zmienił przez ostatnie dni! Trudno uwierzyć, że to ten sam niegdysiejszy młodzian, za którym młódki rade się oglądały.

Zasnął o świtaniu zmęczony i zgrzany. Spał długo, do południowej godziny. Kubek cytrynowego soku chciwie wypił i pogawędził ze mną. O tym, co się w nocy działo, o urojeniach sennych nie pamięta.

* * *

Pisze Elżbieta. Z apteki zamkowej przysłano lek przeciw febrze. Jakieś patyczki czy wiórki rdzawego koloru, bierze się ich szczyptę i z białym gotuje winem. Poić tym chorego, choćby się wzbraniał, bo lekarstwo gorzkie jest, w smaku szkaradne.

Powiedziała mi to z francuska po polsku stara służebna, ziele przynosząc. Dała też dla bratanka list pieczęcią zamknięty. Zapytywała o jego zdrowie i czy bardzo wychudł. Na odchodnym rzekła, iż owym zielem wyleczyły się z febry różne dworskie persony w Paryżu i Madrycie. Boże łaskawy, wspomagaj!

* * *

Pisze Elżbieta. Zagotowałam w winie patyczki, odcedziłam i dałam mu do picia. Ledwo skosztował, odsunął z obrzydzeniem.

— Goryczą mnie poicie — stęknął.

Namówić się już nie dał. Na moje i Gorczynowe prośby odpowiadał z uporem, że z tego jeno womity będą.

Zdesperowana, nie mogąc znaleźć żadnej pociechy, do fary pobiegłam i modliłam się długo a żarliwie.

* * *

Pisze Elżbieta. Choć Piotruś gorąco namawiał (zabłysnąć chciał przede mną), na ślub Imci Pana Hieronima Radziejowskiego z wdową po śp. Adamie Kazanowskim nie poszłam. Żałoba, sądzę, trwała zbyt krótko i słuchanie muzyki w takim przypadku uważam za rzecz zdrożną. Tym bardziej że u nas w domu smutek panuje, zła choroba.

Wymówek Piotrusiowi nie czyniłam żadnych, boć od tego jest skrzypkiem, żeby grał. No i zagrał swoje concerto tak rzewnie, aż ludziom dech pozapierało. Sam mówił.

Po ślubie, który splendorem przewyższył wszystko, co oglądano w Warszawie, mój Piotruś na ucztę weselną nie poszedł i zaraz się wymknął po otrzymaniu zapłaty. Chciano go bowiem posadzić przy wspólnym stole z hejnuchami, a na ich widok, powiada, chęć do jadła stracił.

Pilno mu też było (i tu wychodzi na jaw cała delikatessa Piotrusia), pilno było na Krzywe Koło biec, dobijać targu z Ormianami. Sprzeczał się z nimi, a oni aż zachrypli od krzyku. Wchodził, wychodził, Ormianie w te pędy za nim, chwytają za ręce, ciągną, do zawrócenia zmuszają. Aż wreszcie kupił pierścień ze smarakiem za pół pierwiastkowej ceny, choć stary Isaakowicz przysięga, że stratny jest.

— Masz — mówi do mnie Piotruś — to za kremońskie skrzypki, żeś mi je w ów dzień pochwaliła.

Objęłam go za szyję. Kamyk prezentuje się cudnie. I byłabym szczęśliwa, żeby nie choroba w moim domu.

* * *

Pisze Elżbieta. Ziołowe wino stoi w kubku na oknie, kubek nakryty miseczką przed muchami. Czerwiec latoś gorący, od czego much się namnożyło. Natrętne owady nie dają zasnąć choremu.

Gorczyn sporządził z włosia końskiego sutą kiść do odpędzania muszej zgrai. Siedzi przy Stachu i bez przestanku wiewa włosiem nad jego rozpaloną głową.

* * *

Pisze Elżbieta. I znów minęło dni kilkoro. Od cytryn i cukru bratanek mój jakby trochę sił nabrał, grzanki też jada chętnie, ale zżyma się na wspomnienie rosołu. Lekarstwa nie przyjął.

Zapisuję nowinę, jak się domyślam, ważną, że do Warszawy zjechali Tatarzy, poselstwo jakieś z Krymu. Przez co na mieście poruszenie jest i wszyscy o tym gadają. Postaram się jednak skłonić Gorczyna do zasięgnięcia języka i niechże wznowi pisanie kronik, które choroba nam przerwała.

* * *

Tu Gorczyn. Na wyraźne życzenia, a raczej na rozkaz Jej Mości Pani Elżbiety chodziłem dziś po Rynku, zaczepiałem znane mi persony i gromadziłem wieści o tatarskim poselstwie.

Dziwnym trafem natknąłem się naprzód na starego Isaakowicza. Omal mnie nie wyściskał i gwałtem na petercyment ciągnął. Pytał też, czy nie potrzebuję lapis lazuli.

Prawda, że do Warszawy zjechał wczoraj wielki poseł krymski Mustafa-Aga, w imieniu chana przysłany. Wiódł go od samego Podola starosta sokalski Imć Pan Denhof, głośną paradę z tego czyniąc.

Tatarzy przeprawili się przez Wisłę szybko i składnie. Węchem jakimś wrodzonym odnaleźli najlepszy bród, a że woda opadła i mielizn pełno, przejechali na drugi brzeg, nie złażąc z koni.

Po przeprawie zaczęli grać na piszczałkach, bili w kotły i łomotali w miedziane talerze. Skierowano ich bez straty czasu do wsi Leszno i tam się na błoniach wygodnie rozłożyli. Sam Mustafa-Aga doglądał zakładania obozu i wznoszenia namiotów

derhowych. Popędzając harapem karego turczynka, jeździł tu i tam, we wszystkie kąty zaglądał i pokazywał, gdzie co ma stanąć. W niespełna trzy godziny wyrosło tatarskie miasteczko, wozami zewsząd opasane. Pośrodku powstał, jak powiadają, placyk niewielki, na którym muzułmański kapelan modły odprawia.

W kilka godzin po przyjeździe Mustafa-Aga pojawił się ze świtą na Zamku, wręczył królowi list od chana i złożył takie oświadczenie: „W lecie, w zimie i zawsze jesteśmy gotowi do wojaczki z Moskwą przy waszym boku. Dajcie tylko znak, na który z niecierpliwością czekamy".

Mustafę-Agę i jego świtę przyjmowano na Zamku z mahometańską ostentacją. Wina im nie podano, bo tego Prorok zabronił, ale fruktów różnych zamorskich w cukrze warzonych najedli się do syta i bez wzdragania przyjmowali wszelkie podarki: broń drogocenną, srebrne kubki, pierścienie złote, futra, tkaniny, siodła. Imć pan Libicki mówi, że po tej ceremonii prywatny skarbiec królewski do reszty opustoszał. Ale trudno, sam król jegomość i obaj kanclerze orzekli, że z Tatarami hojność musi być nadzwyczajna i sprawa warta jest zachodu.

Dla tatarskiego pospólstwa przypędzili pastusi na błonia leszczyńskie stado młodziutkich jagniąt. Żałosny był to widok, powiadają świadkowie, kiedy w spiekocie i kurzu gnano te maleństwa odebrane od matek. Musiałem, rzekł mi mieszczanin jeden, uszy sobie zatkać, gdyż bek jagnięcy nazbyt przypominał dziatek popłakiwanie.

Wiedzcież i zapamiętajcie, że dla Tatara nie ma większych przysmaków nad małe a tłuste baranki. Nadziewają kawałki mięsa na nóż, przekładają łojem, pieprzą suto i solą, potem nad ogniem przypiekają i to się w ich języku nazywa szaszłyk. Jedzą ten specjał, palce oblizując i głośno go chwaląc.

Jak widzicie, Rzeczypospolita kosztów nie szczędzi, byle zyskać sprzymierzeńca przeciw Moskwie. Widzicie też, że miejsce na tatarski obóz wyznaczono po przeciwnej od miasta stronie, żeby się Tatarzy z Moskalami nie spotykali, bo o zwadę nietrud-

no i dla polityki tak wygodniej. Zapisałem w sobotę, w dzień św. Barnaby Apostoła, i tyle na dziś, Gorczyn.

*
* *

Pisze Elżbieta. Ostatnie dwie noce minęły ciężko. Znów zaczyna majaczyć, bredzi coś, straszydła jakieś napastują go we śnie, spokój odbierając.

Pan Andrzej Morsztyn gościł dziś w książnicy, na górkę chciał wstąpić, alem zabroniła. Aby odmowę osłodzić, rzekłam: „Panie Andrzeju, w tej skrzynce leżą nowe francuskie książki. Mój Piotruś nie miał czasu nimi się zająć. Może byście raczyli je obejrzeć?".

Z zadowolenia aż zatarł ręce i pokraśniał. Dałam mu dłuto, młotek, prócz tego list od francuskiego księgarza. Rozbił skrzynkę, powyjmował książki i kilka godzin nad nimi siedział.

Jutro Boże Ciało, chciałabym iść na procesję.

*
* *

Wczesnym rankiem, sprzątając stancję bratanka, stwierdziłam ze zgrozą, że wino ziołowe w kubku zamieniło się w ocet. Zagotowałam więc drugą garstkę wiórków w najlepszym winie z Rywuły[1]. I znów stoi ten lek na oknie, jakby zmiłowania czekając.

Byłam na procesji Bożego Ciała i stało się to, co się zdarza każdego roku: w Rynku rozpędziła nas ulewa z piorunami. Dziewice w bieli, całkiem mokre, z piskiem się rozbiegły. Zdążyłam dopaść do kamienicy wójtowskiej i dzięki temu sucho wyszłam z przygody.

*
* *

Przez całą noc bredził, lekarstwa nie chciał przyjąć. Z trwogą myślę, że może już czas wezwać księdza z olejami świętymi i niech się dzieje wola boska.

---

[1] W winie reńskim.

XVI. PERWAŃSKIE ZIELE

Pisze Elżbieta. Wczoraj wieczór, w dzień św. Marka Ewangelisty, zakołatano do nas ostro. Weszła młoda panna w towarzystwie tej samej starej Francuzki, która ziele i list przyniosła z Zamku.

Powitawszy mnie, panna spytała bez żadnych wstępów, czy Stach wypił lekarstwo. Odpowiedziałam, że nie chce pić. Wtedy w złość wpadłszy, zaczęła tupać nogą i kazała się prowadzić do chorego. Tam z hałasem, na nic nie zważając, wyrwała mi z ręki kubek i przysunęła bratankowi do ust. Musiał pić, choć się zachłystywał, bo go za włosy targała.

Ledwie wypił, z pośpiechem opuściła nasz dom, zapowiadając:

— Nie mówcie nikomu, że tu byłam.

W chwilę potem Stach usnął.

*
* *

Pisze Elżbieta. Piotruś, kiedym mu zdała relację, co zaszło, za głowę się złapał.

— Na Boga — wołał — zamilcz! I nie wspominaj już o tym. Szalona to rzecz i dla nas niebezpieczna.

Spytałam czemu się tak przeraził. Odrzekł, że gdyby się królowa dowiedziała, niechybnie straciłby jej łaski.

Potem, na moje nalegania wyjaśnił, że zuchwała panna, wedle tego, co na Zamku mówią, jest przedślubnym dzieckiem królowej i kawalera Cinq-Mars, zmarłego tragicznie przed ośmiu laty.

Po jego stracie Maria Ludwika wpadła w dewocję i do klasztoru chciała wstąpić. Ledwo ją uproszono, żeby się w podróż do Polski wybrała. Ta panna, Maria jej też na imię, pozostaje dla królowej największą pociechą. Tyle mi opowiedział Piotruś.

* * *

Zagotowałam drugi kubek ziela na winie. Dałam mu i wypił. Taki jest słaby, taki pokorny, że nawet na gorycz nie narzeka.

Boże dobrotliwy, ratuj! Za godzinę powinno się zacząć.

* * *

Minęła godzina i jakoś go nie trzęsie.

* * *

Minęły dwie godziny i paroksyzmu nie ma.

* * *

Czy to cud, czy skuteczność gorzkiego leku? Spodziewana zimnica dziś nie nadeszła, nie zjawiła się też gorączka i majaczeń nie było żadnych.

Przyrządziłam kleik przez sito przecierany, niosę na górę, a on na mój widok powiada:

— Ciotko luba, dajcie lepiej krzynę chleba z masłem, bom głodny.

Prosił potem o drugą kromkę, ale tu Gorczyn się wdał. Wara, powiada, od nadmiernego łakomstwa, bo po takim głodzie o zapalenie kiszek nietrudno.

Przed wieczorem nagotowałam trzeci kubek wina z wiórkami. Tym razem wypił z ochotą.

* * *

Pisze Elżbieta. Dziś wypił czwarty kubek, większy od poprzednich, bom patyków i wina nie poskąpiła. Niechże mu będzie na zdrowie.

Trochę się później skarżył na szum w uszach, że słyszy jakieś bzyki, piski, to znów jakby koła młyńskiego turkotanie. Co mi tam! Niech mu bzyka, niech turkocze, byle do zdrowia wrócił. A toć widzę, że zdrowieje, bo i gada chętniej, i w oczach ma inny wyraz, i na mój widok uśmiecha się łaskawie. Miły Boże, co za radość!

* * *

Siódmy dzień minął od przyjścia panny z Zamku i siedem kubków już wypił.

Podałam mu dziś w południe karasia podlanego śmietaną z tartym serem. Zjadł, same ości zostawił, piwem popił. Potem grał w karty z Gorczynem.

* * *

Stara służebna z Zamku często do nas zachodzi. Wypytuje o zdrowie mojego bratanka i czy lekarstwo przyjmuje. Dziś zostawiła dla niego list. Otworzył zaraz i z uwagą czytał.

* * *

W dzień św. Piotra i Pawła. Na kolanach mam gładką deskę, którą Gorczyn gdzieś wynalazł. Kładę na desce papier i mogę pisać wygodnie, wsparty na wezgłowiu.

O czym tu opowiadać po przebyciu tak ciężkiej choroby? Chyba o leku doskonałym, co ode mnie śmierć odpędził.

Przysłano go na moje imię z królewskiej apteki, a w liście sprzed kilku dni znalazłem skutków tego leku wytłumaczenie.

Są to suche gałązki drzewiny zwanej chinchona, w krainie Peru rosnącej. Odkrył drzewinę, a może od dzikich ludów dowiedział się o niej medyk hiszpański Juan de Vega i naprzód siebie z febry wykurował, potem hrabinie Chinchon, żonie wicekróla, zgonu już bliskiej, zdrowie przywrócił.

Od tej chwili zaczęto nazywać patyczki owe chinchona, przez korupcję chinchina albo quinquina, czasem china dla większej krótkości. W Paryżu za nie płacą niesłychane pieniądze, bo tylko

z Madrytu sprowadzić je można, a tamtejszy dwór srodze jest o patyczki zazdrosny.

Szczęśliwie się złożyło, że Jego Wielebność Kardynał Mazarin, naszej Królowej druh niezłomny, przysłał dla jej apteki słój tych drewienek, ja zaś pierwszy z ich dobroczynnej mocy korzystam.

Stało się to, nie będę ukrywał, za sprawą przyjaznej mi panny M. d'A. z fraucymeru królowej. Jakże jej teraz podziękuję za dobroć? Będzie to rzecz trudna, nawet bardzo trudna, gdyż różne intencje, zamysły i zamiary misternie się tu pogmatwały.

*
* *

Pisze Gorczyn. Kraj Peru, częściej zwany Perwańskim Królestwem, bardzo jest bogaty; olim[1] własnych miewał królów ze sławnej familii Inkas od Hiszpanów niemiłosiernie wygubionej.

Rządzi tam vice-rex hiszpański z pomocą okrutnych hetmanów, którzy dla złota żadnej się zbrodni nie brzydzą.

Stolicą kraju Lima, miasto niemałe i tym się odznaczające, że je częste trzęsienia ziemi nawiedzają tudzież, że się tam urodziła błogosławiona Róża z Limy (o zeszłorocznych cudach na jej grobie niedawno przeor mi mówił).

Perwańskie Królestwo leży sub zona torrida[2], co wielkie sprawuje gorąco, z lekka tylko cieniem gór Andów utemperować się dające.

Góry Andes są dwojakie: srebrne i złote. Przy srebrnych 20 tysięcy niewolników nad jeziorem Titikaka srebro kopie, przy złotych, zwanych też Gwankawelikańskimi Andami, kamyki złote leżą w potokach; idź i zbieraj ku chwale vice-rexa. Jeślibyś atoli grudkę jaką ukrył, a znajdą przy tobie, biada nieszczęsny zbieraczu, śmierci i mąk nie ujdziesz. Do gęby ci naleją roztopionego ołowiu, bo taki panuje tam nieludzki obyczaj.

Kiedy admirał Pizarrus, na imię mu było Franciszek, zabrał w niewolę króla perwańskiego Agatwalpę, ów okupując się, dał

[1] Przed laty, niegdyś — łac.

[2] W strefie podzwrotnikowej — łac.

tyle złota, ile w komnacie, gdzie siedział, zmieścić się mogło. A miała ona wzdłuż łokci 22, wszerz 16, na wysokość tyle, że rycerz z dobytym mieczem ledwo mógł sięgnąć suffitu. Ale i to Agatwalpy nie ocaliło, zginął z rąk wiarołomnych Hiszpanów.

W królestwie wisi most słomiany na 300 łokci długi i tak mocno upleciony, że po nim bydło rogate przeganiają bezpiecznie.

Niedaleko miasta Cuzco, na folwarku ojców jezuitów jest sadzawka, nigdy innych czasów jeno w Wielki Post, od Popielca do Wielkiej Soboty, ryby wszelkiego rodzaju w sobie mająca, lubo tam żadnej nikt nie wpuścił. Te ryby w obfitości przez cały post same do matni włażą, a potem nie spotkasz już ani jednej (teste Josepho á Costa).

Insuł w Perwańskim Królestwie niemało, ale jakie ich imiona, nie wiem. Wiem za to, że leków skutecznych, gwajaków[1] różnych i ziół bogactwo tam nieprzebrane, czego szczęśliwy przykład mieliśmy tu, w tym domu. Koniec, Gorczyn.

*
* *

W dzień Nawiedzenia NMP. Przysłano z Zamku drugi woreczek perwańskiego ziela, tamten się już skończył. Zacna ciotka Elżbieta poi mnie co rano odwarem, a ja na gorycz już nie sarkam, boć to tak, jak gdybym pił samo zdrowie.

Od pierwszego kubka zimnica pierzchła, po drugim kubku uporządkowały się myśli w mojej głowie, po trzecim poczułem chęć do życia, po czwartym miałem szum w uszach i różne łoskoty, co przypisuję gorliwości ciotczynej. Zbyt wiele ziela do wina wsypała, wspominała o tym.

Każdy następny kubek sił dodawał i oto, patrzcie ludzie, jestem już na wyzdrowieniu. Lada dzień zejdę na dół i do książek

[1] Roślin leczniczych. Z gwajakowca, południowoamerykańskiego wiecznie zielonego drzewa, wytwarza się środek odkażający i wykrztuśny. Ówcześnie substancja ta, podobnie jak ekstrakt z liści koki, uważana była za lekarstwo na syfilis, przywleczony do Europy przez marynarzy Kolumba.

się wezmę. Przez ten czas poprzychodziły nowości z Krakowa tudzież z innych miast polskich i obcych.

Ciotka mówi, że czasu mojej choroby zaglądali tu różni goście, najczęściej pan Andrzej i imć pan Libicki. Chcieli się dostać na górkę, ale ich nie wpuszczała, żeby nie zamęczyli mnie rozmową.

Zastanawia mnie wieść o poselstwie tatarskim, z czym przyjechali? I jaki skutek to wywrze na nasze targi z Moskwą?

Przed dwoma dniami Gorczyn przeniósł się do klasztoru. W nowej szacie wygląda strojnie i zuchowato. Konterfekt zrobił w Warszawie poruszenie. Do refektarza cisną się ciekawi, a niejeden przynosi wina gąsiorek, by przepić z przeorem i jego wybornym malarzem.

Największy podziw wzbudza anioł, niektórzy goście bowiem coś tam sobie przypominają, toteż poklepują Gorczyna po plecach i w jego ręce piją. Wskutek takiego traktowania Gorczyn podpity jest i chodzi chwiejny, jakby miał nogi z kłokoczyny[1] strugane.

* * *

Tu Gorczyn. No, no, nie taki znów podpity, skoro na Lesznie był w obozie i z Tatarami rozmawiał.

Bitny to naród, z koniem na wieki wieków związany. Mówił mi Tatar jeden, że bez rżenia ulubionego konia zasnąć by nie mógł.

W ciągnieniu kuchnia tatarska mieści się pod kulbaką, dokąd surowe mięso źrebięce kładą. Tam w pocie zagrzanego konia, niby w rosole, parzy się ta chapanina i dla muzułmańskiego żołądka czyni się strawna.

Ciężkich robót Tatarzy nie lubią, od tego mają niewolników, sami zaś siedzą w kilkoro przy ognisku i liczą swoje wiktorie albo myślą o nowych. Oręż ich: szabla, łuk i strzały, broni palnej nie cenią. Na głowie noszą krymki. Religię wyznają turecką, a ci,

[1] Z drewna kłokoczki, ze względu na jego dużą twardość i wytrzymałość, wyrabiano bardzo różne przedmioty — od zabawek aż po okładki książek.

którzy rodem z Wielkiej Tartarii, pozarażali się od sąsiadów różnymi superstycjami[1] i sami nie mogą dojść, w co wierzą. Tyle na dziś, Gorczyn.

* * *

Niedziela, dzień św. Jacka. Wszyscy z domu wyszli, sam ostałem i korzystając z ciszy wielkiej, sporządziłem list czuły na drogim papierze w odcieniu kości słoniowej. Majuskułę[2] narysowałem czerwienią i złotem. Zacząłem od podziękowań za przywrócenie zdrowia, opisałem dalej, co się ze mną zdarzyło po wypiciu z jej rąk wina z perwańskim zielem, nazwałem ją aniołem moim opiekuńczym, wyraziłem radość z odzyskanego życia i na zakończenie ślubowałem wdzięczność dozgonną.

Ani jednym słowem nie wspomniałem, czego się domagała, bym napisał: że jest moją najukochańszą panną, że tylko o niej myślę we dnie i w nocy, że poza nią świata nie widzę. Wszystko to pominąłem, zagubiłem w potoku słów tkliwych a nic nie znaczących. Tak, udał mi się list i jestem z niego rad. Niechże sobie leży w sekretarzyku i czeka. Lada dzień powinna przyjść stara jejmość z fraucymeru; zabierze go i odda, innych dróg wolę nie szukać.

* * *

Poniedziałek po św. Jacku. Odwiedził dziś księżnicę pan Andrzej z porucznikiem Zaćwilichowskim, co mi sprawiło radość ogromną. Imć Libicki nie przyszedł, zbyt jest zajęty, wolnej chwili nie ma.

Na Zamku wszyscy zapracowani, a najwięcej kanclerz, bo wciąż przyjmuje Moskali i Tatarów, politykując na dwie strony. Godziny spotkań musi tak wyznaczać, żeby Mustafa-Aga nie zetknął się z Puszkinem, bo kiedy raz się zeszli w westybulu zamkowym, wynikło z tego zgorszenie, hałas był i bieganina po schodach.

[1] Przesądami, zabobonami — z łac.

[2] Dużą, ozdobną literę.

Mustafa-Aga na widok posła moskiewskiego, zaczął wołać po polsku:

— Kozo brodata, bo ci brodę utnę!

I za rękojeść szabli chwycił. Puszkin w nogi, na schody, Tatar za nim. Dopiero straż zamkowa ich rozdzieliła.

Innym razem, kiedy się przypadkowo spotkali, Mustafa-Aga naubliżał moskiewskiemu posłowi, wołając też po polsku:

— A kysz, babo przebrana, do kądzieli!

Łajał go tak w żywe oczy i szablą groził, obiecując, że Tatarzy w pień powycinają Moskali*.

Po każdym takim zdarzeniu Puszkin biegł do kanclerza i żalił się na Mustafę, robił też senatorom wyrzuty, że się z bisurmanami kumają. Ze swej strony Mustafa-Aga czynił wymówki kanclerzowi, że nazbyt honoruje Moskali, którzy nie są godni takich zaszczytów.

Od tego, powiada porucznik Zaćwilichowski, naprężenie polityczne wzrosło. Puszkin jednego dnia grozi, że wyjedzie bez odnowienia paktów, drugiego znów dnia usiłuje skłonić kanclerza do zmowy przeciw Tatarom, powołując się na wspólną wiarę chrześcijańską.

Król, jak zwykle, kaprysi i rad by do ulubionego Nieporętu wyjechać, a tu ani rusz.

Pan Andrzej powiedział, że rotmistrz Okoń dostał surową naganę od generała Ubalda za zbytnie bratanie się z Tatarami. Mówią, iż to on właśnie, a nie kto inny nauczył Mustafę-Agę wołania „Kozo brodata" i różnych podobnych w tym rodzaju ponauczał go słów nieprzystojnych.

* * *

---

* Incydenty te wraz z wyrzeczonymi słowami zanotował Wespazjan Kochowski (1633–1700) w *Climacterach*; ich tłumaczony z łaciny wybór ukazał się w 1840 r. w Poznaniu, pod tytułem: *Historya panowania Jana Kazimierza*. Pikanterii dodaje szczegół, że w XVII stuleciu język polski był na Wschodzie Europy językiem dyplomatycznym. Chan krymski korespondował z carem po polsku.

Przychodziła stara jejmość z fraucymeru pytać o moje zdrowie. Dałem jej list do panny i wsunąłem, jak zwykle, półtalarek do ręki, za co podziękowała. Kiedym list składał i pieczętował, pochwaliła inicjał złoty, mówiąc...

[W tym miejscu brak kilkunastu kartek pamiętnika]

* * *

Taki dziś jestem zdrów i silny, że chyba się wybiorę na ryby z Gorczynem. Chciałbym wyjść po wieczerzy i spędzić noc w Siekierkach nad Wisłą. O świtaniu najlepsza z rybami zabawa.

* * *

Tu Gorczyn. Na ryby pójdę rad, choć jeszcze nigdy ich nie łowiłem. Koniec, Gorczyn.

* * *

Przed naszym pójściem na ryby gościa miałem nadzwyczajnego. Zajęty byłem dobieraniem haczyków, pławików i linek, tłumaczyłem Gorczynowi na czym polega rybołówstwo, gdy do drzwi weszła Monika. Ubrana skromnie, bez barwiczki na licach, położyła na ławie naręcze świeżych kwiatów.

— To z mojego ogrodu — rzekła. — Przyniosłam dla waćpanów ze szczerej przyjaźni.

I opowiedziała o zmianach, jakie zaszły w jej życiu. Łom-Połamanow, po pamiętnej ucieczce, ukrył się u niej na Przyrynku i przez dłuższy czas nie wychodził, lękał się bowiem o własne bezpieczeństwo. Moskale urządzali na niego zasadzki, dostawał sfałszowane pisma niby to od rodziców. Dopiero przyjazd Tatarów kres tym zakusom położył.

Kiedy się uspokoiło, Monika zaprowadziła Łom-Połamanowa do bazyliańskiego księdza, który udzielił im ślubu. Kupili za murami dworek ze sporym ogrodem i teraz są ogrodnikami. A wszystko stało się w czasie, kiedym na febrę chorował.

— Za trzy kwartały — mówiła Monika — wniosę opłatę do ratusza i postawię na Rynku kram z zieleniną. Dobrze nam się układa; mam chłopa krzepkiego, będzie pilnował ogrodu i sadu, po to go sobie wzięłam, a ja sprzedażą fruktów i jarzyn się zajmę.

W całej historii najwięcej wzburzyło Monikę posądzenie jej męża o kradzież dwustu dukatów.

— Wierzajcie mi — mówiła — że nawet jednego dukata nie miał przy duszy, kiedy pod moje okno zajechał i ze strachu, a może z pośpiechu, zwalił się koniowi przez łeb. Dom i ogród kupiłam z własnych oszczędności, bom nigdy nie była rozrzutna.

Dowiedziawszy się, że jej podobizna już wisi w refektarzu klasztornym, rzekła:

— Kiedyś, gdy będę godną matroną, zajdę tam i sama siebie obejrzę*.

---

* Monika zapomina, a może nie wie, że bez zezwolenia biskupa kobiety nie mogą wchodzić poza klauzurę klasztorów męskich.

XVII. DYMEK NA RYNKU

W dzień św. Anny. Prostaczkom szczęście sprzyja. Gorczyn, który nigdy dotąd w ręku nie miał wędki, wrócił z nadzwyczajnym obłowem, z węgorzem niespotykanej wielkości.

Dzieliła mnie od niego kępa koślawych wierzb i nawet nie bardzo uważałem, jak sobie radzi. Byłem zajęty własnymi wędkami, byłem też trochę zły, że mi tak podle idzie. Bo co miałem? Kilka drobnych płotek, miętusy dwa, leszcza i brzankę złotopiórą. Na całą noc mitręgi za mało.

A tu słyszę trzask łamanego chrustu. Coś się po tamtej stronie wierzbiny zakotłowało, coś plusnęło.

— Stój! Rety! — drze się Gorczyn.

Spoglądam w jego stronę, a on ostatkiem sił mocuje się z wędką, ciągnie do siebie. Tamto coś targa linkę i prze w głąb wody.

Skoczyłem z pomocą. Wspólnymi siłami wyciągnęliśmy potwora, węgorza długości czterech stóp i grubego jak moje przedramię. Los zrządził, że kiedy znalazł się na ziemi, spadł nam z haka i sunie prosto do Wisły.

W tej samej chwili od natężenia muszkułów przewróciłem się w tył, Gorczyn zasię hyc, hyc do węgorza, chce łapać, ten mu się z palców wyślizguje.

— Piaskiem — wołam — piaskiem go, piaskiem!

I zrywam się na nogi. Gorczynisko w lot pojął i zaczerpnąwszy w dłoń piasku, złapał za ogon, ja w sukurs, za łeb z drugiej strony i tak gada obaj ciągniemy na łąkę.

Tam, śród murawy, widocznie zgłupiał, bo stracił kierunek i zaczął się rzucać w różne strony. Kazałem przynieść Gorczynowi kobiałkę i z niemałym trudem wtłoczyłem do niej węgorza. Ledwie się zmieścił. Inne ryby, wcześniej złowione, precz odrzuciłem i nadarłszy łyka, omotałem kobiałkę, żeby się nie wymknął.

W wesołym nastroju, żarty strojąc z byle czego, wyruszyliśmy w drogę powrotną wzdłuż Wisły. Gorczyn, rad z siebie, bardzo pięknie śpiewał. Słońce wzeszło, z dala dolatywał głos dzwonów porannych na Anioł Pański.

— A to się jejmość ciotka ucieszy — mówił Gorczyn — takiego węgorza na stół można by podać królewski.

* * *

Niefrasobliwy nastrój Gorczyna i mój zmienił się po powrocie do Warszawy. Wszystko, co się potem stało, trzeba opisać rzetelnie, z zastanowieniem, a tu spać się chce, bom przecie noc przemarudził nad Wisłą.

Kiedyśmy zasiedli do rannej polewki, ciotka Elżbieta, pochwaliwszy węgorza, pozwoliła nam w spokoju spożyć posiłek, a potem rzekła:

— Wiedzcie, moi mili, że na Rynku zbiegowisko jest i Piotruś już tam poszedł.

— Zbiegowisko? A z jakiej racji? — pyta Gorczyn.

— Kat będzie palił książki przeciwko Moskwie napisane.

— Książki?

— Tak. I w pierwszym rzędzie waściną.

— Kiedy to ma być?

— Zaraz po nabożeństwie u fary.

Gorczyn się zerwał, ja za nim.

* * *

Na Rynku ludzie się ciżbili głowa przy głowie. Idąc tam, myślałem spotkać pana Piotra albo innych znajomych, ale gdym spojrzał na ten ścisk, na niezwyczajne mieszczan pomieszanie z pospólstwem i drobną szlachtą, zacząłem już jeno troszczyć się o wygodniejsze miejsce. Dotarliśmy z Gorczynem do Zapiecka, skąd dało się widzieć Ratusz i ustawiony przed nim stół.

Za stołem na ciężkiej ławie siedzieli: Żemczug, Karawan-Warłaamow, Gawryła Leontjew (pisaniem czegoś zajęty) i kilku innych Moskwicinów. Oddzielnie siedział na zydlu Libicki, tuż przy nim garbaty skryba z Zamku, a przed nimi leżały książki przeznaczone na ogień. Za Libickim pachołek stał do pomocy i już więcej Polaków nie było.

Piszę o Polakach przy stole, bo na uboczu czekał jeszcze kat z czeladnikiem katowskim, a z czterech stron stołu ustawili się piechurzy królewscy, którym przewodził oficer znany mi tylko z oblicza, siwy już choć nie stary.

Pomyślałem sobie, że gdyby ktoś w tłumie zawołał: „Bij, zabij!", to bojarzynowie znaleźliby się w tarapatach. Ale nie, przewidziano to. W ulicy Jezuickiej stała w pogotowiu dragonia, com odgadł po rżeniu koni, i skąd po chwili wynurzył się jeździec, porucznik Zaćwilichowski.

Gorczyn rzekł:

— Myślę, że nie w smak porucznikowi asystować takim ceremoniom.

Spojrzał potem na kata i dodał:

— On też, jak się zdaje, nie bardzo jest rad.

Właśnie kat łajał za coś swego pomocnika, całą siłą płuc dmącego w garnek z żarem, skąd po każdym dmuchnięciu wylatywał biały obłoczek dymu. Za moimi plecami ktoś rzekł:

— Oby sława Rzeczypospolitej nie uleciała jak ten dym.

Obejrzałem się, rozmawiali dwaj mieszczanie. Ten drugi odparł, że nic nie jest wieczne i dodał:

— Ksiąg całych nie rzucą w ogień, jeno powydzierane kartki.

— Waść w tym widzisz pociechę? — spytał pierwszy.

— Nie, nie widzę, powtarzam rzecz zasłyszaną.

Przy stole zrobił się ruch. Libicki rzekł coś do Moskali i skinął na kata, żeby się przybliżył. Potem Libicki sięgnął po leżącą na wierzchu książkę.

— Moja — mruknął Gorczyn.

Kat tymczasem ułożył na ziemi piramidkę z drewienek, wytrząsnął z garnka nieco czerwonych węgli, a kiedy wszystko zajęło się płomieniem, dorzucił smolnych szczap.

Tłum zaczął napierać, my też idziemy naprzód. Libicki otworzył książkę, odliczył kilka kartek, zagiął je w rogu i podał Moskalom do sprawdzenia. Wtedy Gawryła Leontjew zajrzał do swoich papierów i porównawszy teksty, rzekł coś do Żemczuga, a tamten skinął głową.

Na Rynku zapanowało tak wielkie milczenie, żem słyszał kartek szelest. To Libicki wyrywał skazane na ogień paginy z Gorczynowej książki. Ujął je następnie w długie żelazne szczypce od kominka i podał katu; bał się widać, by sobie nie zabrukać dłoni katowskim dotykiem.

A kat sięgnął po czerwony kaptur, co mu na karku zwisał i zakrył nim czoło.

Gawryła Leontjew pisał coś pilnie. Pochylony nad nim Karawan-Warłaamow patrzył na pismo. Od czasu do czasu podpowiadał jakieś słowa.

Pierwsza karta padła na gorejące szczapy i zabłysła wesołym światełkiem. Ktoś westchnął, ktoś obok mnie cicho zaklął. Widziałem, jak pan Serafin Bouffał, stary Litwin osiadły w Warszawie, rzewnymi łzami płakał. Córka mu szmatką nosa ucierała, tkliwymi słowy coś tłumacząc.

Kat spełniał swoją powinność spokojnie, bez pośpiechu. Jeszcze niżej opuścił kaptur, aż na oczy, i rzucał w ogień kartka po kartce, czekając, póki się w popiół nie obrócą.

Gorczyn milczał, choć to jego dzieło, jego myśli i słowa szły w katowski ogień. Milczał też cały naród zgromadzony na Rynku. W ciszy ogromnej, gorszej od wrzawy, słyszałeś jeno szepty.

* * *

Stało się, już po wszystkim[1]. Katowski pomocnik przyniósł wiadro wody i zalał ognisko. Okaleczone książki odłożono na bok. Żemczug i Karawan-Warłaamow zamienili kilka słów z Libickim, potem zabrali książki, coś tam sprawdzili, zawinęli je w płótno i owiązali z wielką starannością.

Przy wylocie Wąskiego Dunaju ukazał się trębacz na koniu. Co widząc Gorczyn rzekł:

— Nie dość, że kat zhańbił książki, to jeszcze otrąbią moje imię.

Libicki marudził, ugniatał wosk palcami. Po chwili wyjął ze szkatułki pieczęć i przycisnął do zawiniętych w płótno książek.

— Pod królewską pieczęcią pojadą do Moskwy — szepnął Gorczyn.

Kiwnąłem tylko głową, bo nie było czym go pocieszać. Rynek wciąż milczał. Ach, pomyślałem sobie, żeby choć zaczęto złorzeczyć, żeby choć rozruch jaki wynikł. Ta cisza przypomina obrzęd pogrzebowy.

Przy Wąskim Dunaju zabrzmiała trąbka. Tłum z wolna ruszył w tamtą stronę. Skorzystaliśmy z luźniejszej drogi, by podejść do czworoboku żołnierzy i spojrzeć, co się dzieje.

Garbaty skryba skończył właśnie pisanie i podał Libickiemu papier do przeczytania. Leontjew też był zajęty pisaniem. Żemczug, trzymając pod pachą książki zawinięte w płótno, niefrasobliwie gawędził z resztą bojarów. Moskale mieli miny zuchowate i wydawali się radzi z tego, co zaszło.

Z oddali doleciał głos trębacza, który odczytywał proklamację królewską:

— Zabrania się kupować... Zabrania się czytać... Kto by posiadał te książki, ma je zniszczyć...

---

[1] Nie jest pewne, czy opisanej powyżej egzekucji dokonano rzeczywiście na Rynku Starego Miasta. Wspominany już Radziwiłł podaje w *Pamiętniku...*, że kilka kartek wydartych z książek nienawistnych Moskwie spalono na terenie prywatnych zabudowań marszałka Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, co i tak zresztą odbiło się szerokim echem wśród warszawiaków.

Żemczug obejrzał się gwałtownie, aż mu się perła zakołysała pod uchem.

— Wot i on! — zawołał wskazując palcem trębacza.

Moskale powskakiwali na ławę. W tej chwili oczy moje spotkały się ze zmęczonym wzrokiem Libickiego. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Popatrzył na mnie chwilę i jak winowajca pochylił głowę nad papierami.

Żemczug zaczął przywoływać trębacza:

— Ej, czełowiek, idi-ka siuda!

Widząc, że trębacz nic sobie nie robi z jego nawoływań, zwrócił się do Libickiego:

— Kak że tak, panie Libickij, da wied my toże[1]...

Nie dokończył zdania, gdyż w tej chwili za moimi plecami powstał zamęt, na kamieniach zastukały podkowy, ludzie się rozstąpili i z Zapiecka wyjechał rotmistrz Okoń.

Nigdy nie widziałem rotmistrza w takim podnieceniu. Śmignął konia po łbie, potem go nagle zahamował i znów pchnął naprzód. Oczy miał rozbiegane, mamrotał głośno:

— Panowie, panowie... Jezus, Maria!

Libicki zerwał się, stanął przed stołem i rozłożył ręce, jakby chciał Moskali osłonić. Siwy oficer, dowodzący czworobokiem, krzyknął coś do żołnierzy.

Skoczyłem na bok przed koniem, gdyż rotmistrz parł wprost na mnie i na Gorczyna. Skomlącym głosem powtarzał:

— Panowie bracia, co to, co to? Panowie bracia...

Odskakując, potknąłem się o kamień i runąłem jak długi. Zostałem kopnięty w skroń, aż mi w oczach zamigotało, potem inna noga uderzyła w brzuch. Słyszałem wrzawę, tupot, jakieś wołania i słowa komendy.

Gorczyn podniósł mnie, wziął pod ramię i pomógł dotrzeć pod okap jednego z domów; pytał, czym cały. Byłem tylko oszołomiony, posiniaczony i unurzany w pyle ulicznym. Miałem też rozdarty rękaw. A tymczasem na Rynku zamęt się zwiększał. Dostrzegłem wywrócony stół i konia z pustym siodłem. Widziałem przez chwilę bojarów pochylonych nad ławą, na której ktoś leżał. Widziałem też siwego oficera, jak komuś żywo coś tłumaczył. Zaczęto wołać:

— Na bok, na bok!

Z ulicy Jezuickiej wynurzyli się dragoni. Zaćwilichowski przemknął mimo nas, ruchem ręki wstrzymał jeźdźców i ruszył ku wywróconemu stołowi.

Tłum, który się był odsunął, zaczął znów napierać. Odtąd niewiele już mogłem dostrzec. Gorczyn, jako wyższy, stawał na palcach i patrzył ponad głowami. Poczułem nagle, że mnie ściska za łokieć.

— Niosą go — szepnął.

— Kogo?

— Żemczuga... Łeb ma rozpłatany, krwią się zalał. Do Ratusza go niosą.

Zamieszanie na Rynku wzrosło. Usłyszałem głos Zaćwilichowskiego:

— Dragoni, do mnie!

Naród zaczął się cofać, ustępując miejsca wojskom. Stojąca blisko niewiasta zapiszczała ze strachu. Ludzie wyglądający z okien coś sobie wzajem pokazywali, czego ani ja, ani Gorczyn nie mogliśmy dojrzeć.

Przed wejściem do Ratusza, dokąd schronili się Moskale, drabanci miejscy powstrzymywali tłum. Widziałem, jak zagradzają wejście halabardami. Siwy oficer, skrzyknąwszy piechurów, pośpieszył halabardnikom na pomoc.

Z drugiej strony Rynku ruszyła dragonia, pędząc przed sobą pierzchających. Ludzie chowali się, gdzie kto mógł; ten wpadał do sieni, ten do sklepu zbiegał, inni cofali się tuż przed końskimi łbami. Rozlegały się przekleństwa niedobre i kobiecy lament.

Gorczyn i ja, przyparci do zamkniętych drzwi pod okapem, staliśmy w miejscu. Po dłuższej chwili zamieszanie minęło, zapanował jaki taki ład. Żołnierze piesi utworzyli kordon przed

[1] Przecież my też... — ros.

Ratuszem, dragoni uformowali się w czwórki. I znów usłyszałem głos porucznika Zaćwilichowskiego. Zawołał:

— Mości rotmistrzu, proszę o broń!

Rozległ się głośny szczęk, szabla upadła na kamienie.

Po słowach komendy dragoni ruszyli stępa i zaczęli skręcać w ulicę Świętojańską. Na końcu ciągnęła ich dwójka, między końmi szedł rozbrojony rotmistrz Okoń. Tuż za nim jechał porucznik Zaćwilichowski, trzymając jego szablę.

— Wracajmy — rzekł Gorczyn.

— Wracajmy.

* * *

Choć się ciotka starała, choć suto węgorza przyprawiła, nie w smak nam był. Milczeliśmy przy stole jakby zawstydzeni i nikt nie wiedział, co mówić. Pan Piotr, prawie nie tknąwszy obiadu, zaczął się bawić łyżkami, podrzucając je w górę i łapiąc.

— Połóż, Piotrusiu — rzekła ciotka. — Wiesz przecie, że mnie to drażni.

Potem ja niechcący rozsypałem sól na stole, a pan Piotr się przeląkł złego znaku. I wszyscy, nie wiedząc dlaczego, gotowiśmy byli się sprzeczać o byle drobiazg, taka nas złość ogarnęła.

Dowiedziałem się później, że ta sama złość ogarnęła całą Warszawę. Tłum po raz drugi szturmował Ratusz, chcąc się dobrać do schowanych tam Moskali. Nieco później ogromna ćma narodu, mieszczan, szlachetków i pospólstwa, pociągnęła drogą na Kałęczyn. Wysłano setkę dragonów, którzy obstawili poselski dwór.

Aż do wieczora trwało to zgiełkliwe oblężenie. Nikt przy tym nie ucierpiał, złość ludzka w łajaniach i pogróżkach ujście znalazła.

* * *

Dowiaduję się, że wobec wypadku z Żemczugiem wymiana gramot potwierdzających pokój wieczysty, przewidziana na dziś, nie nastąpi.

* * *

W dzień po św. Annie. Żemczug ma na łbie ranę ciętą, ale nie głęboką. Odwiedził go chirurg królewski Bouchet, pozszywał co trzeba i przysłał plastry z apteki zamkowej.

Bouchet, który źle po polsku gada, a po moskiewsku nic nie rozumie, nie mógł dojść do ładu z Moskalami. Okazało się później, że ranny Żemczug żąda tryżdy sorok dukatów za uszczerbek na zdrowiu.

W mieście spokój, ludzie zmarkotnieli i niechętnie mówią o wczorajszym.

* * *

Rotmistrz Okoń siedzi zamknięty w wieży. Zrozpaczony Zaćwilichowski chciał go odwiedzić, ale nie mógł się tam dostać. Strzegą więźnia, rzekłbyś, niby pospolitego przestępcy.

* * *

Podburzeni przez pana Andrzeja oficerowie chodzili prosić podkanclerzego, żeby się ujął za rotmistrzem. Usłyszeli taką odpowiedź:

— Zważcie, mości panowie, że póki Moskale tu są, nie możemy zwolnić rotmistrza nawet na parol oficerski. Bo też biedy nam narobił, niech go licho porwie! Przez jego postępek rokowania z Moskwą zerwane. I to w takiej chwili, po katowskim występie na Rynku!

* * *

Dowiaduję się z Kałęczyna, że na dziedzińcu poselskim ruch. Moskale ładują wozy, jak gdyby lada chwila zamierzali wyruszyć w drogę.

* * *

Libicki był na Kałęczynie i z polecenia kanclerza wręczył Żemczugowi sto dwadzieścia dukatów, ile ten żądał. Wypłata zajęła dużo czasu, bo nieufni Moskale każdy pieniądz ważyli i sprawdzali dźwięk, uderzając o płaski granit.

Rzecz ważna: jutro nastąpi spotkanie kanclerza z Puszkinem bez żadnych świadków, nawet bez protokolanta.

* * *

W dwa dni po św. Annie. Puszkin pojawił się dziś rano na Zamku. O czym rozmawiano, nikt nie wie. Krąży pogłoska, że ma się stać coś haniebnego dla Korony.

* * *

W dzień św. Marty. Zapisuję, com się dowiedział od Libickiego i od garbusa z kancelarii królewskiej.

Puszkin wymógł na kanclerzu wydanie tablicy marmurowej, leżącej na pustym grobowcu carów Szujskich w Warszawie*.

Marmur wyłamano w nocy, żeby nie robić zbiegowiska i zaciągnięto czwórką koni na Kałęczyn. Tam czekał poseł ze świtą i uroczyście witał tablicę przy świetle łuczyw, ze śpiewem popów i w dymie kadzideł.

Tablica pojedzie do Moskwy. Czytać na niej mogłeś o zwycięstwach króla Władysława nad Moskalami, o zdobyciu Smoleńska i zabraniu w niewolę cara z jego braćmi.

Tu dodam, iżby potomność nie zapomniała, że król Władysław z dobroci serca swego jeszcze w roku 1635 kazał trumny ze zwłokami carów odesłać do Moskwy, a tylko tablicę zatrzymał.

Dziś, po piętnastu latach, znika ostatni ślad widomy pobytu carów moskiewskich w niewoli polskiej.

---

* W 1610 r. Stanisław Żółkiewski wziął w Moskwie do niewoli cara Wasyla Szujskiego i jego braci; jeńcy zmarli dziewięć lat później w Warszawie, w czasie epidemii. Pochowano ich w specjalnie postawionej kaplicy, zwanej „Moskiewską". W 1668 r. obok pustej kaplicy rozpoczęto wznoszenie kościoła dominikańskiego. Oba budynki rozebrano w 1818 r. i obecnie na tym miejscu stoi Pałac Staszica.

XVIII. ZAKOŃCZENIE

Nie ma ich już w Warszawie, odjechali. Na Kałęczynie pracują cieśle, murarze, kamieniarze i szklarze, bo Moskale na odjezdnym szkód narobili wielkich, niszcząc co się da. Nawet do studni nawrzucali gnoju, padliny, bebechów i wszelkiej ohydy.

* * *

Odbyło się wczoraj na Zamku obopólne odczytywanie gramot z potwierdzeniem wieczystej przyjaźni. Co gdy się stało, Puszkin i bojarzynowie poszli do króla rękę mu ucałować. Król, podpisawszy gramotę, podał ją Puszkinowi, a ten wręczył królowi swoją, podpisaną przez cara.

Przyniesiono potem z kancelarii imienne sauf-conduity[1] dla posła i jego bojarów. Na pożegnanie Moskale pili gorzałkę ze srebrnych czarek, które zezwolono im zabrać.

Odjazd nastąpił dziś wczesnym rankiem, w dniu 31 lipca wedle grzegorzańskiego kalendarza. Przeprawy przez Wisłę pilnowali dragoni, a tłum złorzeczył Moskalom. Co napaleńsi mówili, że lepiej było pakta pozrywać i wojnę sposobić. Na to odpowiadali rozsądni, że naprzód trzeba rany wyleczyć, że kanclerz przez

---

[1] Glejty, przepustki — z franc.

potępienie książek i wydanie marmurowej tablicy wojen nam zaoszczędził*.

*
* *

Na mieście powtarzają słowa kanclerza. Rzekł on do senatorów: „Udało się oto sklecić pokój i odsunąć wojnę na kilka lat". Ktoś wtrącił: „Wasza to zasługa, panie kanclerzu". A kanclerz odpowiedział: „Więcej się tu przyczynił Mustafa-Aga niźli my wszyscy".

Krążą pogłoski, że kanclerz dla poratowania zdrowia do Włoch chce wyjechać, zabierając żonę, córkę i domowników. Naprzód będzie się kąpał w Bagni di Lucca, a zimę spędzi w Rzymie.

*
* *

Zapomniałem w pośpiechu zapisać, że po zhańbieniu przez kata książek na Rynku i otrąbieniu ich tytułów mieliśmy nadzwyczajny ruch w książnicy. W ciągu kilku godzin ludzie wykupili wszystkie zakazane druki o Moskwie i Moskalach, z rąk sobie wydzierali, potrójną cenę chcieli płacić.

Dowiedziawszy się o tym, Gorczyn przybiegł nazajutrz i dalejże nacierać, bym obliczenie z nim zrobił i wypłacił należność za książki. Ciotka, jakby przeczuciem tknięta, spytała:

— Na cóż waści tak zaraz? Skąd ten pośpiech?

Gorczyn zaczął wyjaśniać, że ktoś ma do sprzedania dwoistą optykę szkielną, przez którą każde obiektum maleńkie, każde źdźbełko stokroć wydaje się większe. Pchła, na przykład, mówił Gorczyn, prezentuje się jak zając, a nóżka chrabąszcza do końskiego uda podobna.

I w uniesieniu zakończył:

— A optyka z holenderskiego miasta Middelburga pochodzi! Francuzi wołają na nią lupa!

Ciotka Elżbieta z gniewem:

---

* Warto zanotować, że Puszkin wrócił do Moskwy jako triumfator i odtąd uchodził za pogromcę dyplomacji polskiej.

— No proszę! Lupy mu się zachciało! Póki ja tu jestem, złamanego szeląga waść nie dostaniesz. Dam ci pieniądze, kiedy będziesz wsiadał na wóz, by jechać do Krakowa.

Widząc, że bardzo posmutniał, dodała:

— Miejże rozum, mości Gorczynie! Taki niedopłajca jak waść, powinien długi spłacać, a nie głupstwami zaprzątać sobie głowę.

*
* *

W dzień Matki Boskiej Anielskiej. Gadaliśmy o tym, co się dzieje, a Gorczyn, z wysokości drabiny wspartej o półkę z książkami, zwrócił się do pana Andrzeja:

— Co też się stało z porucznikiem Zaćwilichowskim, że nie przychodzi? Czy bardzo zmarkotniał po przygodzie z rotmistrzem?

Pan Andrzej: — Upił się w ów dzień ze zgryzoty.

Pan Piotr: — Ja bym się też upił.

Pan Andrzej: — Musiałem z piwnicy go wykupić, na kwaterę odstawić i spać ułożyć. Powtarzał, bez ustanku bijąc się w piersi, że rycerza prawego rozbroił i na zagubienie powiódł.

Pan Piotr: — Bo tak jest, nie ma się co łudzić. Wyrok będzie surowy.

Gorczyn: — Całe szczęście, że trybunały nasze niezbyt się kwapią i do wyroku droga daleka.

Pan Andrzej: — W najgorszym razie pomoże mu się uciec, choćby do Jaremy*.

Przyszedł rzadki w ostatnich czasach gość, Jan Libicki, życzliwie przez nas witany. Gorczyn go spytał:

— Chcielibyśmy usłyszeć, mości sekretarzu, jak to się stało, że kat tak szybko uwinął się z książkami, a między innymi i z moją? W ubiegłą sobotę nikt nie wiedział o mającym się odbyć nazajutrz całopaleniu na Rynku.

Pan Andrzej: — Co do mnie, coś podejrzewałem, bo mi Zaćwilichowski zdążył szepnąć do ucha, że mu nakazano stać w pogotowiu.

---

* Rotmistrz Okoń stanął przed sądem. Skazano go na dwa lata i dwanaście tygodni więzienia. Karę odcierpiał w całości.

Pan Piotr: — A ja w sobotę byłem na Zamku i nic nie słyszałem.

Gorczyn: — Spokojnie poszliśmy z mości Stanisławem na nocny połów ryb, wracamy w niedzielę rano, mówią nam: „Kat na Rynku".

Libicki: — Choć mnie odrzuca od tych wspomnień, opowiem, słuchajcie. W sobotę po południu przyjechał na Zamek bez uprzedzenia Puszkin, z nim Gawryła Leontjew. Zaraz na wstępie Puszkin głośno oświadczył, że się wyrzeka wszystkich żądań, że chce wracać do Moskwy.

Pan Andrzej: — Dlaczegośmy o tym nie wiedzieli?

Libicki: — Bo stało się to nagle. Kanclerz wezwał mnie jako protokolanta i taka odbyła się rozmowa.

Kanclerz: — Wyraziłeś gotowość, panie pośle, odnowienia paktów wieczystej przyjaźni między Moskwą a Rzeczypospolitą, czy tak?

Puszkin: — Tak.

Kanclerz: — Czego wasza mość żąda?

Puszkin: — Niczego nie żądam.

Kanclerz: — Na przykład Smoleńska?

Puszkin: — Wyrzekam się Smoleńska.

Kanclerz: — I ukarania wojewodów?

Puszkin — Tak, wyrzekam się i ukarania wojewodów.

Kanclerz: — I ukarania autorów książek?

Puszkin: — Nie warto o tym mówić.

Kanclerz: — Chciałbym jednak wiedzieć i proszę o wyraźną odpowiedź.

Puszkin: — Jaż mówił, że się wyrzekam.

Kanclerz: — Czy pan obiecuje, panie pośle, że już nie będzie mowy o książkach?

Puszkin: — Alboż ja wiem! Może będzie, może nie będzie.

Kanclerz: — Autorów nie wolno tknąć!

Puszkin (*wstając*): — Znaczy się, moja dobra wola jest odrzucona. Nu cóż, pozostaje mi tylko pożegnać jego królewską mość i podziękować za gościnę.

Kanclerz wyszedł, oznajmiając, że zawiadomi króla. Po chwili wrócił i powiódł posła do sali portretowej, gdzie siedział samotny Jan Kazimierz. Tam, proszę łaskawych panów, stało coś, czego najmniej się spodziewałem. Puszkin pada przed królem, zaczyna się czołgać i woła szlochając: „Bądź mi ojcem, najjaśniejszy panie, ratuj nieszczęśliwego! Wracam do Moskwy, a w Moskwie śmierć mnie czeka!"

Zdumiony król patrzy na kanclerza, ten chce coś mówić, a Puszkin obejmuje króla za nogi, wołając: „Ratuj, królu polski, nie pozwól zginąć! Toż ja się wyrzekł Smoleńska, hetmanów i wojewodów się wyrzekł, wszystkiegom się wyrzekł!".

Król: — Jako żywo, nic pojąć nie mogę.

Kanclerz: — Pan poseł wyrzeka się swych żądań prócz jednego, obstaje przy wychłostaniu autorów.

Spoglądam, Puszkin kułakiem łzy ociera i zwraca się do króla cicho, pokornie: „Ja nie obstaję, ja tylko łaski proszę, o ocalenie życia mojego błagam. Bo z czym ja wrócę do Moskwy? No z czym, panie kancler? Czwórkę kałmuckich koni przywiążą do rąk i nóg, na Krasnoj Płoszczadi mnie rozszarpią".

Patrzę na króla i widzę, że rad by uciec od tej rozmowy. Kanclerzowi pot się perli na czole. A Puszkin płacze, łzy mu ściekają z policzków.

Pan Andrzej: — Niecny obłudnik.

Libicki: — Wyborny gracz! Król mówi coś szeptem do kanclerza, ten kiwa głową.

Kanclerz: — W jaki sposób, panie pośle, możemy was wspomóc?

Puszkin (*z najgłębszą pokorą*): — Jeśli nie chcecie ukarać autorów, spalcie choć kilka tych nędznych książek.

Kanclerz: — Nie można książek palić.

Puszkin: — Dobry królu! Miej litość nad biednym Moskwicinem! Pozwól choć powyrywać z książek bumażki, na których jest obraza majestatu i naszej nacji, niech kat je spali i niech otrąbią, że tego nie wolno czytać. Zrób tak, królu miłościwy, żeby ja mógł po powrocie do Moskwy paść na kolana i rzec: „Monarcho mój, carze prawosławny, walczyłem o twoją sławę".

— Zastanowimy się, panie pośle — rzekł król. — Raczcie zaczekać.

Wyszedł wraz z kanclerzem. W czasie ich nieobecności Puszkin i Leontjew nie zamienili ani słowa, nie odezwali się też do mnie. Po niecałej godzinie kanclerz wrócił i oznajmił posłowi, że jego żądaniu stanie się zadość. Obraźliwe paginy zostaną wyrwane i spalone. Zaraz potem odbędzie się na Zamku uroczysta wymiana gramot.

Libicki pogładził się dłonią po włosach, jak gdyby chciał strzepnąć natrętną pajęczynę. Wydawał się wyraźnie wzruszony.

— Jak potoczyły się wypadki, wiecie...

— Wiemy, wiemy niestety.

— Kat na Rynku, takoż moja tam persona, później rotmistrz Okoń i uderzony w głowę Żemczug. Za ten cios szablą, proszę panów, musieliśmy im oddać tablicę króla Władysława.

* * *

W dwa dni po M.B. Anielskiej. Odnosiłem dziś rano odbitki drukarskie, chciałem je oddać Libickiemu. Dla skrócenia drogi przeszedłem przez wirydarzyk[1], jak to często czynię i zatrzymałem się na tarasie, by obejrzeć kwiaty powoju, który tam po ścianie się wspinał.

Kwiaty były niezwyczajne, u nas niespotykane. Pomyślałem, że pewnie francuskie panny z fraucymeru zatęskniły za dalekim krajem i sprowadziły nasiona. Zerwałem jeden dzwoneczek purpurowy, rozchyliłem płatki; wydzielał zapach gorzkich migdałów, a wewnątrz lśniła rosa.

Kiedym tak stał zadumany nad tym kwieciem ognistym, usłyszałem łoskot otwieranego okna. Spojrzawszy w górę zdążyłem dostrzec wiaderko miedziane, które się przechyliło i na moją głowę pociekły ciepłe mydliny.

Uskoczyłem na bok i zacząłem rękawem twarz przecierać, bo piana gryzła w oczy. Plując i parskając, otrząsając się gniewnie,

[1] Ozdobny ogródek, wewnętrzny dziedziniec z kwiatami i ziołami — z łac.

rozmyślałem nad pytaniem, za co zostałem tak potraktowany, za co taki despekt.

Nagle uczułem dotyk czyjeś ręki i usłyszałem głos:

— Któż to waści pokropił?

Zobaczyłem kanclerza Ossolińskiego wspartego na kijku. Wyglądał, jakby się bawił cudzym zakłopotaniem, ale bez złośliwości. Bąknąłem coś, że nie wiem, że nic z tego nie mogę pojąć, a on kijkiem wskazał okno.

— Stamtąd się polało?

— Tak, stamtąd.

— Chodźmy, kawalerze, coś waści powiem.

Oparł się na moim ramieniu, choć było mokre, i z lekka powłócząc nogą, skierował się ku ławie pod platanami. Tam siadł i wskazał miejsce obok, ale wolałem postać.

— To, co cię spotkało — rzekł — jest odpowiedzią na twoje listy, kawalerze.

Popatrzył z przyjaznym uśmiechem.

— Zdajesz waść sobie chyba sprawę — mówił — że młoda wychowanica królowej nie mogła bez nadzoru listów wysyłać ani też odbierać. Wasze tkliwe zwierzenia odczytywano, a król i królowa setnie się bawili. Ostatni pisany przez ciebie respons, kawalerze, który i ja widziałem, zadziwił wszystkich gładkością i rozsądkiem.

Milczałem onieśmielony. Kanclerz spojrzał mi w oczy i po krótkim namyśle dodał:

— Masz łatwość, kawalerze, zręcznego słów dobierania. Zastanawiam się właśnie, że mógłbyś się przydać w mojej podróży do Rzymu.

Milczałem, bo z wielkiego szczęścia głosu mi zabrakło. Otrzeźwienie przyniosły słowa kanclerza:

— Rodzinę wysyłam jutro na Kraków, Cieszyn i Wiedeń, potem ich dopędzę. Sam wyruszę za kilka dni. Gdybyś i waść zechciał jechać, to proszę.

Podziękowałem jak mogłem, zapewniając, że będę gotów każdej chwili. Kiedym składał pożegnalny ukłon, kanclerz zapytał jeszcze:

— Coś zrobił z listami?

— Spaliłem, prócz ostatniego.

— To spal zaraz i ostatni. Do zobaczenia, mości sekretarzu.

*
* *

Kanclerz powiedział do mnie: „mości sekretarzu"!

Z zamętem w głowie pobiegłem do książnicy i wpadłem na ciotkę Elżbietę.

— Hej, ciotko miła, jadę do Rzymu!

— Szaleju się najadłeś?

— Jadę do Rzymu, kanclerz mnie zabiera, mam zostać jego sekretarzem.

Ciotka nie wiedziała, co robić: śmiać się czy płakać. Pocieszyłem ją bez straty czasu, że przejeżdżając przez Kraków wstąpię do swojej siostry Agnieszki, która na szczęście ślubów zakonnych dotąd nie złożyła, skieruję ją do Warszawy i niech prowadzi Elertowską książnicę. Agnieszka zna się na drukach.

— Wiem, wiem, przecie ją wyniańczyłam.

I dalejże ciotka mnie całować w oba policzki. Wtedy dopiero spostrzegła, żem przemoczony rzetelnie.

— Któż to cię polał wodą?

— Panna — powiadam.

Kiedym zdał szczegółową relację, nie ukrywała wesołości i rzekła:

— No, no, nawet się nie domyślałam, żeś taki mirliflorek. Na drugi raz romanców pannom nie śpiewaj.

Po rozmowie z ciotką poszedłem na górę i zniszczyłem ostatni list od M. d'A*. Więcej ich nie dostanę.

*
* *

Ludzie już się zwiedzieli, że wyjeżdżam z kanclerzem. Co godzina ktoś tu zagląda, by życzyć szczęśliwej drogi. Dziś, po upływie jednej doby od przypadku na tarasie zamkowym, odwiedzili książnicę Adamandy i Wańka Tarapajew.

Adamandy chciał mi podarować zegarek, niby za książki, co je dostawał do przeczytania, ale nie przyjąłem takiej ofiary. Wańka nie jest już Wańka, tylko Jan. W łacinie postępy czyni szybkie.

Mam zawieźć dużo listów do różnych osób w Bolonii, Padwie i Rzymie.

*
* *

Ciotka od samego rana przegląda moją bieliznę i pościel, łata, ceruje. Teraz dopiero wyznała ze skruchą, że to ona ukradła koszulę.

— Wiem — powiadam.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Znalazłem notę w memorialiach. Gorczyn ją wpisał.

— Ale podły łotrek! Może byś go tak podwiózł do Krakowa? Choć na koźle?

Obiecałem, że przed wyruszeniem w drogę zagadnę kanclerza; powinien się zaciekawić autorem, o którego życie stoczono batalię z Moskwą.

*
* *

Tu Gorczyn. Chętnie siądę na kozioł, do Krakowa pojadę i pospłacam długi. Wyrzeknę się też optyki middelburskiej, byle mnie już nie nazywano niedopłajcą.

Opowiem teraz o chłopaku z wiewiórką, czyli Jasiu. Jeszcze za pobytu Moskali na ich dziedziniec się zakradł. Stało się to w zeszły piątek. Sromotnie pobity, wypędzony, wrócił i do bramy miejskiej zakołatał. Strażnicy zawiedli go do Ratusza.

W sobotę rano sędzia ławnik, potrafiący z młokosami rozmawiać, nastraszył Jasia, że mu założy na nogi kajdany, do rąk wetknie miotłę i każe z ulic śmiecie zgarniać.

— Jużeś się dość nawałęsał po Warszawie — tak rzekł — dość psot narobiłeś.

* Zastanawia ten skrót. Czyżby była mowa o Marii d'Arquien, przyszłej Marysieńce Sobieskiej?

Jasio w płacz. Zeznał przed ławnikiem, że do wyprawy na moskiewski dziedziniec pchnęła go jakaś nieprzeparta chętka zobaczenia z bliska żywych soboli. A tu i wiewiórkę postradał w przygodzie i ulubiona kawka odleciała. Opowiedział o ucieczce ze szkoły w Rawie i pod przysięgą obiecał zaraz tam wrócić.

Znaleziono przy nim certyfikat scholarski z klasy poetyki na imię Jana Chryzostoma Paska z Gosławic. Koniec, Gorczyn.

* * *

Myślę, że po przyjeździe do Rzymu będę mógł zwiedzić sławną drukarnię przez papieża Urbana VIII założoną, która odbija książki w dwudziestu trzech językach dla Kongregacji de Propaganda Fide[1].

* * *

W dzień św. Cyriaka męczennika. Do kanclerza znów wezwano doktorów. Stało się to dziś rankiem. Idę na Zamek.

* * *

Wróciwszy z Zamku, zapisuję. Słabość zaczęła się jeszcze w nocy. Kanclerz miał z królem długą rozmowę, żegnał się przed podróżą. Po rozmowie odjechał do pałacu i kiedy szedł po schodach, przystawał ze zmęczenia. Przed pójściem spać, skarżył się do pokojowca na szum w uszach i pulsację w głowie.

Rano kanclerz wstał, zaczął przywdziewać szaty i nagle padł rażony apopleksją. Słudzy pobiegli na Zamek po doktorów.

Pierwszy przybył Conradi, nadworny medyk królowej, w chwilę potem chirurg królewski Bouchet. Zjawił się też król i pytał kanclerza, czy go poznaje. Chory rzekł: „Tak" i więcej nic nie mówił. Leży teraz bez ruchu, oczy ma zamknięte, ale oddycha równo.

---

[1] Kongregację Rozkrzewiania Wiary powołał w 1622 r. Grzegorz XV do walki w obronie katolicyzmu w Europie. W 1627 r. Urban VIII rozszerzył jej działalność o opiekę nad misjami w krajach zamorskich.

* * *

Zapisuję rzecz opowiedzianą pod wielkim sekretem. Pokojowiec, który kanclerza do snu układał, pożegnał go na odchodnem, jak zwykł był czynić, i usłyszał wtedy taką replikę:

— Nie nazywaj mnie waść więcej kanclerzem. Ładny mi kanclerz, co nic nie wskórał.

* * *

Po obiedzie ciotka Elżbieta zajęła się wyjmowaniem ze skrzyni wszystkiego, cośmy tam wczoraj pokładli. Dogrzebałem się do dna i zacząłem wyjmować książczyny moje. Powędrowały znów na półkę, zamiast do Rzymu. Śród nich był troisty, polsko-łacińsko-grecki „Thesaurus" Grzegorza Knapskiego, dykcjonarz znakomity, prawdziwy skarb. Chciałem też zabrać ze sobą wiersze cudne Jana z Czarnolasu, żeby się czasem na obczyźnie mową ojczystą pokrzepić. Chciałem zabrać mały modlitewnik przez śp. ojca mojego własnoręcznie składany i bardzo pięknie odbity w naszej krakowskiej oficynie.

* * *

Podobno kanclerz ma się lepiej. Rozumie, co do niego mówią, i czasem kilka słów wypowie. Kiedy go zapewniono, że hajduk z listami pojechał, żeby zawrócić z drogi jego żonę i córkę, miał rzec: „Bóg wam zapłać".

Mówił o tym pan Wespazjan Kochowski, który tu bawił przed chwilą.

* * *

Kanclerz ma się lepiej. Potwierdził wiadomość Libicki. Doktorowie orzekli, że jeśli chory przetrwa jeszcze noc, będzie żył.

* * *

Nazajutrz rano obudził mnie świergot jaskółek. Usłyszałem potem, że ciotka krząta się po dziedzińczyku, dokąd wyszła dla nabrania drew. Pozdrowiłem ją przez okno.

— Wstawaj! — zawołała. — Zaraz podam polewkę.

Ubrałem się z pośpiechem i zeszedłem na dół. Przy stole siedział pan Piotr, bawiąc się parą cynowych łyżek, które podrzucał i chwytał.

— Pójdziesz waść po nowiny?

— Tak — rzekłem — zaraz biegnę do kanclerskiego pałacu.

Słychać było z kuchni ciotkę Elżbietę jak sieka ser, jak ściąga z ognia kipiący garnek. Weszła wreszcie, skinęła nam głową i zaraz zawróciła. Musiała czegoś zapomnieć.

Na widok żony pan Piotr przestał się bawić łyżkami. Sięgnął do koszyka, wyjął chleb i krając go w kromki, spytał:

— Gdzie to dzwonią?

Odpowiedziałem, że pewnie u św. Trójcy.

— Połóżcie na stole drewniany krążek! — krzyknęła z kuchni ciotka.

Do samotnego dzwonu przyłączył się po chwili drugi, nie wiem już, z którego kościoła, potem rozdzwonił się św. Jan, najdonioślejszy i dobrze nam znany. Za jego przykładem jęknęły inne dzwony. I zdawało się, że z tego pogmatwania jęków trwoga spłynęła na Warszawę.

Weszła ciotka trzymając w ścierce dymiący garnek. Postawiła naczynie na krążku i przelotnie spojrzała mi w oczy, jakby o coś pytając. A dzwony huczały coraz głośniej.

— Stało się — rzekł pan Piotr.

Ciotka wytarła ręce w ścierkę, złożyła je do modlitwy i zaczęła odmawiać wieczny odpoczynek.

KONIEC

Od redakcji

Władysław Zambrzycki zaczął prowadzić swoje „luźne zapiski księgarskie" praktycznie od razu do szuflady. Bez żadnej nadziei na druk. Pokazanie najmniejszego fragmentu dziejów Rosji w negatywnym oświetleniu, z polskiego punktu widzenia, było dla cenzury komunistycznej niedopuszczalne.

Mówiąc 12 grudnia 1959 roku, w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Kurier Polski", o ukończeniu *W oficynie Elerta*, nie spodziewał się więc cudu. Chciał wyryć po prostu ślad bibliograficzny. Postąpił jak Gorczyn skarżący się, że „należałoby to gdzieś przechować, uchronić, żeby choć pamięć pozostała".

Maszynopis, strzeżony przez rodzinę, nie zaginął. Ponieważ nie przygotowywano go wcześniej do publikacji, dokonaliśmy stosownych poprawek redakcyjnych. Zmodernizowaliśmy i ujednoliciliśmy pisownię, skorygowaliśmy nieliczne niejasności stylistyczne. Przypisy skierowaliśmy na zapas, do młodszych czytelników.

* * *

Dobrze spotkać się znów z niepowtarzalną, nie do podrobienia, prozą Zambrzyckiego! Cieszy pogodne ciepło i podszyty dyskretną nutą ironii humor. Czuje się, że autor lubi i szanuje swych bohaterów, że pochyla się nad nimi z życzliwą wyrozumiałością. Jego specyficzne, nieco staroświeckie (?) pisanie jakby nie dostrzega zła, oddala je w perspektywę słów łagodnych i zacnych.

Zdarzy się, naturalnie, że ktoś zajdzie za dotkliwie za skórę, jak Adam Jarzębski i wtedy trzeba stanowczej surowości. Ale ciężko i po trzech stuleciach wybaczyć zepsucie „niezdarnymi rymami i bezwstydnymi pochlebstwami" najstarszego przewodnika po Warszawie, rzadkości antykwarycznej, marzenia varsavianistów!

* * *

Nie ulegnijmy jednak powierzchownemu wrażeniu. Nie da się zaklasyfikować *W oficynie Elerta* wyłącznie jako uroczej gawędy, opowiadania bibliofila „tak głęboko zagrzebanego w księgach, że świata miłego nie widzi". Pasja i namiętność historiozoficzna, potrzeba rozdzielenia białego od czarnego, naszego od ich, zaowocowały goryczą i pesymizmem. Smutkiem, przeważającym nad uśmiechem bądź kpiną.

* * *

Warszawa, stolica Jana Kazimierza, wygląda niepokojąco swojsko. Warszawiacy plotkują, oburzają się, gonią za nowinkami („brazylijskie ziele tobacco znajdziesz na Rynku"), reagują zupełnie jak my, współcześni. Ahistoryzm, założenie, że jesteśmy zawsze tacy sami, niezależnie od epoki, prowadzi do pozornego lekceważenia pewnych realiów. Maria Elżbieta Elertowa, żona XVII-wiecznego patrycjusza, nie dysponując służebnymi, osobiście robi sprawunki i podaje do stołu. Energiczna i zaradna, nabiega się niemało, lecz zdobędzie „półmich wybornych śledzi z Gdańska".

Mamy do czynienia ze świadomie wykorzystywanym chwytem artystycznym. Przeszłość jest dziś, tylko cokolwiek dalej. Zambrzycki, mistrz literatury przyjaznej odbiorcom, uwodzi anegdotami i nazwiskami znanymi powszechnie, choćby ze szkoły. Pozwala zbliżyć się do Wespazjana Kochowskiego, Andrzeja Morsztyna albo Jerzego Ossolińskiego bez poczucia obcości wynikającej z dystansu czasowego. Oglądamy rozległą panoramę, odcyfrowujemy detale — i wciąga nas niepostrzeżenie uroda następnych i następnych.

Pisarz skupia się na codzienności, powszedniej zwyczajności. Erudyta i miłośnik zakurzonych szpargałów, sypie szczodrze sytuacjami i historyjkami nieobecnymi w annałach wielkiej historii.

Każdy wyszuka coś dla siebie. Jednego zaintryguje kunszt oratorski francuskiego komedianta Poquelina (pan Morsztyn nigdy o nim nie słyszał!), drugiego zainteresuje „denominacja ważniejszych ptasich głosów". Kogoś rozbawią włóczęgowskie przygody małego Jasia (dorosły pan Jan Chryzostom nigdy się o nich nie zająknął!), ktoś zaduma się nad przyczynami moskiewskiej manii tłuczenia luster po pijanemu, ktoś wtłoczy się w ciżbę na Starym Mieście i będzie „zapamiętale dyskurował" o tajemnicach rosyjskiej duszy, z Azji rodem.

* * *

Niechętne, wrogie Rosjanom stereotypy? Tak. Nie wzięły się one znikąd, powstały kiedyś i okrzepły z jakiegoś powodu, ukształtowane przez doświadczenia wspólne wielu generacjom Polaków. Obserwujemy, na gorąco, ich narodziny.

Adamandy Kochański, napomykając na Kałęczynie o prymitywnej konstrukcji taborowych wozów gości ze Wschodu „skrzypienie czyniących wielkie na podobieństwo kwiku przerażonej maciory z warchlakami", powtarza za *Kroniką Sarmacyi Europskiej* Gwagnina z 1611 roku (w edycji K.J. Turowskiego):

> Kolasy mają proste bez żadnego żelaza, wiciami i rozmaitemi powrozy pokręcone, koło jedno z jednego drzewa foremną robotą pobocznemi śpicami zwarte, by nadalszą drogę wytrwa, oś nigdy mazi nie zna. A kiedy się ich wiele na one kolasy nasiędzie, to dziwnie wrzeszczą, że pod nimi osi skrzypieniem jakiemsi, foremne narzekania z siebie wydają [...] i stąd ona przypowieść urosła: skrzypi by ruska kolasa.

Można określić Zambrzyckiego mianem etymologa spraw oczywistych. Uwielbiał ubarwiać przeszłość, z wdziękiem dopowiadać jej korzenie, początki — bywa — piękniejsze niż przyziemna prawda.

Anonimowy powidok krasnoarmiejców obwieszonych trofiejnymi zegarkami zaciera się powoli w oczach kolejnych pokoleń. Po lekturze *W oficynie Elerta* wiemy przynajmniej dokładnie, który Moskal pierwszy zakrzyknął: „Dawaj czasy!" Docenimy też, obrosłą tysiąckrotnym później naśladownictwem, decyzję Wańki Tarapajewa, aby „zdjąć kubraczek, złożyć w kilkoro, zarzucić na kolce palisady i hyc na tamtą stronę".

* * *

Powieść zarysowana jako obraz obyczajowy, przechodzi stopniowo w dramat polityczny z ostatnich lat świetności Rzeczypospolitej.

Tekst, szczególnie w drugiej części, coraz intensywniej nasyca się rozmowami. Troiście prowadzona narracja (Piotr Elert wygłasza okazjonalną kwestię) nabiera akcentów polifonicznych i w notatach pojawia się wewnętrzna dialogowość. Protagoniści zaczynają korespondować ze sobą, wymieniając myśli i spostrzeżenia. Zmienia się również forma przytaczania wypowiedzi. Elementy stenografii przejęte od „skryptora, co abrewiaturą pisze" sygnalizują już wprost konwencję sztuki teatralnej.

Osią przedstawienia są targi z wysłannikami carskimi, miejscem — Warszawa. Najznaczniejsze persony wiodą obrady na Zamku, troje komentatorów wiążących akcję na proscenium, w książnicy na Świętojańskiej, dba o zapełnienie czasu między antraktami, zaś w tle, w epizodach i scenach zbiorowych, przewija się tłum statystów — postaci wymienianych w miarę rozwoju wypadków.

Patrząc na ową inscenizację, widz nabiera nieuchronnego przekonania, że oto dzieje się coś bardzo ważnego i zarazem złowróżbnego. Na arenę europejską wkracza Rosja. Stanisław Piotrkowczyk przetrwa febrę dzięki „suchym gałązkom drzewiny zwanej chinchona" — cudownego leku na słabość państwa polskiego nie dostaniesz w królewskiej aptece.

Dochodzi wreszcie do momentu kulminacyjnego, do „plenerowego" finału na Rynku. Egzekucję książek, spalenie papieru, puentuje na drugim planie wiadomość o wywiezieniu kamiennej tablicy Szujskich — i pora na pożegnanie z publicznością. Biją dzwony na śmierć kanclerza Ossolińskiego. Gorczyn wyjeżdża do Krakowa, Elżbieta wraca do obowiązków gospodarskich, Piotrkowczyk odkłada pióro. Aktorzy schodzą z desek, światła gasną. Kurtyna.

* * *

Ogłoszony u schyłku XIX wieku szkic *Poselstwo Puszkina w Polsce* stanowi nadal najlepsze opracowanie tematu. Zambrzycki niezwykle sumiennie — zgodnie ze wstępną zapowiedzią — trzyma się zamieszczonego tam wywodu. Prezentuje przebieg misji kremlowskiej rzetelnie, podług ustaleń źródłowych Ludwika Kubali. Polacy i Rosjanie, negocjując, istotnie kłócili się i usiłowali przechytrzyć wszelkimi dostępnymi sposobami. Odmienne panowały standardy zachowań. Dyplomacja przeplatała się z prywatnym handlem i nawet wyjątkowo „politycznie

niepoprawne" incydenty, jak „połajanka pana Wessla z Posłem", znajdują poświadczenie w ówczesnych diariuszach.

W sferze materii czysto literackiej, w obrębie wydarzeń możliwych i prawdopodobnych, autor nie związał się natomiast tak ścisłymi rygorami wierności historycznej. Przykładowo: Elert nie bujał wcale beztrosko w obłokach dźwięków. Przeciwnie — stąpał mocno po ziemi i bezwzględnie egzekwował przyznane mu przywileje drukarskie, procesując się z konkurentami po fachu. Kochański, wybitny mechanik i matematyk, pobierał nauki w Toruniu, potem w Wilnie — nie w Warszawie. Jarzębski zmarł w 1649 roku. To nie Gorczyn nazwał patriarchę Filareta trębaczem przyszłej chwały.

Logika fabuły *W oficynie Elerta* rządzi się własnymi prawami. Fantazja musi mieszać się z rzeczywistością. Skoro w dorobku Jana Alexandra Gorczyna, wedle katalogów bibliotecznych, figuruje wśród innych tytułów, popularyzatorska *Tabulatura muzyki albo zaprawa muzykalna* (Kraków 1647), tedy czy nie Gorczyna właśnie — logicznie — powinno obciążyć się oskarżeniem o „zniewagę muzyczną"?

Na dozę umowności natkniemy się i w warstwie językowej. Zambrzycki sugeruje raczej staropolszczyznę, niż jej używa. Delikatne zmiany składni i archaizmy leksykalne, niekoniecznie sięgające aż XVII wieku, stosuje oszczędnie i z wyczuciem. Najwięcej wolno Gorczynowi, bo nie został on zobligowany, jak Piotrkowczyk, do wypowiadania się „gładko, bez łaciny, zrozumiale dla wszystkich". Toteż z jego ust najczęściej padają wyrazy w rodzaju: „insula", „olim", „suffit", „śrzodek", „szerść".

Gorczyn jest zresztą najciekawszą i najmilszą pisarzowi postacią. Formalnie Piotrkowczyk gra rolę głównego narratora, ale ostatecznego błysku i smaku dodają utworowi Gorczynowe dysertacje i życiowe przypadki. Temu, wypisz wymaluj, „chudemu literatowi" warto poświęcić baczniejszą uwagę.

Teoretyk muzyki, heraldyk, rytownik, publicysta, w 1661 roku współwydawca „Merkuriusza Polskiego Ordynaryjnego", lingwista i etnograf z Bożej łaski, człowiek wszechstronny, przywodzi nieodparcie na myśl księdza Benedykta Chmielowskiego, najsłynniejszego polskiego encyklopedystę doby przedrozbiorowej. Mimo że *Nowe Ateny* ukazały się dopiero w 1745 roku we Lwowie, obydwaj ci polihistorowie uosabiają identyczny typ niepohamowanego zachwytu dziwami, cudami i wspaniałościami

świata. Obydwaj, żądni wiedzy pełnej, kompletnej, kolekcjonowali informacje zachłannie, żarłocznie — i absolutnie bezkrytycznie.

Piotrkowczyk mógłby rzec bez ochyby, iż ksiądz Chmielowski „choć nietutejszy, całkiem się do naszej kompanii nadaje"...

* * *

Przerwijmy atoli domysły i stańmy ponownie na twardym gruncie faktów. Zacytujmy, w oryginalnym brzmieniu, *Kondycye Moskwie podane*, czyli podyktowane Rosji warunki kapitulacji pod Smoleńskiem w 1633 roku:

> [...] Aby z zwinionemi Chorągwiami, z zagaszonymi lontami, bez bębnow y trąbienia, do mieysca, od Władysława Krola naznaczonego wyszli, potym swoie znaki Chorążowie, do nog Iego Krolewskiey Mci położyli (trzykroć odstępuiąc, trzykroć pokłon czyniąc), y tak długo czekać, dokąd imieniem Krola Iego Mci Xiążę Radziwiłł, Hetman W.X. Litewskiego, podnieść Chorągwi nie każe. [...] Zsiadszy z koni, do nog I.K.M. żebrząc łaski upadać maią, poki im Xiążę Radziwiłł wznieść się, y wsiąść na konie nie każe, y głosem trąby lub dźwiękiem bębna, ustąpić nie pozwoli. [...] Z żałobliwą pompą tak wielkie woysko czołobitność zwycięzcy Władysławowi oddawało, snadno się dorozumieć, iż z gorzkością, gdy przy [...] ludney gromadzie Cudzoziemcow wszelakich; musiało [...] do nog Władysława upadać.

Karty z tymi bowiem, niewątpliwie, zdaniami — wyrwane z panegirycznej broszury Gorczyna *Pamięć o cnotach, szczęściu, dzielności naiaśnieyszego y niezwyciężonego monarchy, Władysława IV*, odbitej w 1648 roku w krakowskiej Drukarniey Stanisława Bertutowica — próbowano, na żądanie cara Aleksego I z dynastii Romanowów, unicestwić symbolicznie w Warszawie. A.D. 1650.

Przemysław Cieślak

SPIS RZECZY